



**BRIAN
McGILLOWAY**

Powieść z bohaterem *Na granicy* – irlandzkim komisarzem Wallanderem

ALEJA SZUBIENIC



Mają uliczka w mieście na granicy Irlandii Północnej i Południowej.
Dawno temu wieszano tu zbrodniarzy. Ludzie mówią, że wciąż nawiedzają ją duchy.
Podobno nocą słychać czasem brzęk łańcuchów, a gdy dobrze wyteżyc słuch
– zawodzenie skazanych i skrzywienie martwych konarów.
Teraz na drzewach w alei Szubienic zawisło ciało ofiary mordercy...

Inspektor Benedict Devlin wszczyna śledztwo i niespodziewanie odsłania fakty
kompromitujące miejscowych policjantów. Kolejna ofiara to przestroga dla osaczonego
narastającą wrogością kolegów Devlina, który tym razem jest zupełnie sam.

A każdy, kto stanie po jego stronie, może trafić w aleje Szubienic...

Już pierwsza książka z inspektorem Devlinem wyniosła Briana McGillowaya do czołówki
irlandzkich twórców kryminalów i najbardziej popularnych autorów w Wielkiej Brytanii.
Fabuła osnuta wokół skrywanych tajemnic małej społeczności, przesycona posepnym
nastrojem, muśnięta czarnym humorem i melancholią, misterna intryga
i niejednoznaczne zakończenie zdecydowały o tym, że powieść **Na granicy**
została finalistką New Blood Dagger 2007 – nagrody brytyjskiego Stowarzyszenia
Pisarzy Literatury Kryminalnej dla najlepszego debiutu.

Z recenzji **Na granicy**

*Autor bardzo udanie przenosi skandynawską aurę społecznej powieści noir (...)
dosłownie na granicę Irlandii i Zjednoczonego Królestwa. (...) unika jednoznaczności,
bada tematy trudne i bolesne, bywa pisarzem melancholijnym, zabawnym, tajemniczym.
Aż trudno uwierzyć, że „Na granicy” to literacki debiut. „Dziennik Gazeta Prawna”*

Patronat medialny



Cena det. zł 29,80

www.wydawnictwoamber.pl



BRIAN
McGILLOWAY

ALEJA SZUBIENIC

Przekład

PRZEMYSŁAW BIELIŃSKI



Redakcja stylistyczna Marta Bogacka

Korekta

Barbara Cywińska

Jolanta Kucharska

Projekt graficzny okładki

Małgorzata Foniok

Zdjęcie na okładce Wydawnictwo Amber

Skład

Wydawnictwo AMBER

Jerzy Wolewicz

Druk

Drukarnia Naukowo-Techniczna

Oddział Polskiej Agencji Prasowej SA,

Warszawa, ul. Mińska 65

Tytuł oryginału Gallows Lane

Copyright © Brian McGilloway 2008

All rights reserved.

For the Polish edition

Copyright © 2009 by Wydawnictwo Amber Sp, z o.o.

ISBN 978-83-241-3643-8

Warszawa 2010. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp, z o.o.

02-052 Warszawa,

ul. Wiertnicza 63 tel. 620 40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

Tanyi, Benowi i Tomowi

*I chociaż tak siedzimy wraz,
Noc całą nikt z nas ani drgnie,
To Bóg wciąż nie rzekł ni dwóch słów!*

Robert Browning *Porphyria's Lover*

1.

Niedziela, 30 maja

James Kerr wracał do Lifford brzydkiego majowego poranka, wlokąc się pod obrzmiałymi chmurami, które pędziły po niebie na północ. Duchota narastała cały tydzień; nocą w końcu rozpętała się burza, której ogon ciągnął się teraz nad granicą Donegalu i w głąb Tyrone.

Mijając graniczną stację benzynową w Strabane, Kerr szarpał się z kolorową golfową parasolką; wiatr wyrócił ją na lewą stronę, łamiąc cienkie metalowe druty jak ptasie skrzydła.

Obok śmignął samochód pełny nastolatków z Północy, którzy wjechali w rosnącą kałużę na poboczu, żeby ochlapać Kerra. Jego spodnie natychmiast pociemniały, kroplista mgiełka za samochodem zaślniła opalizująco. Łopotanie materiału parasolki zagłuszyło śmiechy dobiegające z pędzącego auta, ale nie mogło ukryć gestów widocznych przez tylną szybę. Musieli mnie wtedy zobaczyć - siedziałem na granicy w radiowozie Garda - bo zwolnili i zaczęli pospiesznie zapinać pasy. Nadałem przez radio, żeby ktoś miał na nich oko, a potem zapaliłem papierosa i zczekałem, aż Kerr zbliży się do mojego samochodu.

Nigdy przedtem się nie spotkaliśmy, ale widziałem go na policyjnym zdjęciu, które dostałem od swojego nadinspektora, Olly'ego „Elvisa” Costella. Fotkę zrobiono dziesięć lat temu, kiedy Kerr był jeszcze chłopakiem. Włosy miał gęste i kędzierzawe, grzywka spadała mu na oczy i oprawki owalnych okularów, które wtedy nosił.

Robił bardzo groźne miny do obiektywu, ale po jego spojrzeniu widać było, że jest przerażony. Twarz miał opuchniętą z braku snu, źrenice powiększone, białka oczu pożółkłe - przypuszczalnie ze zmęczenia. Jego skóra była gładka, bez śladu zarostu, który zazwyczaj kojarzy się z policyjnymi zdjęciami.

Odwrociłem wzrok od zdjęcia wetkniętego w kieszeń osłonki przeciwsłonecznej i popatrzyłem na mężczyznę wlokącego się w stronę mojego wozu. Od czasów tamtego aresztowania stracił na wadze. Głowę miał gładko ogoloną, co zdradzało dziwny kształt jego czaszki. Wciąż nosił okulary, choć zamokły mu na deszczu i widać było, jak mruży oczy, patrząc przez nie na samochód. Kiedy się ze mną zrównał, opuściłem szybę.

- James Kerr? - Kiwnął głową, ale się nie odezwał. - Witamy w domu. Mogę pana gdzieś podwieźć?

- Nie, dziękuję - odparł, a jego parasolka znów wywróciła się z trzaskiem na lewą stronę.

- Niech pan wsiada - powiedziałem i uruchomiłem silnik.

Zawahał się, jakby rozważał moją propozycję, popatrzył w lewo i w prawo na ulicę. W końcu otworzył tylne drzwi i wrzucił na fotel niebieską płócienną torbę. Złożył parasolkę i położył ją na podłodze, jakby nie chciał zamoczyć tapicerki, a potem zamknął drzwi i usiadł na przednim siedzeniu.

- Wolałbym przez jakiś czas nie siadać z tyłu w radiowozie - wytłumaczył, zdejmując okulary, które zaparowały.

- Jak pan woli. Jestem detektyw Devlin. My się chyba nie znamy.

Wyciągnąłem do niego rękę, ale on zaczął wycierać deszczówkę z twarzy. Przesunął dłonią po głowie, jakby przyglądał włosy, a potem strzepnął wodę na podłogę samochodu. Uśmiechnął się przepraszająco, wytarł rękę w nogawkę spodni i słabo uściśnął mi dłoń.

Siedział z przodu, więc czułem zapach jego niepranych ubrań i nieświeży oddech. Dżinsy Kerra, kiedyś jasnoniebieskie, były paskudnie poplamione i pociemniałe w miejscach, gdzie zmoczył je deszcz i woda z kałuży. Miał na sobie żółtą obcisłą koszulkę i szary wełniany sweter. Po zapachu mogłem stwierdzić, że przynajmniej nie pił, rzecz dość niezwykła u kogoś, kogo właśnie zwolniono z więzienia. Ale z drugiej strony, James Kerr był niezwykłą postacią.

Stykał się z miejscowymi *gardai* przez całe życie. Jako nastolatek był regularnie przymykany za drobne wykroczenia: kradzież słodczy, potem papierosów, wybijanie szyb, spuszczenie powietrza z opon. Robił chyba wszystko, żeby zwrócić na siebie uwagę. Słyszał z tego, że pyskował na przesłuchaniach, a raz splunął w twarz policjantowi wezwanemu do miejscowego sklepiku, gdzie próbował ukraść - spośród wszystkich znajdujących się tam rzeczy - kolorowy tygodnik dla kobiet.

Sytuacja się skomplikowała, kiedy James zakochał się w siedemnastoletniej córce sąsiada, Mary Gallagher. Ich rozkwitający związek wydawał się trzymać go na prostej drodze aż do dnia, tydzień przed jego szesnastymi urodzinami, kiedy odkrył, że Mary jest jego przyrodnią siostrą, owocem jednego z potajemnych romansów ojca. Na dodatek okazało się, że dziewczyna jest z Jamesem w ciąży - tak jak robi się to w małych irlandzkich miasteczkach w całym kraju, wysłano ją do ciotki w Anglii. James stał się bohaterem swojej osobistej greckiej tragedii.

Matka Kerra, porzuciwszy męża, zaczęła romans z nauczycielem ze Strabane, którego syn chodził z Jamesem do szkoły. James przestał kraść słodczy, za to zaczął wachać klej i jeździć kradzionymi autami po polnych drogach łączących Południe z Północą. W końcu wjechał jednym z nich w dąb rosnący przy drodze do Clady

i złamał nadgarstek. Dostał zakaz prowadzenia na dziesięć lat, a gdyby miał prawo jazdy, zostałyby mu odebrane. Powinien był otrzymać grzywnę, ale dzięki adwokatowi, który przekonał sąd o jego ubóstwie, został skazany na prace społeczne i przez trzy miesiące musiał opiekować się gminnymi klombami wokół Lifford.

W końcu został poważnie ranny podczas ucieczki z miejsca napadu tuż za granicą i aresztowany przez RUC, dawną Służbę Policijną Irlandii Północnej. Odsiedział prawie osiem lat z dwunastoletniego wyroku, potem rzekomo odnalazł Boga i w piątek przed naszym spotkaniem został wypuszczony za dobre sprawowanie.

Wszystko to opowiedział mi nadinspektor Costello tamtego niedzielnego poranka w swoim gabinecie. Costello dostał od PSNI cynk, że Kerra zwolniono z więzienia Maghaberry. Od tamtej pory wysyłał kogoś na granicę, żeby czekał, aż James się pojawi - co w końcu zrobił.

- Nie chcę, żeby Kerr tu wracał i robił kłopoty, Benedykcie. Jeśli przyjedzie, przekonaj go, żeby został po północnej stronie granicy, co?

- Co zrobił? - spytałem.

- Podobno odnalazł Jezusa, dlatego właśnie gnojka wypuścili.

- Może naprawdę - zasugerowałem.

- Co?

- Odnalazł Jezusa.

- Wątpię - stwierdził Costello. - Gdyby Jezus wiedział, że Kerr Go szuka, toby się schował. Kerr to nic dobrego, Benedykcie.

Potem opowiedział mi tę historię. Podczas procesu i odsiadki Kerr twierdził, że jest niewinny; komisji zwolnień warunkowych powiedział, że jak tylko wyjdzie, odkupi dawne grzechy poprzez pojednanie, tak jak nauczyła go Biblia.

Słuchając, jak Costello o tym opowiada, mogłem zrozumieć, dlaczego nie chciał Kerra po naszej stronie granicy. Było ryzyko, że Kerr kłamię i może nam sprawić kłopoty, jakie zupełnie nie były nam potrzebne.

- Wszyscy byli skazańcy są tak witani, inspektorze, czy zrobiliście wyjątek dla mnie? - spytał Kerr, przysuwając czerwone z zimna ręce do klimatyzatora, co uznałem za prośbę, żebym uruchomił ogrzewanie. Przy okazji włączyłem samochodową zapalniczkę.

- To nie jest tu zabronione? - spytał James, wskazując mój papieros.

- Jest - odparłem. W Republice właściwie nigdzie nie wolno palić. Od jakiegoś czasu niedozwolone jest palenie w miejscu pracy. Jeśli chcesz zapalić papierosa po kolacji w restauracji, musisz wyjść na zewnątrz i stanąć na ulicy, zazwyczaj razem z kucharzem, który szykował dla ciebie jedzenie. Samochód Garda jest uznawany za miejsce pracy, ale z drugiej strony - kto miałby mnie aresztować? Zapaliłem i wydmuchnąłem dym za okno, z dala od pasażera.

- Widzę, że nie ma pan dużo bagażu. Wraca pan do domu, panie Kerr? - spytałem.

- To pytanie czy sugestia?

- Próbuję tylko nawiązać rozmowę - powiedziałem, podnosząc ręce w kpiącym geście poddania. - Ma pan rodzinę w Lifford?

Kerr uśmiechnął się pod nosem.

- Domyślam się, że pan wie, że nie mam. Ten komitet powitalny to z jakiegoś konkretnego powodu?

- Po prostu się martwimy o bezpieczeństwo pana i innych.

- Nikomu nie zrobię krzywdy. Muszę się z kimś zobaczyć.

- Z kimś konkretnym?

- Tak - odparł, a potem wyłączył ogrzewanie i schował ręce do kieszeni swetra. - Jedziemy dokądś czy będziemy tu tak siedzieć?

- Gdzie mogę pana wysadzić, panie Kerr? - spytałem, ruszając.
- Przy Porthall jest pensjonat.
- Znam go.
- To poproszę tam.

W drodze rozmawialiśmy o tym, co można by zmienić w okolicy. Kerr komentował, że wszystko wygląda inaczej, niż kiedy był tu ostatnio, i wyraził niesmak na widok architektury niektórych nowszych budynków.

Kiedy dotarliśmy do pensjonatu, sięgnął do tyłu po torbę i parasolkę, a potem odwrócił się do mnie.

- Niech się pan o mnie nie martwi, inspektorze. Nie będę sprawiał żadnych kłopotów. Mam do załatwienia jedną rzecz, która mi leży na sercu. Mój pastor mówi, że powinienem to zrobić. Potem znikam. Nikt nie musi już się mnie obawiać.

- Czy to ma coś wspólnego z napadem albo zemstą? - spytałem.

- Ani z jednym, ani z drugim. Nikomu nic nie zrobię, inspektorze. Obiecuję.

- Muszę uwierzyć panu na słowo - powiedziałem. - Niech mi pan tego nie każe żałować.

- Dzięki za podwiezienie. Niech pana Bóg błogosławi.

Z tymi słowami wysiadł, trzasnął drzwiami i ruszył pod wiatr podjazdem do pensjonatu, gdzie, jak mi powiedział, miał rezerwację na tydzień.

Później, kiedy zabierałem swoje rzeczy z samochodu i próbowałem wywietrzyć smród dymu, znalazłem religijną ulotkę, którą Kerr zostawił w schowku w drzwiach pasażera, zatytułowaną „Odwróćcie się od grzechu i zaufajcie Mi”. Z tyłu była pieczętka z nazwiskiem i adresem wielbnego Charlesa Bardwella z Coleraine. Nie wiele brakowało, a zmiąłbym ulotkę, potem jednak zmieniłem zdanie i zostawiłem ją tam, gdzie ją znalazłem, na wypadek gdyby jej przesłanie trafiło do następnego użytkownika samochodu.

Wieczorem Debbie zabrała dzieci do swoich rodziców, a ja zostałem z zadaniem wykąpania Franka, naszego jednouchego bassesta.

Właśnie skończyłem go wycierać, kiedy zadzwonił Costello rzekomo po to, żeby się dowiedzieć, jak mi poszło z Kerrem.

- Powiedział, czego tu chce?

- Odniosłem wrażenie, że szuka jakiegoś katharsis, wie pan? Szczerze mówiąc, do końca nie wiem.

- Gówno prawda, Benedikcie. Znam Kerra od maleńkości. Jego ojciec przyszedł kiedyś do nas poskarżyć się, że ktoś wybija mu szyby w szklarni. Ciągnęło się to miesiącami, szyba co noc czy dwie. Okazało się, że to był sam Kerr, wściekły, że stary nie kupił mu jakiejś zabawki. Miał wtedy dziewięć lat. Uwierz mi na słowo, to same kłopoty. Miej na niego oko.

- Tak jest, będę go pilnował - przyrzekłem.

- Trzeba z nim uważać, Benedikcie. - Usłyszałem, jak jego zarost trze o słuchawkę, a oddech przez telefon nabiera brzęczącego pogłosu. - Jak rodzina?

- Wszyscy zdrowi, dziękuję.

- Dobrze, dobrze to słyszeć. Bardzo dobrze.

Wydawało mi się, że próbuje zachować pozory dobrego humoru, ale jego ogólnikowe pytania i uwagi wskazywały na to, że gryzie go coś poważniejszego.

- Wszystko w porządku, proszę pana?

- Wszystko dobrze, Benedikcie. - Przerwał i coś zawisło między nami jak napięcie przed burzą z piorunami.

W końcu się odezwał.

- Ja... dzisiaj złożyłem papiery, Benedikcie.

Chociaż wszyscy podejrzewaliśmy, że Costello niedługo przejdzie na emeryturę, większość z nas uważała, że poczeka z tym do przyszedłego roku, do sześćdziesiątki.

- Przykro mi to słyszeć - powiedziałem, wnosząc z jego tonu, że gratulacje byłyby nie na miejscu.

- Od końca czerwca - powiedział, jakbym się w ogóle nie odezwał.

- Dlaczego? - spytałem. - To znaczy, dlaczego tak szybko? Nie zaczeka pan do przyszłego roku?

- Nie mam już do tego serca, Benedikcie - poskarżył się. - Od tamtej sprawy z Emily.

Żona Costella została zamordowana półtora roku temu w serii morderstw powiązanych ze zniknięciem w latach siedemdziesiątych prostytutki, z którą Costello miał romans.

- Rozumiem.

- Powiedziałem dzieciom. Uważają, że tak będzie najlepiej.

- Jakież plany? Może zacznie pan jeździć na ryby?

Siliłem się na lekki ton, ale Costello zachował powagę.

- Z tego co wiem, układają listę awansów dla nowych nadinspektorów w naszym regionie - ciągnął Costello. - Rozmowy będą w połowie przyszłego miesiąca, więc...

Miałem przecucie, do czego to zmierza.

- Więc?

- Dopilnuj, żeby dostali twój wniosek, Benedikcie.

- Właściwie o tym nie myślałem - stwierdziłem, prawie zgodnie z prawdą.

- To pomyśl teraz - odparł surowo.

- Tak jest. Dziękuję, tak zrobię.

Chociaż się nie odezwał, wyczułem zmianę jego tonu; uspokoił mu się oddech.

- Chciałem odejść u szczytu - powiedział w końcu. - Odejść z sukcesami, wiesz?

- Jasne.

- Uhm - mruknął, jakby zastanawiał się nad jakąś niewypowiedzianą myślą. Potem dodał: - Do zobaczenia jutro, Benedikcie.

I w słuchawce zapadła cisza.

2.

Poniedziałek, 31 maja

W XVII i XVIII wieku Lifford było siedzibą władzy sądowniczej hrabstwa Donegal. Liffordzki sąd, imponujący gmach z piaskowca, był wzniesiony na fundamentach miejscowego więzienia i szpitala dla obłąkanych. Z jego dachu, w dni targowe, wieszano kryminalistów. W dole zbierało się nawet dwanaście tysięcy ludzi wiwatujących, kiedy złodzieje bydła i inni szarpali się i podrygiwali piętnaście metrów nad ziemią, stopami szukali oparcia w murze budynku, z plecami wygiętymi w łuk, próbowali uwolnić się z łańcuchów, którymi skuto im z tyłu ręce.

W jeszcze dawniejszych czasach oskarżonych wieszano na konarach jednego z trzech olbrzymich orzechów, niedaleko Dardnells, tuż za granicą miasteczka. Teraz stoi tam duże osiedle rozprzestrzeniające się powoli w stronę Raphoe, ale ulica, którą prowadzono skazanych - Gallows Lane, aleja Szubienic - wciąż istnieje. Miejscowe dzieci uważają, że jest nawiedzana przez duchy. Wciąż twierdzą - w czasach, gdy nikt już nie wierzy w takie opowieści - że w noc Halloween słychać tam brzęczenie łańcuchów skazańców, a gdy dobrze wytężyć słuch, zawodzenie oskarżonych i skrzypienie dawno martwych konarów.

To właśnie przy Gallows Lane o ósmej czterdzieści pięć następnego ranka dwóch policjantów na rutynowym patrolu zauważyło postać czającą się wśród drzew niedaleko przedszkola. Ruszyli w pościg, ale zgubili podejrzanego na terenie należącym do Petera Webba, Anglika wykładającego w college'u w Strabane. Podczas przeszukiwania terenu policjanci znaleźli pod workami z węglem pakunek zawierający kilkaset sztuk amunicji, trzy pistolety, dwie strzelby i dużą torbę pełną tabletek ecstasy oraz innych narkotyków.

Wczorajsza burza minęła. Poranek przywitały jasne promienie słońca i rześkie powietrze. Chmury rozsiane po jasnym, prawie białym niebie były zaledwie obłoczkami, trawa na polach ciągnących się do Tyrone miała kolor głębokiej bujnej zieleni, miejscami rosły tam gęste kępy rzepaku. Z Gallows Lane widać było w dole rzekę migoczącą w słońcu.

Kiedy przyjechałem na miejsce, teren w promieniu pięciuset metrów otoczono już kordonem; byli tu chyba wszyscy miejscowi policjanci. Costello rozmawiał z dwoma funkcjonariuszami, którzy dokonali odkrycia. Był ubrany w granatowy garnitur, beżowy płaszcz miał przerzucony przez zgiętą rękę. Ubranie się w strój stosowny do wystąpienia przed kamerami nie zajęło mu dużo czasu. Ludzie zebrali się wokół miejsca znaleziska, blisko wlotu Gallows Lane. Podszedłem bliżej; nie mogłem uwierzyć, kiedy się dowiedziałem, kto go dokonał.

Harry Patterson i Hugh Colhoun szczyrzyli zęby oświetlani błyskami fleszy. Trzymali w rękach znaną broń niczym poczęstunek. Mieli powody do radości: oprócz dzisiejszego znaleziska zaledwie miesiąc wcześniej odkryli duży magazyn broni i narkotyków, co uczyniło z nich bohaterów posterunku.

Podczas konfliktu IRA przechowywała swój arsenał w bunkrach wzdłuż granicy. Często były to całkiem profesjonalne konstrukcje, na przykład betonowe schrony przeciwlotnicze z prowadzącymi w dół schodami i doprowadzoną elektrycznością. Wejścia zazwyczaj przykrywano darnią czy kłódami drewna albo, jak w przypadku bunkra na środku pola pod Armagh, stogiem siana. W tamtym przypadku armia brytyjska używała pola jako lądowiska dla swoich śmigłowców transportowych. Dowozili tam i odbierali żołnierzy, którzy patrolowali okolicę i przeszukiwali domy, nieświadomi, że kontrabandę mają dosłownie pod nogami.

Kiedy porozumienie wielkopiątkowe dało nadzieję na pokój w Irlandii Północnej, większość bunkrów zapieczętowano. Gdy

kwestia rozbrojenia bojówek paramilitarnych stanęła na drodze postępu, a rządy zaprosiły do Irlandii Północnej generała De Chastelaina, by spróbował namówić bojówkarzy do pozbycia się broni, prawie wszystkie schrony zostały zalane betonem, a ich zawartość uwięziona na zawsze niczym metaliczne skamieliny. O niektórych jednak zapomniano, bo były małe, bo ich opiekunowie nie żyli, bo istniały rzekomo tylko w miejskich legendach.

Czasami ktoś natykał się na nie przypadkowo. Tak właśnie było w lutym tego roku, kiedy Paddy Hannon, wzięty deweloper, który kupił dwunastohektarową działkę pod Raphoe, zaczął równać teren pod budowę osiedla. Jeden z jego pracowników, usuwający spychaczem korzenie drzew i kamienie, odsłonił wierzch bunkra, zrywając grubą kłódkę z przerdzewiałej stalowej kłapy ukrytej pod trzydziestocentymetrową warstwą darni i gliny.

Wezwał Paddy'ego Hannon, który zszedł do bunkra, żeby się rozejrzeć, przekonany, że odkrył stary schron przeciwlotniczy. Nawet kiedy w świetle latarki zobaczył leżący w kącie stos broni, była ona tak przerdzewiała, że wyglądała jak zabytek z czasów drugiej wojny światowej. Potem znalazł kostki haszyszu ułożone pod ścianą i wezwał miejscowych *gardai*. Patterson i Colhoun przybyli na miejsce i nie mogli uwierzyć we własne szczęście. Wezwali wsparcie i zapisali znalezisko jako własne, by zebrać wszystkie należne za to pochwały.

W sumie odkryto tam kilka pistoletów i karabinów oraz żywicę marihuany wartą w przybliżeniu ponad trzy miliony euro.

Patterson i Colhoun zostali bohaterami. Każdego, kto chciał słuchać, raczyli opowieściami o odkryciu, nie wspominając jednak, że dokonano go na długo przed ich przybyciem, a oni tak naprawdę tylko stali na straży do chwili przybycia brygady antynarkotykowej.

Dzisiejsze znalezisko było o wiele bardziej imponujące, bo wyglądało na efekt skutecznej policyjnej roboty.

Obu znałem dość dobrze - przez ostatnie dwa lata służyliśmy na tym samym posterunku. Patterson, wyższy stopniem, był trochę starszy ode mnie i choć miał rangę inspektora, słynął z ambicji, by zająć wyżej. Twierdził, że postanowił pozostać w mundurze, bo dzięki temu był bliżej ludzi, którym miał służyć, ale wszyscy wiedzieli, że kilka razy składał papiery na detektywa i był odrzucany. Była to przyczyna niemałej wrogości między nami, kiedy pojawiłem się na posterunku jako detektyw.

Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i ważył dziewięćdziesiąt parę kilo, choć jego wzrost sprawiał, że nie było po nim widać tej wagi. Włosy zaczęły mu rzednąć dość wcześnie i podobnie jak wielu innych w tej sytuacji postanowił golić sobie głowę, tak że został mu tylko kontur fryzury. W połączeniu z jego gabarytami sprawiało to, że prezentował się onieśmielająco - a miał także odpowiednią do tego osobowość.

Patterson był rozwodnikiem i zwolennikiem humoru jak z męskiej szatni: otwarcie rozmawiał o seksie oraz komentował figury koleżanek z posterunku, raz zaś przypiął rozkładówkę wyrwaną z jednego ze swoich świerszczyków na lodówce w naszej małej kuchence, z napisem „Pomoc w rozładowaniu napięcia. Do zwrotu po użyciu”. Po skargach kilku kobiet przypiął tam także zdjęcie rozebranego mężczyzny, dodając nowy nagłówek „Do wyboru”. Bronił swojego szowinizmu, twierdząc, że to tylko żarty, a przy tym stawał się gorliwym feministą w towarzystwie kobiet, które uważał za atrakcyjne.

Jego partner, Hugh Colhoun, był zupełnie inny. Wstąpił do An Garda tuż przed czterdziestką i dlatego, chociaż miał czterdzieści pięć lat, wciąż był funkcjonariuszem mundurowym. Miał żonę i trzy córki, poza którymi nie widział świata. Wspierał Pattersona we wszystkim, co tamten robił. Czasami nawet powtarzał ostatnich kilka słów, które jego partner wypowiedział w rozmowie, zgadzając się potulnie z wyrażonymi opiniami, czy je rozumiał, czy nie. W

pracy był powolny i dość dokładny, choć brakowało mu wyobraźni, by ryzykować albo widzieć rzeczy nieoczywiste. Gdybym musiał zgadywać, powiedziałbym, że to Patterson zaproponował przeszukiwanie okolicy po tym, jak zauważyli tam podejrzanie zachowującego się człowieka. A mimo to albo właśnie dlatego, to do Colhouna podszedłem z gratulacjami.

Zaczerwienił się, kiedy rozmawialiśmy, i zaczął rozglądać się za swoim partnerem, który stał pod policyjną taśmą, rozmawiając z Costellem i dwoma mundurowymi konstablami z Raphoe.

- To niewiarygodne, Hugh. Dwa znaleźiska w dwa miesiące.

- Tak - odparł Colhoun, oglądając się przez ramię. - Niewiarygodne.

- W takim tempie niedługo zostaniesz detektywem.

Zaśmiał się z mojego żartu, potem nagle spowaźniał.

- To Harry je znalazł, nie ja, Ben. To on zasłużył na te wszystkie pochwały, nie ja.

- Partnerzy to partnerzy, Hugh, zasługa jest także twoja.

Uścisnąłem mu dłoń, wilgotną i lekką jak powietrze. Miałem wrażenie, że Colhoun jest swoim odkryciem niemal przybity.

Patterson nie był taki skromny. Podszedł do nas z szerokim uśmiechem.

- Chce pan rady, panie inspektorze? Spora odmiana, detektywi przychodzą do mundurowych po pomoc.

Rozejrzał się dookoła, żeby zachęcić innych do poparcia go, a może chciał tylko zobaczyć, czy ma publiczność.

- Tylko gratulowałem Hugh. Dobra robota. - Moja małośćkość nie pozwoliła mi włączyć w to Pattersona. - Robi wrażenie, dwa znaleźiska w dwa miesiące.

- Cóż, ktoś musi... - zaczął Harry, ale przerwał mu Costello, który zjawił się obok mnie.

- To dla nas dobry dzień, co, panowie? - powiedział, łapiąc mnie za łokieć.

- Robi wrażenie - powtórzyłem.

- Świetna robota, chłopcy - ciągnął. - Wracajmy na posterunek, do dziennikarzy.

Ruszyłem za Pattersonem i Colhounem, ale Costello chwycił mnie mocniej.

- Dlaczego nie obserwujesz Kerra?

- Dostałem wezwanie, żeby tu przyjechać - odparłem, już obrażony za rychłe wykluczenie ze sprawy, które przeczynałem.

- Kerr to twój priorytet, Benedykcie. Zrozumiano?

- Tak jest, proszę pana - powiedziałem, ale on pokuśtykał już w stronę największego zbiegowiska, opierając się ciężko na lasce.

Odjeżdżając stamtąd, starałem się nie dać po sobie poznać, jak byłem zawstydzony. Dotarło do mnie, że choć Costello miał rację, że znalezisko dobrze wpływało na wizerunek An Garda, dobrze wpływało także na wizerunek jego samego. I zrozumiałem, że osiągnął sukces, jakiego pragnął przed odejściem na emeryturę.

Przy Porthall odkryłem, że Kerr nie zameldował się w pensjonacie. Właścicielka powiedziała mi, że widziała, jak go wysadzam. Zaczekał, aż odjadę, a potem zawrócił i poszedł drogą, którą wcześniej go przywiozłem.

Wrzucając kierunkowskaz, żeby skręcić z wyjazdu, zauważyłem szczątki jego parasolki z połamanymi drutami, porzucone na skraju trawnika pensjonatu, przycupnięte niczym metalowy pająk.

Kiedy wróciłem na posterunek, zaczęło się już świętowanie. Ktoś skoczył do monopolowego i przywiózł kilka skrzynek piwa; Costello stał w recepcji z dwoma butelkami bushmillsa, którym częstował wszystkich dookoła. Gdy go mijałem, złapał moje spojrzenie i wskazał nowy plakat na ścianie za nim, zapraszający chętnych do składania wniosków na stanowisko nadinspektora. Wręczając mi szklankę, skinął głową. Wziąłem piwo i wycofałem się do składziku w głębi posterunku.

Podczas poprzedniego śledztwa w sprawie morderstwa mój zespół dostał to pomieszczenie jako tymczasowe biuro. Wcześniej wszyscy pracowaliśmy we wspólnej otwartej sali, oprócz Costella, który miał własny gabinet w zachodniej części budynku. Po zakończeniu śledztwa składzik pozostał naszym awaryjnym biurem.

Usiadłem tam, udając, że palę nieprzypalonego papierosa, pijam piwo i przeglądam notatki na temat Kerra, które dał mi Costello. Nigdy nie polubiłem whiskey, tak jak można by się spodziewać po Irlandczyku, i nie potrafiłem rozróżniać marek i roczników, jak niektórzy moi koledzy. Z drugiej strony - w ogóle nie przepadałem za piciem. Czasami czułem się przez to trochę outsiderem wśród innych policjantów z posterunku, którzy często chodzili razem po pracy do pubu. Na pewno dobrze to robiło mojemu życiu rodzinnemu.

Studiowałem wzór śladów po przypaleniu papierosem na biurku, kiedy drzwi się otworzyły i do środka weszła Caroline Williams z dwiema butelkami piwa w rękach.

- Chcesz mieć towarzystwo? - spytała z uśmiechem, podnosząc piwa.

- Jasne, co tam? - odparłem, podsuwając jej krzesło, żeby mogła usiąść.

Caroline i ja byliśmy partnerami już od kilku lat i choć się lubiliśmy, nie mogłem powiedzieć na pewno, że jesteśmy przyjaciółmi. Williams była skrytą kobietą, która nieraz sparzyła się na związkach z mężczyznami, i zachowywała dystans między swoim życiem osobistym a zawodowym. Podziwiałem u niej tę umiejętność i wiedziałem, że dobrze by mi zrobiło, gdybym sam czasem tego spróbował.

- Toja pytam, co tam. Co tu robisz sam?

- Przeglądam akta tego Kerra.

- To było coś - powiedziała, podając mi jedną z butelek, którą wzięłem i postawiłem na biurku. - Patterson i Colhoun. To naprawdę coś.
- Robi wrażenie - powtórzyłem po raz trzeci tego dnia. - Aż trudno w to uwierzyć.
- Dlaczego? - spytała Williams, nieruchomiejąc z butelką przy ustach.
- Tym dwóm trudno rano znaleźć swoje biurka, nie mówiąc o czymś takim.
- Nie sądzisz, że jesteś trochę zły, że to nie my znaleźliśmy? My detektywi i tak dalej? - zapytała Caroline, unosząc brwi.
- Nie... Może. Sam nie wiem. Nie umiem tego określić.
- Hej, jeśli to służy posterunkowi, to służy nam wszystkim. Nie ma co się zastanawiać. - Opróżniła swoją butelkę i wskazała tę, którą przyniosła dla mnie. - Zamierzasz wypić, partnerze? - spytała, a potem beknęła i wesoło się wyszczerzyła.

3.

Wtorek, 1 czerwca

Następny poranek przyniósł nam spektakularny wschód słońca. Ostatnie pasma mgły, snujące się niczym armatni dym u podnóży wzgórz za Strabane, rozwiewały się, a temperatura wzrosła tak, że wszyscy mężczyźni na posterunku o wpół do dziesiątej rozebrali się do krótkich rękawów.

Williams i ja staliśmy przy kuchence i robiliśmy kawę. Patterson i Colhoun jeszcze nie przyszli do pracy; wielu innych cierpiało skutki wczorajszego świętowania. Nawet Caroline przyłączyła się do zabawy. Atmosfera była teraz przyciszona i krucha, powietrze przesycone zapachem miętówek z nutą czegoś mocniejszego w głębi.

Naszą rozmowę przerwał Burgess, który przywłókł się do nas z poszarzałą twarzą.

- Znalaziono zwłoki - powiedział. - Na nowym osiedlu Paddy'ego Hannonna.

Historia Paddy'ego Hannonna była historią sukcesu. Jego rodzina miała podupadającą fermę tuż pod Castlefinn. Kiedy Paddy przejął interes, wpadł na pomysł, żeby zaoszczędzić na dostawcach i sklepach i samemu sprzedawać swoje mleko. Jak wieść niesie, zawitał do każdego domu we wszystkich wioskach rozsianych w strefie przygranicznej i zostawił w każdym darmową butelkę mleka. Kilka dni później odwiedził domy jeszcze raz i zaproponował, że będzie im dostarczał mleko trzy razy w tygodniu po cenie sklepowej. W ciągu następnego sześciu miesięcy zatrudnił trzydziestu pracowników i kupił cztery zlewnie mleka. Po trzech latach wykupił swojego pierwotnego dostawcę. Potem zajął się nieruchomościami i jego majątek niebotycznie wzrósł. Mimo to Paddy nigdy nie stracił swojego podejścia do ludzi i po każdej zakończonej budowie odwiedzał nowych mieszkańców z butelką szampana i koszem owoców, żeby powitać ich w nowym domu. Nic więc dziwnego, że dwa razy zdobył tytuł Człowieka Roku Donegalu, o wiele bardziej pożądany, niż mogłoby się wydawać.

Kiedy przyjechaliśmy na budowę, zastaliśmy Hannonna brnącego przez wszechobecne błoto. Mimo rosnącego upału ziemia była wciąż wilgotna po burzy sprzed kilku dni. Grupa robotników stała pod jednym ze skończonych domów na końcu pola.

Paddy uściśnął każdemu z nas dłoń, a potem poprowadził nas w tamtą stronę. Tymczasem przyjechał patrol mundurowych i natychmiast zaczął rozciągać policyjną taśmę wokół placu.

- To po prostu, kurwa, szok, Ben - powtórzył Hannon kilka razy. - Całkowita katastrofa. Nigdy nie widziałem tyle krwi.

- Co się stało? - spytała Williams.

- Jeden z chłopaków wszedł do tego domu, żeby skorzystać z toalety. Znalazł zwłoki w salonie. Wszędzie krew. Biedak jeszcze nie doszedł do siebie.

- Rozumiem, że nikt jeszcze w tych domach nie mieszka? - spytałem.

- Nie - odparł Paddy. - Są prawie skończone. Zostało trochę malowania i stolarki. - Potem coś mu przyszło do głowy. - Jezu, nigdy ich teraz nie sprzedamy.

Dom był drugim wolno stojącym budynkiem od przeciwległego końca osiedla. Z zewnątrz został już pomalowany, wszystkie okna i drzwi były zamontowane. Dookoła biegła ścieżka z szarego łupku; poszliśmy nią za Paddym Hannonem. Kiedy wyszliśmy na podwórko, zebrał się tam już tłumek. Po zachodniej stronie domu znajdował się salon z podwójnymi, przeszklonymi drzwiami tarasowymi, których jedno skrzydło było otwarte na oścież. Hannon nie przesadzał; faktycznie wszędzie była krew.

Ciało ofiary leżało pod drzwiami, z jedną ręką wyciągniętą jakby w stronę klamki. Twarz dziewczyny - bo to była ona - pokrywała krew; brązowe włosy miała zmierzwione i poprzyklejane do twarzy grubymi strąkami, usta pokryte cementowym pyłem. Widać było wyraźnie, że była dorosła, ale stan jej twarzy utrudniał ustalenie dokładniejszego wieku. Była naga od pasa w dół, co dziwne jednak, miała na sobie zielony, lekki sweter i bluzkę bez rękawów, jedno i drugie mocno poplamione krwią. Na bluzce nadrukowane było zdjęcie uśmiechniętej dziewczyny i słowa „Claire, 2004”. Nogi miała grube i blade, poznaczone licznymi sińcami. Poszedłem po śladach krwi do kuchni i tam znalazłem jej spodnie i majtki, rzucone na podłogę pod szkieletami szafek.

Wróciłem do salonu. Na betonowej podłodze leżała gazeta, otwarta na zdjęciu pięknej modelki topless, wesoło uśmiechniętej.

Williams kucała przy zwłokach i dłonią w rękawiczce gładziła włosy dziewczyny. Spojrzała na mnie wilgotnymi oczami.

- Wszystko w porządku? - spytałem.
- Ktoś ją zatłukł na śmierć - powiedziała po prostu.

Opinię Williams potwierdził John Mulrooney, nasz miejscowy lekarz, który oficjalnie uznał dziewczynę za zmarłą. Staliśmy przed domem, patrząc na ciało, a technicy zaczęli robić zdjęcia i zdejmować odciski palców. Williams poszła posiedzieć w samochodzie, żeby się pozbierać. Wyraźnie rozpoznała ślady, jakie zostawiają pięści mężczyzny na bezbronnym kobiecym ciele.

- Nigdy nie widziałem niczego podobnego - powiedział Mulrooney, kręcąc głową. - Nie, właściwie to widziałem. Takich obrażeń można się spodziewać u kogoś potrąconego przez samochód. Do tego stopnia.

- Co ją zabiło? - spytałem.
- Patolog będzie wiedziała na pewno. Ja bym stawiał na rozległe obrażenia wewnętrzne. Być może pęknięta czaszka; wokół nosa i uszu jest żółtawa wydzielina, choć trudno stwierdzić przez tę całą krew. Łała się z nosa, moim zdaniem, złamanego.
- Domyśla się pan, kto to może być? Wiek? Cokolwiek?
- Powiedziałbym, że dwadzieścia parę lat. Ale nie znam jej. Nie jest stąd.

Splunął na ziemię i z obrzydzeniem pokręcił głową.

Nad nami kołowały dwa jastrzębie, wypatrując myszy na okolicznych polach, a ich przeszywające krzyki były zarazem straszne i piękne.

Kiedy Williams wróciła, przesłuchaliśmy mężczyznę, który znalazł zwłoki. Robertowi McLoone'owi trzęsły się ręce, kiedy palił papierosa, którym go poczęstowałem. Co chwilę oglądał się na

dom, jakby w nadziei, że to, co widział okaże się nieprawdą. Skończył papierosa i zaczął nerwowo masować lewą ręką kark.

- No i poszedłem do domu - wyjaśnił. - Żeby się wysrać, no. Wie pan? Wszyscy tak robimy. Nie ma w tym nic złego, wie pan - dodał z troską.

- Niech się pan nie martwi, panie Robercie - powiedziałem. - Nie ma pan żadnych kłopotów. Nikt nie uważa, że zrobił pan coś złego. Ale musi nam pan opowiedzieć po kolei, jak to było. Dobrze?

Wściekle potarł szyję, patrząc na mnie z ukosa, jakby usiłował ocenić prawdziwość moich słów. Potem pokiwał lekko głową.

- No więc dlaczego poszedł pan do tego konkretnego domu? Czemu nie do jednego z tamtych bliżej? - spytałem.

- No, ten ma kanalizację. Kibel się spuszcza.

Kiwnąłem głową.

- W porządku. Czyli poszedł pan do domu. Co potem?

- No, wszedłem.

- Drzwi były otwarte? - spytała Williams. - Niezamknięte na klucz? Zauważył pan coś niepokojącego na zewnątrz?

McLoone przez chwilę się zastanawiał.

- Nie, otwierałem je kluczem, więc musiały być zamknięte.

- A gdzie był klucz?

- No, pod cegłówką. Zawsze tam jest.

- Nic pan nie widział, otwierając drzwi?

- Nie pamiętam. No, goniło mnie trochę. Spieszyło mi się. Ale chyba nic nie widziałem. Inaczej bym nie wszedł.

Przytaknąłem. Ciało było tak blisko drzwi tarasowych, że prawdopodobnie by go nie zauważył; mógł też nie zauważyć kropli krwi ciągnących się do kuchni.

- Kiedy wszedłem i ją zobaczyłem, to się prawie porzygałem. Od razu wyleciałem na zewnątrz i zadzwoniłem po straż.

- Leży tam gazeta. To pańska?
- Tak - powiedział, mrugając do mnie, z twarzą pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu.

Kiedy poszliśmy z powrotem, klucz wciąż był w drzwiach. Spytałem Paddy'ego Hannona o cegłę, o której wspominał McLoone. Obok otwartych drzwi leżał przewrócony pustak.

- Zostawiamy tam klucz - wyjaśnił Paddy - pod pustakiem. Żeby robotnicy mogli wychodzić i wchodzić, i żebym nie musiał otwierać i zamykać domu za każdym razem, jak któryś z nich chce się wysrać.

- Kto mógł o tym wiedzieć? - spytałem.

- Ja, agent nieruchomości, wszyscy, którzy dla mnie pracują. I podwykonawcy. I chyba każdy, kto kupił ode mnie jakiś dom; zostawiam tak klucze na wszystkich budowach. Na wypadek gdyby właściciele chcieli pomierzyć okna i tak dalej. Gest dobrej woli, wiesz.

Kiedy rozmawialiśmy, z domu wyszedł jeden z techników, mrużąc oczy w słońcu. Miał na sobie niebieski papierowy kombinezon i foliowe worki na butach. Podeszedł do mnie, podnosząc przezroczystą torebkę na materiał dowodowy z czymś cielistym w środku.

- Znaleźliśmy to, proszę pana. Pod zlewem. Wygląda na nową.

Wziąłem torebkę i obejrzałem ją. W środku znajdowała się rozwinęta, ale nieużywana prezerwatywa.

- Jezu, to dopiero - powiedział Hannon. - Na budowach widziałem już wszystkie rodzaje gumek, ale nigdy nieużywanej.

Chrząknąłem w odpowiedzi.

- Jakież odciski palców? - spytałem technika.

- Za dużo, żeby się na coś przydały. Dziesiątki różnych. Prezerwatywy nie sprawdzaliśmy, proszę pana. Zrobimy to w bazie.

Identyfikacja dziewczyny nie trwała długo. Kiedy wróciliśmy na posterunek, Burgess zdążył się już skontaktować ze wszystkimi

okolicznymi posterunkami Garda oraz policji północno-irlandzkiej i poszukać zgłoszeń o osobach zaginionych. W porze obiadu mieliśmy już nazwisko: Karen Doherty.

Jej siostra Agnes zgłosiła zaginięcie w Strabane wcześniej tego ranka. Stała teraz z nami, przed szpitalem w Letterkenny, po identyfikacji dziewczyny. Mój odpowiednik ze Służby Policyjnej Irlandii Północnej, inspektor Jim Hendry, towarzyszył jej. Stał w milczeniu obok, z ręką opartą lekko na jej ramieniu, kiedy pokazywano jej siostrę. Karen została obmyta przed identyfikacją; jej twarz wyrażała teraz dziwną błogość mimo tak okrutnej śmierci. Pracownik kostnicy przytrzymał całun tuż pod jej brodą, tak że Agnes nie zobaczyła siniaków pokrywających resztę jej ciała. Na policzku Karen miała tylko jeden.

Jej włosy zostały umyte i zaczesane do tyłu, odsłaniały wysokie czoło. Rysy miała lekko nieproporcjonalne: nos długi i cienki, usta małe, wargi wąskie i blade. Kiedy ją zobaczyliśmy, jej oczy były zamknięte, a twarz oczyszczona z wszelkich kosmetyków.

Jej siostra miała wiele podobnych cech, choć jej twarz była znacznie bardziej pociągła, a usta trochę pełniejsze. Patrzyła, jak zapalam papierosa, a potem poprosiła, żebym ją jednym poczęstował.

- Rzuciłam wiele lat temu - wyjaśniła, kiedy jej go przypalałam. - Kiedy zaszłam w ciążę.

- Chłopiec czy dziewczynka? - spytałem.

- Chłopiec. Seanny. Karen była jego matką chrzestną.

Każda rozmowa, którą ta kobieta miała prowadzić w najbliższej przyszłości, bez swojej świadomej decyzji, miała dotyczyć jej siostry.

- Tylko ona mi została, nie licząc jego. Nasi rodzice zginęli, kiedy Karen była nastolatką. Wzięłam ją do siebie, zaopiekowałam się nią.

- Jaka była między wami różnica wieku? - spytałem, bo Agnes

Doherty wyraźnie chciała porozmawiać. Było też dla mnie ważne zrozumieć Karen, dowiedzieć się, kim była, jeśli miałem ustalić, jak i dlaczego zginęła. - Osiem lat. Zaszłam w ciążę, rzuciłam szkołę, urodziłam dziecko. Następnym krokiem była wyprowadzka. Ale Karen została w domu. Potem zginęli nasi rodzice.

- Jak?

- W wypadku samochodowym - rzuciła prowokująco, unosząc brodę, jakby dym z papierosa szczypał ją w oczy.

- Współczuję - powiedziałem, trochę niepotrzebnie, ale ona machnęła tylko ręką.

- Karen wprowadziła się do mnie - podjęła. - Byłam... byłam z niej taka dumna. Została w szkole, poszła na studia i tak dalej.

- Czym się zajmowała? - spytała Williams.

- Anglistyka - odparła Agnes, być może ile zrozumiał w pytaniu. - Chciała zostać dziennikarką, pisała do gazet w Strabane.

- Coś kontrowersyjnego? - zapytał Hendry.

- Broń Boże - odparła Agnes, dmuchając na czubek papierosa. - Recenzje filmów i tym podobne.

- Przychodzi pani do głowy ktokolwiek, kto mógłby mieć z nią na pieńku? - spytałem. - Były chłopak? Obecny chłopak?

- Nie miała żadnego - stwierdziła Agnes. - Karen była cudowną dziewczyną. Nie miała żadnych wrogów.

- Wie pani, z kim była wczoraj w nocy? - zapytała Williams.

- Pojechała do klubu do Letterkenny z koleżankami. Na wieczór panieński. Obdzwoiłam wszystkie dziś rano, ale żadna nie wiedziała, gdzie ona jest. Widziały się ostatni raz w klubie. Kiedy nie odezwała się do obiadu, wiedziałam, że coś się stało.

Wydmuchnęła dym jednym, równym strumieniem.

- Będą nam potrzebne nazwiska, panno Doherty - powiedziałem.

Claire Finley pracowała w redakcji tej samej gazety co Karen Doherty. Przyjmowała przez telefon drobne ogłoszenia. Teraz siedziała w redakcyjnej kuchni, paląc papierosa i pijąc kawę z kubka. Williams siedziała obok i obejmowała ją ramieniem. Twarz Claire poznaliśmy z koszulki, którą Karen miała na sobie. Dziewczyna powinna się cieszyć ze zbliżającego się ślubu; zamiast tego opłakiwała śmierć przyjaciółki. I obwiniła siebie.

- Niepotrzebnie wyszłyśmy. Wiedziałam. Ale chciałam wracać do domu - powiedziała, patrząc na nas oboje z błaganiem i nadzieją, że pokiwamy głowami, zrozumiemy i zaoferujemy jakąś pociechę.
- Rozumieją mnie państwo? Musiałam wstać rano do pracy. Chciałam wracać do domu.

Claire wyjaśniła nam, że razem z pięcioma przyjaciółkami, w tym z Karen, pojechały do Letterkenny na wieczór panieński. Najpierw zjadły kolację w lokalnej restauracji, a potem poszły do klubu Manhattan. Jedna po drugiej koleżanki znalazły sobie adoratorów. Powiedziała, że straciła Karen z oczu.

Kiedy potem się spotkały, Karen i innej dziewczyny, Julie, nie było. Julie wysłała jednej z koleżanek SMS, że „zaliczyła” i nie trzeba będzie jej odwozić do domu. Nikt nie miał wiadomości od Karen. Zaczekały na nią jakieś pięć minut, a potem, zakładając, że przydarzyło się jej to samo co Julie, pojechały do domu. Siostra Karen, Agnes, zadzwoniła rano, szukając jej. Claire zbyt szybko wtedy nie przejęła - może Karen odsypiała gdzieś kaca. Ale w porze obiadu wciąż jej nie było, nie zadzwoniła też, że bierze dzień wolny; w dodatku minęły terminy oddania dwóch artykułów, które pisała. Claire skontaktowała się z koleżankami. Dopiero wtedy stało się jasne, że Karen nie wróciła do Strabane.

- Nie widziała jej pani z nikim? - spytałem z lekkim niedowierzaniem. - Przez cały wieczór ani razu jej pani nie widziała?

- Nie, ja... ja... - zaczęła Claire, a potem zalała się łzami, po raz

trzeci od naszego przyjazdu. Spojrzała na Williams, przekrzywając głowę. - Proszę... - wykrztusiła.

- Czy pani Claire i ja możemy zostać na parę minut same, inspektorze? - spytała Williams, ruchem głowy wskazując otwarte drzwi kuchni.

Hendry i ja wyszliśmy na ulicę, korzystając z okazji, żeby zapalić.

- I co o tym sądzisz? - spytał Jim.

- Prawdę mówiąc, Jim, nie wiem. Raport patolog powinien przyjść dziś wieczorem. Na miejscu zbrodni było sporo dziwnych rzeczy. Zamknięte na klucz drzwi, nieużyty kondom.

- Jeśli tylko będziemy mogli pomóc, Ben, daj znać.

- Ktoś będzie musiał pogadać z resztą dziewczyn z wieczoru panińskiego. Mógłbyś się tym zająć?

- Nie ma sprawy. Informujcie nas na bieżąco o tym, co się dzieje u was, dobrze?

Kilka chwil później dołączyła do nas Williams.

- I co? - spytałem.

- Babskie sprawy - odparła. - Wychodzi na to, że Claire poznała wczoraj jakiegoś faceta. Ostatni wyskok przed niewolą. Większość imprezy spędziła na tylnym siedzeniu jego samochodu; oczywiście nie chce, żeby jej narzeczony się dowiedział. Nie ma pojęcia, co się działo z Karen, ale ma cholerne poczucie winy.

Kiedy wróciłem na posterunek, Patterson i Colhoun poprawiali ostatnie detale prezentacji dla mediów. Broń, którą znaleźli, została zapakowana w folię i opisana, a potem wyłożona jak na szwedzkim stole na dwóch złączonych blatach przykrytych białym papierem. Z jednej strony piętrzyły się pudełka z amunicją, na środku leżały strzelby, a z brzegu ułożone jeden obok drugiego rewolwery. Na osobnym stoliku, na honorowym miejscu, położono torbę ecstazy; pigułki wysypywały się z niej.

Costello ubrał się elegancko; zauważyłem, że miał nową, głogową laskę, która być może według niego bardziej pasowała na jego stanowisku.

Kiedy nas zobaczył, zawołał mnie i Williams do swojego gabinetu. Pomieszczenie było skromnie urządzone, pozbawione akcentów osobistych, nie licząc zdjęć dzieci i zmarłej żony. Od śmierci Emily nie widziałem jego córki, Kate. Sama została wtedy ranna i dowiedziała się, tak samo jak ja, że jej ojciec mógł być zamieszany w morderstwo prostytutki. Choć Costello nigdy nic takiego nie powiedział, byłem przekonany, że Kate obwinia go o śmierć matki.

Poruszył się niespokojnie na fotelu, odruchowo pocierając pierś, kiedy nas słuchał. Jego laska wisiała na poręczy; drugą dłonią gładził jej rączkę.

Najpierw omówiliśmy napaść na Karen Doherty. Costello dostał kopię raportu patolog. Dziewczyna otrzymała ciosy pięścią i kopniaki w tył głowy, tułów i nogi. Jedno z uderzeń spowodowało pęknięcie podstawy czaszki. Ale nie samo pobicie ją zabiło. Miała tętniaka, spowodowanego genetyczną słabością mózgu; w końcu pękłby tak czy inaczej, pobicie było jedynie katalizatorem. Testy toksykologiczne wykazały obecność w jej krwi substancji o nazwie gamma-butyrolakton. Co ciekawe, mimo częściowej nagości przed śmiercią nie odbyła stosunku seksualnego, nie była także seksualnie napastowana ani tuż przed śmiercią, ani tuż po zgonie. Co więcej - Karen Doherty w chwili śmierci wciąż była dziewicą.

- Co o tym sądzicie? - spytał Costello.
- Co to jest gamma-butyrolakton, do cholery? - spytałem, najwyraźniej o krok wyprzedzając Williams, która pokiwała głową.

Costello wziął z biurka kartkę i przeczytał, lekko mruczając oczy.

- GBL. Coś, czego używają w rozpuszczalnikach. Może wywoływać seksualną euforię, wzmocnienie doznań, brak koordynacji i utratę przytomności. Może być przyjmowany jako

używką rekreacyjną, ale przy wyższych dawkach efekty są tak silne, że w Zjednoczonym Królestwie jest obecnie najpopularniejszym narkotykiem gwałtu.

- Czyli ktoś jej to podał, może doprawił drinka? - zasugerowała Williams. - A może wzięła sama? Mały odlot przed wyjściem w miasto?

- Jeśli to narkotyk pobudzający seksualnie, czy dziewczyna naprawdę wzięłaby go dobrowolnie? Raczej ktoś jej go dosypał.

- Lepiej skupmy się na tym, co wiemy - ostrzegł Costello. - Co mamy?

- Wiemy, że była w klubie Manhattan w Letterkenny - powiedziała Williams. - Przypuszczalnie ktoś ją tam poderwał.

- Zamierzamy się tam wieczorem trochę rozejrzeć - wyjaśniłem. - Pokazać ludziom jej zdjęcie, może odświeżyłoby komuś pamięć.

- A miejsce zbrodni, inspektorze? Znalazło się tam coś przydatnego?

Spojrzałem na Williams, potem odpowiedziałem. Rozmawialiśmy już o tym w drodze na posterunek.

- Jest kilka spraw. Dom był zamknięty na klucz, więc ktoś go otworzył. Co oznacza, że albo ofiara, albo morderca wiedzieli, że klucz jest pod tym pustakiem... A jeśli Karen Doherty nafaszerowano GBL, raczej nie była w stanie szukać po ciemku kluczy ani otwierać drzwi. Co oznacza, że to morderca wiedział, gdzie go znaleźć.

- Do tego potem zamknął dom - dodała Williams. - Zakładając, że to mężczyzna.

- Chyba możemy to spokojnie założyć, Caroline, zważywszy na skalę jej obrażeń.

- Znalazona przez nas prezerwatywa pasowałaby do częściowej nagości dziewczyny, sugerowałaby aspekt seksualny. Raczej mało prawdopodobne wydaje się, żeby osoba, która

zachowała dziewictwo, nagle oddała się komuś, kogo dopiero poznała. Więc albo znała mordercę bardzo dobrze...

- Albo to był gwałt, który źle się skończył, co potwierdzałyby wyniki toksykologii.

- Dlaczego w takim razie nie doszło do gwałtu, jeśli o to chodziło?

- Może zabił ją przypadkiem, spanikował i uciekł - zasugerowała Williams. - Zamknijcie za sobą drzwi wygląda na daremną próbę ukrycia zbrodni.

- Albo mówi, jaki to zimny drań. Sprawa załatwiona, idziemy dalej - wtrąciłem. - Może zaczęła się budzić, kiedy już miał ją zgwałcić. Zaczął ją bić, zabił, uciekł.

- Co z odciskami palców?

- Odciski McLoone'a zatarły wszystkie inne, które mogły być na kluczu. Nic z tego nie będzie. Są jednak odciski na prezerwatywie i nie należą do Karen.

- Teraz potrzebny nam już tylko podejrzany, który będzie do nich pasował - mruknął Costello. - Kogo mamy na oku?

Tym razem to Williams popatrzyła na mnie. Kiwnąłem głową.

- Uważamy, że to jeden z budowlańców, panie nadinspektorze - wyjaśniła. - Ktoś umiśniony, z dostępem do domu, kto wie, gdzie jest klucz. Od tego zaczniemy. Weźmiemy od Paddy'ego Hannona listę nazwisk jego pracowników. Zatrudnionych i podwykonawców.

- Brzmi dobrze. Informujcie mnie na bieżąco - polecił Costello. Zakładając, że skończył, wstaliśmy.

- Caroline, zostaw mnie i inspektora Devlina na chwilę samych, dobrze?

Williams zerknęła na mnie, wzruszyła ramionami i wyszła.

- Co z Jamesem Kerrem? - spytał. Ta zmiana tematu całkowicie mnie zaskoczyła.

- Hm... zgubiłem go, proszę pana. Wysadziłem go pod pensjonatem, ale dał nogę.

- No to go znajdź - powiedział cicho Costello. - Znajdź go, Benedykcie, i przekonaj, żeby wrócił na drugą stronę granicy. Niech oni się nim zajmą. Ta jedna sprawa wystarczy, żebyśmy mieli co robić.

- Tak jest - odparłem, wciąż stojąc.

- Z zewnątrz nieźle to wygląda, co?

- Tak, panie nadinspektorze.

- To dobre dla posterunku, Benedykcie. Ważne dla nas wszystkich. - Machnięciem wskazał krzesło, z którego dopiero co wstałem. - Siadaj.

Uśmiechnąłem się trochę niepewnie, ale usiadłem.

- Postaraj się w to włączyć, Benedykcie. Takie sukcesy są ważne. Siedzimy po uszy w sprawie tej Doherty, Bóg jeden wie, że Kerr to tykająca bomba, ale znalezisko Pattersona to coś, z czego możemy być dumni; coś, co możemy pokazać gazetom. Rozumiesz?

- Rozumiem - odparłem.

- Myślałeś o tym, co ci mówiłem wczoraj wieczorem? - spytał.

- Panie nadinspektorze, nie jestem pewny, czy interesuje mnie pana posada - zaprotestowałem niezupełnie szczerze. - Poza tym, nawet jeśli uda mi się wejść na listę awansów, nie ma gwarancji, że dostanę przydział tutaj. Mógłbym trafić do Cork. Nie wiem, czy jestem gotów zafundować Debbie i dzieciom taką przeprowadzkę.

Co roku An Garda sporządza listę funkcjonariuszy wybranych do awansu. Ci, którym się powiedzie, trafiają na pierwsze wolne stanowisko, niezależnie od swojego obecnego miejsca pracy.

- Nie martwiłbym się tym na twoim miejscu, Benedykcie. Wystarczy szepnąć słówko komu trzeba i trafiłbyś tutaj. Jeśli wejdiesz

na listę, ma się rozumieć - powiedział Costello z uśmiechem. - Nawet jeśli nie wejdiesz, ten, kto tu trafi, będzie urzędował znów w Letterkenny. Przeniosłem się tutaj tylko dla Emily.

Wskazał zdjęcie na biurku.

Costello poprosił o tymczasowe przeniesienie z Letterkenny do Lifford przed kilku laty, żeby być bliżej domu i żony, u której podejrzewano raka. Emily przeżyła tylko po to, by ponieść gwałtowną śmierć we własnym domu w mroźną sylwestrową noc. Co do mnie, miałem co najmniej taką samą szansę na awans jak ktoś pokroju Pattersona - do chwili jego fartownego znaleziska.

- Oczywiście, wszystko to zależy od Harry'ego - dodał Costello.

- Dlaczego? - Usiłowałem, daremnie, udać obojętność wobec tematu naszej rozmowy.

- Sytuacja wygląda korzystnie dla inspektora Pattersona, Benedikcie. To odkrycie dało mu przewagę, muszę ci powiedzieć. I tak samo dobrze wpłynęło na wizerunek posterunku.

Przytaknąłem.

- Wiem, że to nie w twoim stylu, ale postaraj się być graczem zespołowym, Benedikcie, dobrze? I złóż te cholerne papiery. Taka szansa prędko się nie powtórzy.

Pokiwałem głową trochę niepewnie. Choć bardzo podobała mi się myśl o awansie, nie byłem do końca pewny, czy chcę kierować całym posterunkiem. Ale nie mogłem tego Costellowi powiedzieć.

- A teraz zrobmy dobry show dla chłopców z prasy, zgoda, inspektorze? - zapytał Costello, przerywając nagle moje rozmyślania.

Spojrzałem na niego, jak siedział na tle okiennej ramy. Nad jego ramieniem niebo pobielało, a słońce było zaledwie rozmytą poświatą.

4.

Wtorek, 1 czerwca

Tego wieczoru, po obejrzeniu wiadomości na RTE o dziewiętej, zaniósłem Shane'a, mojego synka, na górę do jego łóżka. Ścisnął mnie za szyję; Debbie szła po schodach za nami z Penny, naszą córką, która łaskotała Shane'a w stopy.

Całą czwórką poszliśmy najpierw do pokoju Shane'a i zmówiliśmy za niego pacierz, potem Penny i Debbie pocałowały go na dobranoc i poszły wyszorować Penny zęby. Od jakiegoś czasu próbowałem nauczyć Shane'a mówić „tata”, ale miał problemy z wymową głoski „t”, więc wychodziło mu „gaga”. Wydawało się to go frustrować tak samo jak mnie; siedział i powtarzał trudne słowo raz za razem, usiłując je opanować. Spróbował kilka razy i teraz, kiedy go kładłem, potem się poddał i przeturlał, wplatając nogi między pręty łóżeczka. Usiadłem i śpiewałem mu, aż zasnął. Potem poszedłem powiedzieć dobranoc Penny, która czytała książkę - prezent od babci - o chomiku, który pojechał na plażę.

- Kupisz mi chomika, tatusiu? - poprosiła.
- Już mamy pieska, skarbie - odparłem. - Frankowi będzie smutno, jak będziesz miała nowe zwierzątko.
- Zaprzyjaźnią się - wyjaśniła, jakby to ona była rodzicem, a ja siedmiolatką.
- Nie wiem, skarbie. Frank to trochę zazdrośnik. Nie wystarczy nam on jeden?
- Ale Frank nie umie mówić tak jak chomiki - powiedziała Penny, kręcąc ze zniecierpliwieniem głową. Zamknęła książeczkę i położyła ją obok łóżka.

Debbie sprzątała ubrania w naszej sypialni. Usiadłem na łóżku i zrelacjonowałem jej swoją rozmowę z Costellem.

- No i Costello uważa, że mógłby to załatwić tak, żebym otrzymał przydział tutaj, jeśli dostanę się na listę. I nie musielibymy się przeprowadzać.

Debbie nie odrywała wzroku od ubrań.

- A chcesz tego? - spytała.

- Szczerze? Nie wiem.

Przewiesiła przez rękę jeden z pajacyków Shane'a i spojrzała na mnie.

- Złóż papiery - powiedziała. - Niech sami rozstrzygną. Jak cię wybiorą, to wtedy będziemy się martwić.

Dwie godziny później Williams, ja i kilku mundurowych przepychaliśmy się przez rozkołysany tłum ludzi, stłoczonych na parkiecie klubu Manhattan. Lokal urządzono zgodnie z nazwą. Ściany obwieszono amerykańskimi symbolami, wielkie gwiazdzone sztandary i konfederackie flagi zwisały z sufitu w sposób kojarzący się ze złotem nazistów. Pod drzwiami stała pomniejszona kopia Statuy Wolności. Jakiś dowcipniś odłamał pochodnię i wetknął w to miejsce puszkę piwa.

Przepychając się przez tłum, poczułem wibracje komórki w kieszeni. Nie znałem numeru; po odebraniu nie słyszałem też ani słowa z tego, co mówił dzwoniący. W końcu doszedłem do wniosku, że nic z tego nie będzie, i postanowiłem oddzwonić później. Zapiisałem numer w pamięci telefonu.

Poszedłem prosto do baru i musiałem krzyczeć, żeby było mnie słychać mimo uporczywego basowego łomotu, który uchodził tu za muzykę. Barman z początku przyglądał mi się podejrzliwie; większość klienteli była w takim wieku, że mogłaby być moimi córkami. Jeśli Penny wyobrażała sobie, że zobaczy wewnątrz klubu przed dwudziestką, to grubo się myliła.

Pokazałem zdjęcie.

- Zna pan tę dziewczynę?! - spytałem.

Barman nie odpowiedział, ale powoli pokręcił głową do rytmu muzyki, który wybijał też ręką na kontuarze.

- Może pan spojrzeć dokładniej?! - krzyknąłem.

Wybił końcówkę rytmu obiema rękami i nachylił się na chwilę nad zdjęciem.

- Już mówiłem - odkrzyknął. - Nie widziałem jej!

- Mogę rozmawiać z kierownikiem?! - zawołałem, ale pokazał gestem, że nie słyszy; przyłożył dłoń za uchem, całym ciałem kołysząc do taktu muzyki i przygryzając wargę w skupieniu.

- Dupek - mruknąłem. Mimo hałasu usłyszał mnie, bo pokazał mi środkowy palec. Może umiał czytać z ruchu warg.

Jedna z dziewczyn zbierających szklanki ze stołów była bardziej chętna do pomocy i kilka minut później kierownik zaprowadził mnie do swojego biura, przez drzwi na zamek kodowy na końcu korytarza, przy którym znajdowała się także damska toaleta. Kiedy rozmawialiśmy, dobiegały stamtąd piski i krzyki dziewczyn.

- Nie znam jej - powiedział kierownik. Przedstawił się jako Jack Thompson. Miał na sobie czarny garnitur i białą lnianą koszulę, rozpiętą pod szyją. Jego włosy, nastroszone na żel, miały rozjaśnione końcówki. Siadł za biurkiem z drewna orzechowego i wskazał mi stojący przed nim fotel.

- Kiedy tu była? - spytał.

- Wczoraj wieczorem. Na wieczorze panińskim - dodałem.

- Cholera, mamy tu dziesięć takich co wieczór, stary. Nic mi to nie mówi. Spróbuj z barmanami.

- Już próbowałem. Nie dostaną raczej w najbliższej przyszłości wyróżnień za obywatelską postawę.

- Są za fajni, żeby gadać, stary - mruknął Thompson. - Obsługa przy wejściu może być bardziej pomocna.

- Obsługa przy wejściu? - powtórzyłem.

- Bramkarze - wy tłumaczył. - Tyle że nie możemy ich już tak nazywać. Że to niby im, kurwa, uwłacza.
- Nie wiedziałem, że bramkarze są tacy wrażliwi.
- Nasz personel jest doskonale wyszkolony i ma wszystkie certyfikaty - wyjaśnił Thompson. - Najlepsi z najlepszych, stary.

Prawdziwość twierdzeń Thompsona została wystawiona na próbę dość szybko. Jeden z pracowników obsługi pamiętał Karen Doherty; wyrzucił ją z klubu. Choć on sam określił to „wyprowadzeniem”.

Darren Kehoe miał dwadzieścia cztery lata i ważył sto pięćdziesiąt kilo. Kołnierzyk jego koszuli opinał się na szyi rozmiarów hydrantu przeciwpożarowego. Włosy miał obcięte na jeża, nos płaski i zadarty, oczy osadzone głęboko i blisko siebie, co podkreślało wypukłość jego czoła.

- Dlaczego wyprowadziłeś ją z lokalu, Darren? - spytał Thompson. Kehoe siedział na dwuosobowej kanapie pod ścianą, z rękami na kolanach; czarna marynarka ciasno opinała jego cielsko. Ja siedziałem znów na fotelu, a Thompson przysiadł na skraju biurka z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

- Była pijana - odpowiedział Kehoe, wodząc wzrokiem od szefa do mnie. - Przewracała się. Musiałem ją podnosić z parkietu.

- Widzisz, stary - wyjaśnił Thompson - możemy podawać im alkohol, ale nie akceptujemy pijanych. Nie chcemy awantur. I w pełni współpracujemy z miejscowymi *gardai* - dodał, podkreślając słowo „miejscowymi”.

- Nie wątpię - stwierdziłem i dodałem: - Stary.

Thompson spojrział na mnie z ukosa, potem odwrócił się z powrotem do Darrena.

- Widział ją pan z kimś po tym, jak ją pan wyprowadził? - spytałem.

- Nie. Podniosłem ją, wystawiłem za drzwi. Poszła w boczny

zaułek, może żeby się odlać. Żeby... - Z widocznym wysiłkiem zaczął szukać innego określenia. - Żeby zrobić siku - powiedział w końcu.

- Która była godzina?
- Chyba po pierwszej.
- Macie kamery na zewnątrz? - spytałem. - Panie Thompson? - dodałem, żeby zwrócić na siebie jego uwagę.
- Jasne, stary. Każę komuś się tym zająć.

Wziął z biurka telefon, zadzwonił do jakiegoś Johna i wyjaśnił, czego chce. Kilka minut później John stanął w drzwiach z płytą DVD.

Thompson wsunął ją w czytnik małego monitora za biurkiem i wolno przewinął do przodu. Faktycznie, tuż po pierwszej w nocy zobaczyliśmy Karen Doherty wyrzucaną na chodnik przez Darrena Kehoe. Przez chwilę leżała na ziemi, oszołomiona, potem podniosła się z trudem i krzyknęła coś w stronę drzwi. Owinęła się mocniej zielonym swetrem i odeszła niepewnym krokiem poza zasięg kamery. Potrafiłem zrozumieć, czemu Kehoe wziął ją za pijaną, choć podejrzewałem, że było to raczej działanie narkotyku gwałtu, który wykryliśmy w jej krwi.

Minutę czy dwie później pojawiła się z powrotem. Wtedy zatrzymał się przy niej czarny samochód. Gołe ramię sięgnęło przez fotel pasażera i otworzyło drzwi. Karen zajrzała do samochodu i chyba coś powiedziała. Rozpoczęła się trwająca blisko minutę rozmowa, a potem, rozejrzawszy się po raz ostatni, być może za koleżankami, dziewczyna chwiejnie wsiadła do auta, to zaś odjechało.

Kąt filmowania sprawił, że nie zobaczyliśmy tablic rejestracyjnych. Poprosiłem Thompsona, żeby przewinął nagranie i zatrzymał je na ręce sięgającej do drzwi. Nie było na niej żadnych pierścieni ani biżuterii, ale była wielka i gruba, z muskularnym przedramieniem. Widać było na nim ciemny kształt, ciągnący się od nadgarstka do łokcia. Nachyliłem się bliżej do ekranu.

- Co to jest? - Wskazałem obraz.
- Chwilka. - John zabrał się do przycisków monitora. Powiększył trochę obraz, wystarczająco, żebyśmy zobaczyli ciemny kształt, ale nie na tyle, żeby go zidentyfikować.
- Wygląda na jakiś tatuaż - powiedział. - Ale wyraźniej już się niestety nie da.
- Widział pan to? Wczoraj w nocy? - spytałem Kehoe, który pokręcił głową. - Ktoś inny z obsługi przy wejściu mógł widzieć?
- Nie, raczej nie - odparł bramkarz. - Wczoraj było sporo bólek. Mieliśmy dużo roboty.
- A narkotyki? Pojawiają się tu? - spytałem go.
- Jak już mówiłem, inspektorze, w pełni współpracujemy z miejscowymi *gardai* - powtórzył Thompson.
- Wiem - odparłem. - Ale ja nie mówię o narkotykach rekreacyjnych. Uważamy, że ta dziewczyna dostała w waszym lokalu narkotyk gwałtu. To mogło tłumaczyć jej stan, kiedy obsługa wyrzuciła ją na chodnik.

Thompson wyraźnie zbladł i z trudem przełknął ślinę. Kehoe sprawiał wrażenie lekko ogłuszonego; twarz miał pustą, jakby nie potrafił przetworzyć tej informacji.

- Chyba zrobiliśmy już dla pana wszystko, co mogliśmy, inspektorze - oznajmił Thompson, odsuwając się od biurka i wstając.
- Może pan zabrać nagranie z kamery ze sobą.
- Będę w kontakcie z miejscowymi *gardai*, panie Thompson; może się pan spodziewać w najbliższych tygodniach kampanii antynarkotykowej w swoim klubie.

Thompson nic nie powiedział, kiedy wychodziłem. Przypuszczalnie rozważał, jak coś takiego wpłynie na jego interesy.

Williams miała w klubie mniej szczęścia. Kilku gości rozpoznało twarz Karen, ale to wszystko. Nikt nie pamiętał jej z wczorajszego wieczoru; nikt nie widział, żeby z kimś wychodziła; nikt nie umiał w żaden sposób pomóc. Mało kto chciał pozwolić, żeby śmierć tej dziewczyny popsowała mu zabawę.

5.

Środa, 2 czerwca

Dopiero następnego ranka, kiedy podłączałem komórkę do ładowarki w samochodzie, przypomniałem sobie, żeby oddzwonić na nieznany numer. Nie poznałem głosu, dopóki Paddy Hannon się nie przedstawił.

- Ben, przepraszam, że przeszkadzam - powiedział, głosem przerywanym przez trzaski.

- Paddy, interesy czy sprawa towarzyska? - spytałem, przypalając pierwszego papierosa tego dnia.

- Interesy, i to twoje. Przyszło mi coś do głowy... w sprawie... znaleziska.

- Słucham, Paddy? Co ci przyszło do głowy?

- W telewizji... pokazywali broń. Rozpoznałem... nie było... polu.

- Co?! - zawołałem do słuchawki.

- ...oni... nie... zna...

Podniosłem głos jeszcze bardziej, potem dotarło do mnie, że krzykiem nic nie poradzę na kiepskie połączenie.

- Wpadnę na budowę - obiecałem i rozłączyłem się. Dodałem nazwisko Paddy'ego do numeru zapisanego wczoraj w nocy, zawróciłem samochód i pojechałem do Raphoe.

Piętnaście minut później Paddy Hannon przedstawił mi swoje obawy.

Oglądając poprzedniego wieczoru w wiadomościach reportaż o znalezisku na ziemi Webba, zauważył torbę pigułek ecstasy, którą ja oglądałem dzień wcześniej. Przypomniał sobie, że widział

podobną torbę w bunkrze odkrytym na jego terenie miesiąc wcześniej. Coś go tknęło; spróbował zadzwonić do mnie na numer, który mu dałem. Nie mogąc się ze mną skontaktować, wyszukał nagrany reportaż na temat swojego znaleziska. Twierdził, że żona go nagrała, bo Paddy udzielał tam wywiadu, a ona chciała pokazać go siostrze. Tak naprawdę wszyscy wiedzieli, jaki był próżny; trzymał pewnie wycinki i nagrania wszystkich swoich wystąpień w mediach.

Oglądając nagranie, zobaczył, że kiedy prezentowano narkotyki z bunkra, nie było ecstasy. Jeszcze raz sprawdził wycinki prasowe, które zachowała żona - znów ani wzmianki. Torba, przekonywał, była zbyt charakterystyczna, żeby się pomylił albo ją zapomniał. Na sto procent była, twierdził, w bunkrze na jego działce. Pomyślał, że to trochę dziwne. Postanowił dać mi znać.

Skłamałem, zapewniając, że nie zawsze prezentujemy wszystko, co znaleźliśmy; że pewnie jest jakieś wyjaśnienie i się tym zajmę.

Zanim poszedłem, przypomniałem sobie nagranie z kamer przed klubem.

- To zabrzmiało trochę głupio, Paddy, ale ilu z twoich pracowników jest muskularnych i ma tatuaże?

- Jesteśmy na budowie, Ben. Powiedziałbym, że tak wygląda większość pracujących tu mężczyzn. I część kobiet.

Wracając do samochodu, zastanawiałem się nad podejrzeniami, które miałem w dniu drugiego odkrycia na Gallows Lane, ale te myśli pociągały za sobą tylko pustkę.

Kiedy przyjechałem na komisariat, Colhoun robił sobie i Pattersonowi po kubku kawy w posterunkowej kuchni. Oczy miał spuchnięte i przekrwione. Świątowanie najwyraźniej przedłużyło się o następny dzień, bo oddech Hugh cuchnął po wczorajszym przepiciu. Właściwie cały posterunek był tego ranka wyciszony. Sam Patterson siedział zgarbiony nad klawiaturą komputera i surfował w Internecie.

Kiedy wszedłem, Colhoun oglądał właśnie pornograficzny komiks, który jego partner przyczepił na lodówce. Przekrzywił głowę na bok, najwyraźniej usiłując dociec, kto w plataninie kończyn robi co i z kim. Podskoczył, kiedy powiedziałem „dzień dobry”, i zaczerwienił się lekko przyłapany na oglądaniu świństw.

- Ben, ja... nie zauważyłem cię - wyjąkał, sypiąc czubate łyżeczki cukru do jednego z kubków.

- Właśnie widzę. Jak tam, Hugh? Przyjemny był wieczór?

- No, świetnie było, Ben, super. Wiesz jak to jest, czasami trzeba spuścić trochę pary - powiedział towarzyskim tonem.

- Dobrze wypadliście w telewizji, Hugh, obaj, ty i Harry.

- Nie podlizuj się. Żona kazała mi kupić nowy garnitur, wiesz.

Colhoun uśmiechnął się i zamrugał, jakby patrzył w słońce. Wyrzaz twarzy miał dość tępy, pozbawiony chytryści, ale wciąż zerkał na boki. Strasznie go lubiłem, ale wiedziałem też, że w relacji z Pattersonem to on był słabszym ogniwem.

- Kto wpadł na pomysł, żeby podzielić pierwsze znalezisko, Hugh? - spytałem, uśmiechając się ciepło i przyjaźnie, wbrew temu, co akurat czułem. Rumieniec na jego twarzy zniknął niemal natychmiast; Hugh oblizał kilka razy wargi, zerkając za moje plecy, gdzie Patterson, miałem nadzieję, wciąż siedział rozwalony na krześle i dochodził do siebie po wczorajszych ekscesach.

- Co? O co ci chodzi, Ben? - Zaśmiał się nieprzekonująco, a potem odwrócił z powrotem do kubków i zaczął mocować z zakrętką słoika z rozpuszczalną kawą.

- Wiem, że te pigułki, które znaleźliście u Webba, pochodziły z zeszłego miesiąca. Dzwonił do mnie Paddy Hannon, powiedział mi. Poznał je, Hugh. To był głupi ruch; wybraliście akurat to, co mógł poznać. Czyj to był pomysł? Harry'ego?

- Co Harry'ego? - spytał Patterson, stając tak blisko mnie, że poczułem zapach piwa w jego oddechu. Położył mi dłoń na karku.

Grube, twarde palce napięły się na mojej skórze. - Co Harry'ego, Devlin?

- Ben pytał tylko o znaleźisko, Harry. To wszystko. No, gratulowałem nam - wyjął Colhoun, wodząc pospiesznie wzrokiem ode mnie do partnera. - Zrobiłem kawę, Harry.

- Stul pysk, Hugh. Łeb mi pęka.

Patterson puścił mój kark, ale stanął przede mną. Powstrzymałem chęć wytarcia potu z jego dłoni w miejscu, gdzie dotykała mojej skóry.

Powinienem być odejść albo przynajmniej zgodzić się z Colhounem. Ale tego nie zrobiłem.

- Mówiłem, że skontaktowałem się ze mną Paddy Hannon i powiedział, że poznał pigułki z waszej wczorajszej prezentacji.

Uważa, że znaleźliście je u niego w zeszłym miesiącu. Chyba wątpi, że zostały odkryte u Webba - wyjaśniłem.

Im Colhoun bardziej się denerwował, tym Patterson bardziej uspokajał. Uśmiechnął się do mnie, choć w jego spojrzeniu nie było ciepła.

- Co cię gryzie, Devlin? Wkurzyłeś się, że cię to ominęło? Że jak staniesz przed komisją awansów, nie będziesz miał czym się pochwalić?

- Daj spokój, Harry. - Usłyszałem Williams, która stanęła w drzwiach do kuchni.

- Stul, kurwa, pysk - warknął Patterson, celując w nią palcem.

- Uważaj, co mówisz - powiedziałem, odpychając mocno jego rękę.

Doszło do przepychanki i zobaczyłem, że Patterson podnosi rękę do ciosu w tej samej chwili, kiedy ja podniosłem swoją. Do bójki jednak nie doszło. W drzwiach pojawił się Burgess. Popatrzył na nas podejrzliwie, a potem wskazał na mnie.

- Nadinspektor pana prosi, detektywie.

Costello najpierw spytał o informacje w sprawie Karen Doherty. Opowiedziałem mu, co się działo poprzedniej nocy w klubie Manhattan. Stwierdziłem, że moim zdaniem kierowca samochodu, do którego wsiadła Karen, był mordercą. Wspomniałem także o tatuażu. Zamierzałem zaangażować dział techniczny w Letterkenny do pracy nad nagraniem, ale wątpiłem, żeby dało się na nim zobaczyć cokolwiek wyraźniej.

Costello zapytał następnie o sprawę Kerra - choć nie byłem świadom, że to w ogóle jest jakaś sprawa. W końcu, kiedy miałem już wyjść, zapytał:

- Co tam się działo, Benedykcie? Między tobą a Pattersonem?
- Nic, panie nadinspektorze - odparłem.
- Coś z Paddy Hannonem? - Burgess najwyraźniej podслуchał naszą rozmowę i doniósł o niej Costellowi.
- Jest problem z tymi znaleziskami. - Spojrzałem szefowi prosto w oczy. Odpowiedział mi tym samym. - Wczoraj wieczorem skontaktował się ze mną Paddy Hannon. Twierdzi, że torba ecstasy, pokazana wczoraj podczas prezentacji rzeczy znalezionych u Webba, pochodzi z bunkra odkrytego miesiąc temu na jego działce. Jest zdania, że nie była umieszczona w tamtym spisie znalezisk. Nie powiedział tego wprost, ale podejrzewa chyba, że ktoś, jakiś policjant, podrzucił je na działkę Webba. Webb nie był jeszcze nawet przesłuchany, więc to nie wygląda dla nas za dobrze.

- Paddy Hannon ci to powiedział? - spytał Costello, przygryzając wewnątrz policzka.

Kiwnąłem głową.

- Tego nam tylko trzeba. A już było tak dobrze. Jezu, Benedict. - Potarł twarz nasadą dłoni. - Słuchaj, nic nikomu o tym nie mów. Ja się tym zajmę.

- Co...? - Powstrzymałem się od wyrażenia podejrzenia, że Costello wiedział o tych znaleziskach więcej, niż mi mówił. - Nieważne, panie nadinspektorze.

Wieczorem, tuż po tym, jak położyłem dzieci spać, zadzwoniła do mnie Williams i powiedziała, że Peter Webb został aresztowany w celu przesłuchania w sprawie broni i narkotyków znalezionych na jego działce, na końcu Gallows Lane.

6.

Czwartek, 3 czerwca

Peter Webb był po pięćdziesiątce. Przeprowadził się do Lifford na początku lat osiemdziesiątych ze środkowej Anglii. Dostał posadę wykładowcy nauk społecznych w Instytucie Dalszej Edukacji*, który otwarto w Strabane. Mimo to twierdził, że postanowił zamieszkać w Donegalu, ponieważ stąd pochodziła jego rodzina. Wiodło mu się dobrze, kupił mały szeregowy domek w centrum Lifford.

* Rodzaj szkoły wyższej, typowy dla anglosaskiego systemu edukacji (przyp. tłum.).

Po kilku latach poznał i w końcu wziął za żonę dziewczynę z Belfastu, Sinead McLaughlin. Choć członkowie jej rodziny byli republikanami, żona Webba nie podzielała przekonań swojego rodzinstwa, co podkreślało samo małżeństwo z Webbem - angielskim protestantem. Podobnie jak wielu innych angielskich socjalistów, którzy przenoszą się do Irlandii, poglądy Webba skłaniały się nieco ku antyangielskości, co początkowo sprawiało, że miejscowi traktowali go jeszcze podejrzliwiej. Jediną osobą, która cieszy się mniejszym zaufaniem niż Anglik walczący z Irlandczykami, jest Anglik, który Irlandczyków popiera.

Webb był wysoki i żyłasty, za chudy na swój wzrost, co nadało mu wygląd człowieka przestrzegającego drastycznej diety. Włosy, kiedyś brązowe, teraz miał głównie siwe; podobnie jak równo przystrzyżona broda. Do czytania potrzebował okularów, ale nabrał zwyczaju noszenia ich nasuniętych na czoło, kiedy z nich nie korzystał, żeby się nie zgubiły. W ten sposób miał je założone teraz, kiedy siedział w sali przesłuchań, z głową przekrzywioną lekko w bok i usiłował odczytać nazwiska i inicjały swoich poprzedników, wy drapane na ścianie obok krzesła.

Patterson stał przy otwartych drzwiach, przytrzymał je stopą i rozmawiał z Costellem. Widziałem Colhouna siedzącego cierpliwie naprzeciwko Webba; jego postawa tak wyraźnie kontrastowała ze zrelaksowaniem przesłuchiwanego, że przypadkowy obserwator nie odróżniłby, który z nich jest policjantem, a który podejrzanym. Z drugiej strony Webb nie był tak naprawdę podejrany.

Nic nie wiedział i zdawał sobie sprawę, że nie ma czym się przejmować. Zauważyłem, że Patterson nie nagrywał nawet przesłuchania. Podejrzałem, że coś z tego, co powiedziałem, do kogoś dotarło: Webb został zwinięty, żeby przekonać wszystkich, że znalezienie broni nie było trefne.

Kiedy przechodziłem obok, nie potrafiłem spojrzeć w twarz ani Costellowi, ani Pattersonowi. Usłyszałem, co mówi nadinspektor.

- Niech zadzwoni, a potem posiedzi przez nockę. Spróbujcie jeszcze raz jutro rano.

Patterson nie odpowiedział, ale kiedy odchodziłem, byłem pewny, że wpatruje się w moje oddalające się plecy.

Williams i ja posiedzieliśmy trochę nad listą budowlańców, dostarczoną przez Paddy'ego Hannona. Wysłałem dwójkę mundurowych na budowę, żeby spisali wszystkich, którzy mieli tatuaże na przedramionach. Poza tym jeden z techników w Letterkenny próbował oczyścić dla nas nagranie z kamery z klubu.

Kiedy Williams poszła, żeby zadzwonić do Centrum Kontroli w Dublinie i poprosić o sprawdzenie ewentualnej przestępczej przeszłości niektórych kandydatów z listy Paddy'ego, ja zająłem się Jamesem Kerrem. Chociaż uważałem to za stratę czasu, musiałem spróbować go odszukać, bo zażądał tego Costello. Problem w tym, że nie miałem pojęcia, jak to zrobić. Nie wiedziałem, gdzie się zatrzymał, a jego rodzina dawno już nie mieszkała w tej okolicy. Zastanawiałem się nad tym rano w drodze do pracy i przypomniałem sobie jedyny kontakt do Kerra, jaki miałem. Wyszperałem religijną ulotkę, którą zostawiłem w samochodzie tamtego dnia, kiedy się poznaliśmy, i zapisałem numer telefonu wielebnego Charlesa Bardwella.

W ciągu następnej godziny próbowałem kilka razy do niego zadzwonić, w przerwach od przeglądania danych robotników Paddy'ego Hannona - jedno i drugie bez powodzenia. Posterunek opustoszał w porze obiadu; przez otwarte tylne drzwi wpadło do środka trochę świeżego powietrza. Stałem tuż za progiem i paliłem, kiedy przyszła Helen Gorman, nowo przyjęta mundurowa. Wyglądała na dość zirytowaną.

- Popsuły się wam tu telefony czy jak? - spytała, cała czerwona, z włosami sterczącymi spod czapki.

- Telefon nie dzwonił - odparłem, pstryknąłem niedopałek do rynsztoka i wszedłem do środka. Zauważyłem, że po ostatniej próbie skontaktowania się z Bardwellem źle odłożyłem słuchawkę. Posterunkowy telefon był zajęty już od jakiegoś czasu.

- Było włamanie do apteki Harkina - wyjaśniła Gorman, trochę spokojniejsza. - Musieli dzwonić do Letterkenny, żeby ktoś przyjechał. Posłali mnie samą.

- Coś zginęło?

- Ja... jeszcze tam nie byłam. Miałam nadzieję na jakieś towarzystwo. Na wypadek gdybym coś schrzańiła. Pojedzie pan?

Spojrzałem na rozłożone na biurku notatki. I tak było za ciepło, żeby siedzieć w biurze, powiedziałem sobie.

- Czemu nie?

Apteka Harkina to mały budynek przylegający do brzegu rzeki. Właściciele mają także większą aptekę w Ballybofey, dlatego ich filia w Lifford jest czynna tylko po południu. Dopiero w porze obiadu otwierająca aptekę dziewczyna zauważyła, że w nocy kopnięciem wyłamano tylne drzwi. Wisiały na jednym zawiasie; wokół klamki widać było wyraźnie kilka brudnych śladów buta.

Kiedy przyjechaliśmy, sprzedawczyni, Christine Cashell, stała na zewnątrz i paliła. Wyrosła z niej całkiem ładna dziewczyna; miała długie, rude włosy związane z tyłu w kucyk, delikatne rysy twarzy, cerę jasną i czystą. Poznałem ją już wcześniej, kiedy prowadziłem sprawę morderstwa jej młodszej siostry Angeli.

- Co u mamy? - spytałem.

- W porządku - powiedziała Christine. - Chodzi na jakiś kurs maszynopisania, wieczorowo. Raczej... daje sobie radę.

- A tata? Jakież wieści od Johnny'ego?

Popatrzyła na mnie podejrzliwie, jakby starała się ocenić, czy pytam ze szczerego zainteresowania, czy chcę ustalić alibi. W końcu, przekonana o moich dobrych intencjach, wzruszyła ramionami.

- Czasami dzwoni. Nie widzieliśmy go od czasu... wie pan, od czasu Angeli.

Żadne z nas przez chwilę się nie odzywało, potem Christine odsunęła się, jakby fizycznie dystansując się od tej rozmowy i wspomnień, które budziła w nas obojgu.

- Lepiej posprzątam - powiedziała. - Pan Harkin już tu jedzie.

Razem weszliśmy do apteki. Zaskakujące, ale w środku prawie nic nie było uszkodzone. Rozejrzałem się dookoła, szukając jakichś innych śladów włamania.

- Tutaj - powiedziała Christine, jakby czytając w moich myślach.

Leki były przechowywane za ladą, w pozamykanych na klucz szafkach z drzwiczkami oznaczonymi literami: „A-D”, „E-L”, „M-R”, „S-Z”. Tylko dwoje ostatnich drzwiczek zostało wyłamanych, najwyraźniej wyrwanych z zawiasów; małe zamki były pogięte, już nie do naprawienia.

- Może warto byłoby poszukać odcisków palców - zasugerowałem Helen Gorman, choć ona wyjęła już zestaw do zdejmowania odcisków (tak nowy, że podejrzewałem, że jest używany po raz pierwszy). Moje podejrzenie potwierdziła ostrożność, z jaką Helen zabrała się do pracy.

Po paru chwilach stało się jasne, że nic z tego nie będzie. Drzwiczki były pokryte odciskami palców tak gęsto, że miejscami biały lakier ginał pod czarnym pyłem daktyloskopijnym.

- Coś zginęło? - spytałem Christine.

- Muszę poczekać na pana Harkina - wyjaśniła. - Ma spis inwentaryzacyjny do porównania.

- Wygląda mi to na zaplanowaną robotę - powiedziałem. - Tylko dwoje z czterech drzwiczek otwartych, co sugeruje, że szukali czegoś konkretnego. - Gestem wskazałem wewnątrz apteki. W kącie stała szklana gablota z aparatami cyfrowymi. Nawet jej nie tknięto. - Bardzo zdecydowany złodziej - zauważyłem, podchodząc do gabloty. - Masz do niej klucz?

- A kupuje pan? - spytała Christine, podchodząc, żeby ją otworzyć.

- Raczej pożyczam - odparłem, sięgając po jeden z aparatów. - Będę też potrzebował baterii - dodałem, a Christine pytająco uniosła brwi.

Kiedy kilka chwil później przyjechał Paul Harkin, wyszedłem za aptekę i sfotografowałem ślady butów zostawione w błocie przy uszkodzonych tylnych drzwiach. Zanim skończyłem, Harkin ustalił już, co zginęło.

- Cholera, to były leki na raka piersi! - warknęła Gorman, odpalając samochód i ruszając z powrotem na posterunek, kiedy już skończyliśmy z Harkinem. - Dokąd ten świat zmierza?

Okazało się, że złodziej był niebywale wybredny. Włamał się do szafki „M-R”, żeby ukraść pudełko z nolvadeksem używanym do leczenia raka piersi. Z szafki „S-Z” zniknęło także kilka pudełek pierwotnej formy tego leku, tamoksifenu.

- Po co mężczyzna miałby kraść lekarstwa na raka piersi? - spytałem raczej sam siebie niż Gorman.

- A to nie mogła być kobieta? - odparła pytaniem Helen. - biorąc pod uwagę ten lek, to bardziej prawdopodobne.

Ona prowadziła, a ja przeglądałem zdjęcia w aparacie „pożyczonym” od Harkina. Pokazałem jej fotkę śladu buta na drzwiach.

- Tylko jeśli jest siostrą Hulka i nosi adidas w rozmiarze czterdziestym piątym.

- Słuszna uwaga - przyznała.

- Właściwie - powiedziałem, wyłączając aparat - warto byłoby to wydrukować. - Schowałem go do schowka na rękawiczki. - A jak skończysz - dodałem - powinnaś go chyba oddać Harkinowi.

Pokiwała pospiesznie głową, jakby nie przeszło jej nawet przez myśl, żeby zrobić inaczej.

- Co za chory drań kradnie lekarstwo na raka?

- Ja bym stawiał na Lorcana Huttona. - Zasugerowałem naszego lokalnego handlarza narkotyków. - A kiedy go zwiniecie, chciałbym z nim porozmawiać też o czymś innym.

Brzydka pogoda ostatnich tygodni w końcu minęła i niebo było olśniewająco niebieskie. Kilka poszarpanych chmur wisiało nad wzgórzami za Strabane, a słońce z każdym dniem wspinało się coraz wyżej. Dzikie rododendrony obsypały się kwiatami wielkimi jak męska pięść; ich liście były soczyście zielone. Pojechałem za Croaghan Heights, drogą, z której rozpościerał się panoramiczny widok od Lifford w głąb Donegalu. Jadąc, paliłem i zerkałem na

ziemię Petera Webba, trzy rzeki mijane w drodze do Strabane, gdzie pięć olbrzymich metalowych posągów tancerzy i muzyków wydawało się wirować i kręcić w czerwcowym słońcu.

Myślałem o wszystkim, co się wydarzyło przez ostatnich kilka dni: morderstwie Karen Doherty, znalezieniu broni i narkotyków, przyjeździe Kerra, zbliżającym się awansie na posterunku i starciu z Pattersonem. W żołądku zagnieździł mi się niepokój rozchodzący się w ciele jak wibracja i wywołujący drzenie dłoni, którą trzymałem papierosa. Daremne wysiłki poukładania myśli przerwał mi Burgess, zgłaszający przez radio, że Kerr je obiad w restauracji nad rzeką. Nadinspektor Costello życzył sobie, żebym tam do Kerra dołączył.

Łyżkę trzymał w zaciśniętej pięści. Zgarbiony na krześle, nachylał się do talerza zamiast podnosić łyżkę do ust. Wciąż miał na sobie to samo ubranie co tamtego dnia, kiedy się poznaliśmy. Jego włosy wyglądały jak cień na głowie; na policzkach pojawił się zwiastun brody. Niebieska płócienna torba, którą wtedy miał, wisiała teraz na oparciu jego krzesła.

Skinąłem głową kelnerce; kiedy podeszła, zamówiłem kawę i usiadłem naprzeciwko Kerra. Zauważyłem, że choć w restauracji było sporo gości, większość siedziała w sporej odległości od niego, biorąc go być może za włóczęgę. Podejrzywałem, że wyprowadzenie ich z błędu i ujawnienie, że to były skazaniec, wcale by ich nie uspokoiło.

- Nocuje pan na dworze? - spytałem. Chrząknął i dalej pałaszował zupę, przerywając, żeby zetrzeć strużkę z brody; krawędź łyżki chrobotła cicho o rzadki zarost. - Niech pan nie zwraca na mnie uwagi - powiedziałem, a potem podziękowałem kelnerce, która przyniosła kawę, i gestem dałem do zrozumienia, że dziesięć euro, które jej wręczyłem, jest też zapłatą za zupę.

Kerr ruchem głowy wskazał odchodzącą dziewczynę.

- Dzięki.
- Nie ma pan pieniędzy, prawda, panie Kerr? To dlatego nie nocował pan w tym pensjonacie?

Znów kiwnął głową, odrywając kawałek bułki, którą dostał, i smarując go grubo masłem.

- Jak zamierzał pan za to zapłacić? - spytałem.
- Pomyślałem, że pojawi się ktoś od was i za mnie zapłaci - odparł z uśmiechem.
- A gdzie pan nocuje?
- Gdziekolwiek złożę głowę, tam jest mój dom - zanucił fałszywie i wrócił do jedzenia.
- Nie może pan nocować na polu, wie pan o tym, prawda?
- Co pan robi, aresztuje mnie za włóczęgostwo?
- Jeśli pan chce. Będzie pan miał suchy pokój na noc. Śniadanie nie jest najwspanialsze, ale przynajmniej jest obsługa.
- Nie, dziękuję, panie inspektorze. Podróżuję z tym, co mam, jeśli ktoś zaproponuje mi jedzenie i dach nad głową, to Bóg z nim. Jeśli nie, zetrę kurz tego miasta ze swych stóp, odchodząc.

Mówił to bez cienia ironii, bez poczucia absurdalności własnych słów. Zamrugał naiwnie oczami i spytał:

- Mogę dostać też deser?
- Wstałem, by wyjść.
- Panie Kerr, mam pana „wypędzić z miasta”, że tak powiem. Nie zrobię tego, bo uważam, że jest pan w porządku. Proszę tylko, niech moje zaufanie do pana nie okaże się błędem.
 - Doceniam pańską szczerłość, panie inspektorze. Chcę z kimś porozmawiać. Kiedy to zrobię, ruszę w drogę, obiecuję.
 - Powie mi pan, kto to? - spytałem.
 - Nie. Ale chcę tylko porozmawiać, nic więcej.
 - Żadnej przemocy?
 - Nie z mojej strony, przysięgam na honor. - Podniósł prawą dłoń, lewą położył na piersi.

Wychodząc, dałem kelnerce jeszcze dwadzieścia euro.

- Niech mu pani da, co będzie chciał, i odda resztę - powiedziałem, a potem jeszcze się do niej odwróciłem. - Kiedy będzie wychodził, proszę go skierować tam. - Ruchem głowy wskazałem Strabane.

- Niech Bóg pana błogosławi, inspektorze - zawołał za mną Kerr, kiedy otwierałem drzwi restauracji. Obejrzałem się. Siedząca przy sąsiednim stoliku rodzina gapiła się na niego; matka miała twarz ściągniętą z odrazy, jakby krzyknął coś nieprzyzwoitego. Kiedy do niej mrugnął, cała rodzina się przesiadła.

Wieczorem siedziałem w ogrodzie i patrzyłem, jak Frank bawi się kością gryzakiem. Zachodzące słońce nasyciło powietrze różową poświatą. Puchate chmury wyglądały jak wata cukrowa, a czerwone kwiaty azalii nabierały koloru krwi. Shane siedział obok mnie w swojej huśtawce, kręcił się w foteliku i powtarzał bez przerwy „Gaga”. Jego małe twarzyczka była wykrzywiona w grymasie determinacji. Debbie i Penny wyszły na dwór i usiadły na schodach ze mną, każda z miseczką lodów, którymi się ze mną podzieliły. Nasz dom jest oddalony o kilka kilometrów od najbliższego sąsieda. Leży na takim odludziu, że poza brzęczeniem pszczół w ogrodzie panuje tu całkowita cisza. Debbie uśmiechnęła się do mnie, podając mi łyżeczkę lodów. Świat mógłby być wielką pustynią, a ja nie miałbym nic przeciwko temu. Penny wtuliła się we mnie, wycierając umorusaną lodami buzię w moją koszulę. Objąłem ją ramieniem i zmierzwiłem jej włosy, domyślając się, że te czułości zapowiadają prośbę.

- Czego ci potrzeba, skarbie? - spytałem. Uśmiechnęła się do mnie; mleczne zęby miała poplamione truskawkową polewą, a nad górną wargą śmietankowy wąs.

- Niczego!

- A tak naprawdę? - spytałem, unosząc brew i patrząc na nią z udawaną podejrzliwością.

- Chomika Harry'ego - uznała, szczerząc się tak, że aż zmrużyła oczy. - Proszę.

Spojrzałem na Debbie, która wzruszyła ramionami i pchnęła Shane'a na huśtawce.

- Zobaczmy - powiedziałem.

Penny ścisnęła moją nogę i przytuliła się.

- Dzięki, tatusiu. Kocham cię!

- Ja ciebie też, skarbie - odparłem. Słońce dotknęło grzbietów wzgórz na zachodzie, wypełniając powietrze oślepiającą eksplozją ciepła, która zabarwiła chmury na pomarańczowo i czerwono i sprawiła, że ścisnęło mi się gardło.

7.

Piątek, 4 czerwca

Następnego ranka, kiedy siedziałem w samochodzie i paliłem pierwszego papierosa tego dnia, Burgess zgłosił się przez radio i powiedział, że Sinead Webb dzwoniła na posterunek, twierdząc, że ktoś czai się na jej działce. Na posterunku nie było wolnych policjantów, a ponieważ nie miałem nic innego do roboty, zgłosiłem się na ochotnika.

Dom Webba znajdował się na końcu Gallows Lane, ale wejście było od strony starej ścieżki dostępnej od Coneyburrow, ledwie mieszczącej dwa samochody i obsadzonej rododendronami i narstnicami.

Dom był dość nowoczesny, ale zaprojektowany w stylu prawie postkolonialnym. Pokoje na piętrze od frontu - domyślałem się, że to sypialnie - miały balkony wychodzące na podwórze. Główne

wejście było okolone bielonymi doryckimi kolumnami, kontrastującymi z łososiowym różem ścian budynku. Podwójne drzwi były z ciężkiego mahoniu z grubymi mosiężnymi okuciami. Zastukałem dwa razy kołatką i cofnąłem się, wypatrując w oknach sypialni oznak życia. Jedne z przeszklonych drzwi sypialni po prawej były uchylone; za firanką poruszającą się lekko w porannym wietrze zobaczyłem, zdawało mi się, zarys postaci patrzącej w dół. Kiedy zauważyła, że ją obserwuję, cofnęła się szybko. Potem usłyszałem szcęk zasuw i frontowe drzwi otworzyła Sinead Webb.

Była młodsza, niż się spodziewałem, może o dziesięć lat młodszą od męża. Brązowe włosy miała krótko ostrzyżone i lekko nastroszone, wycieniowane na karku. Choć miała na sobie podomkę, na jej policzkach widać było róż, który podkreślał nienaturalną zielen jej oczu.

Podomka była jedwabna i pani Webb miała pod nią długą nocną koszulę. Była szczupła, miała małe piersi i ziemistą cerę. Jej wiek najłatwiej było ocenić po szyi, której skóra była pomarszczona, w przeciwieństwie do zadbanej twarzy.

- Chodzi o Petera? - spytała bez tchu, zanim zdążyłem się odezwać, patrząc ponad moim ramieniem na radiowóz, który zaparkowałem na jej podjeździe.

- Nie, pani Webb. Wszystko w porządku - uspokoiłem ją i przedstawiłem się. - Przyjechałem w sprawie intruza.

- Ach, tak - odparła i zaśmiała się krótko. - Och, proszę wejść.

Zaprowadziła mnie do kuchni, gdzie na blacie przy zlewie leżały resztki wczorajszej kolacji. Na sosnowym stole stała prawie pusta butelka białego wina i dwa kieliszki, jeden ze śladami szminki.

- Przepraszam, trochę tu bałagan - powiedziała, nonszalanckim gestem wskazując zlew. - Bardzo się przestraszyłam. Musiałam zadzwonić, żeby ktoś do mnie przyjechał na noc. Przyjaciółka - dodała szybko.

Kiwnąłem głową na to kłamstwo i nic nie powiedziałem.

- Więc jak, chce pan rysopis czy coś takiego? - spytała, nie siadając i zmuszając tym samym do stania także mnie. Podejrzywałem, że żałowała, że zaprosiła mnie do środka, i teraz chciała się mnie jak najszybciej pozbyć.

- Cóż, może mi pani powie, gdzie widziała... jego? Ją?

- Jego, zdecydowanie jego. Stał na skraju ogrodu, tam pod jabłoniami. - Podeszła do okna i wskazała trzy czy cztery jabłonki, rosnące jakieś dwieście metrów od domu.

- Co robił? - spytałem.

- Po prostu tam stał - odparła. - Obserwował dom. Robiłam kolację, a on tam stał. Gapił się.

- Czy on... coś robił? - spytałem, usiłując znaleźć odpowiednie słowo na to, o co chciałem spytać. - No wie pani? - Sugestywnie pokiwałem głową.

- Och, takie coś! - Zaśmiała się dźwięcznie. - Nie, nic takiego. Tylko patrzył.

- Wyszła pani do niego?

- Nie, nie. Ta osoba, która tu ze mną była, podeszła do okna, a kiedy go zobaczył, uciekł - powiedziała i po ułamku sekundy uświadomiła sobie, że ujawniła w jednym zdaniu dwa kłamstwa. Jej przyjaciel był tu cały czas i z całą pewnością to był on.

Pani Webb się zaczerwieniła i zaczęła nerwowo szukać w kieszeni podomki papierosów. Poczęstowałem ją swoim i skorzystałem ze sposobności, żeby samemu zapalić. Wyciągając zapalniczkę, zobaczyłem, że pani Webb miała kolorowe szkła kontaktowe - jedno przesunęło się trochę i wokół zieleni lewego oka widać było obwódkę piwnej tęczówki. Kobieta zdała sobie sprawę, że się jej przyglądam, i poruszyła się niespokojnie.

- Czyli uciekł, kiedy zobaczył pani przyjaciela? - spytałem.

Kiwnęła głową.

- Pomyślałam, że to mógł być jakiś dziennikarz czy ktoś taki. Wie pan, w sprawie aresztowania Petera, ale był za kiepsko ubrany. Dżinsy i jakiś sweter. Łysy.

Kiwnąłem głową.

- Chciałbym się tam rozejrzeć, pani Webb. Poza tym będziemy mieli oczy otwarte. Jeśli znów się pojawi, proszę nas wezwać. Zgoda?

Uśmiechnęła się.

- Dziękuję, panie inspektorze - powiedziała, otwierając tylne drzwi i wypuszczając mnie do ogrodu.

Obszedłem jabłonki, wdzięczny za chłód w ich cieniu, i udawałem, że oglądam ziemię pod nimi w poszukiwaniu dowodów, na wypadek gdybym miał widownię w domu. W rzeczywistości wiedziałem, kim był ten włóczęga, i domyślałem się, że raczej żadnych dowodów tu nie znajdę. Istniała szansa, że Kerr szukał miejsca na nocleg. Albo szukał kogoś, kogo mógłby okraść z drobniaków. Albo po prostu kogoś szukał, tak jak mówił w restauracji.

Przyglądając się ziemi, próbowałem odczytać numery rejestracyjne dwóch samochodów zaparkowanych za domem. Jednym był stary vauxhall vectra, drugim czerwony ford puma, ale stał tak, że nie widziałem jego tablic. Mimo to podejrzewałem, że jeden z nich należy do tajemniczego przyjaciela. Kończąc papierosa pod jabłonią, zdałem sobie sprawę, że ktoś przygląda mi się z okna na piętrze. Spojrzałem w górę i zobaczyłem obserwującą mnie panią Webb przygryzającą wargę. Może zaczęła się zastanawiać, czemu nie spytałem jej o rzeczy znalezione na ich działce.

Kiedy wróciłem na posterunek, Williams robiła kawę i pokazała gestem, że zrobi też dla mnie. Zostawiłem swoje rzeczy w naszym gabinecie i stanąłem, z rękami w kieszeniach, słuchając krzyków dobiegających z biura Costella. Poczułem mściwą satysfakcję,

kiedy wyszli stamtąd Patterson i Colhoun, obaj zdecydowanie nieszczęśliwi. Twarz Colhouna miała odcień zieleni, który dotąd widziałem tylko u zwłok, a Patterson przybrał podobnie niespotykany odcień czerwieni. Mruknął coś do swojego partnera, a potem pchnął tylne drzwi i wyszli na zewnątrz.

Williams podała mi kubek, a potem oparła się o blat obok mnie i ruchem głowy wskazała wolno zamykające się drzwi.

- Komuś jest niewesoło, co?

- No cóż. Jakoś przeżyje - odparłem, zwracając do biura. Williams poszła za mną, usiadła za biurkiem i zaczęła udawać zainteresowanie dokumentem w przegródce z listami przychodzącymi.

- Może to jakaś sprawa między wyższymi stopniem - powiedziała w końcu. - Powiesz mi, co się dzieje, czy mam się domyślać, jaki macie problem z Pattersonem?

Popatrzyła na mnie znad kubka kawy.

- Słucham?

- Ty i Patterson. Co się dzieje? Mam chyba prawo wiedzieć, partnerze - odparła, a choć jej ton był żartobliwy, wyczuwałem w nim niewypowiedzianą urazę.

Otworzyłem usta, ale nie udało mi się nic powiedzieć i tylko napiłem się kawy. Potem, nie wiedząc, od czego zacząć, opowiedziałem jej o spotkaniu z Kerrem i wszystkim, co się wydarzyło potem, do chwili, kiedy aresztowano Petera Webba, żeby przesłuchać go w sprawie, o której nic nie wiedział.

Williams dmuchała na swoją kawę, słuchała uważnie i nie reagowała, słysząc te rewelacje. Kiedy skończyłem, przez chwilę milczała, a potem spytała:

- No i co teraz zrobimy?

- My? Myślałem raczej, że samotnie spierdolę tę sprawę.

- Nie ma mowy. Zapowiada się zbyt ciekawie - stwierdziła Williams, uśmiechnęła się i wypita duszkiem wystudzoną kawę.

- Ciekawie?

- Wiesz, o co chodzi, szefie. Poza tym ja wiem o tym wszystkim coś, czego ty nie wiesz.

- Co takiego?

- Powiem ci, jak będę miała ochotę.

- Zrozumiałem aluzję, Caroline. Przepraszam, że ci nie powiedziałem. Ja... - Zacząłem się tłumaczyć, ale Williams uspokajająco podniosła rękę.

- Już wystarczy. Wołałam, jak nic nie mówiłeś. Zainteresuje cię pewnie, że Peter Webb wyszedł stąd trzydzieści minut temu.

- Dlaczego? Myślałem, że będą go dzisiaj jeszcze raz przesłuchiwać.

- Bo mieli. Costella obudził dzisiaj o wpół do szóstej jakiś VIP i zażądał, żeby Webba natychmiast wypuścić.

- Jezu, kto?

- Nikt nie wie. Ktoś z samej góry. - Caroline wskazała palcem sufit.

- Bóg? - spytałem z kpiącą powagą.

- Wyżej - odparła. - Komenda regionalna. Jeden z zastępców komendanta głównego.

- Żartujesz.

Zaangażowanie zastępcy komendanta głównego w taką sprawę było jak rozbijanie orzeszka młotem pneumatycznym. Chyba że, oczywiście, dowiedzieli się w jakiś sposób o podejrzeniach wobec autentyczności broni znalezionej u Webba. W takim wypadku trop mógł prowadzić do mnie.

- Cholera. - Zacząłem rozumieć. W tym momencie w drzwiach naszego biura stanął Costello i wskazał mnie palcem.

- Co za bajzel. - Ze sieknięciem opadł na swój fotel. - Od początku do końca, jedna wielka katastrofa.

- Co się stało? - spytałem.

- Dostałem telefon od zastępcy komendanta głównego. Żądała

informacji na temat „aresztowania” Webba. Aresztowania! Kiedy tylko usłyszała, że go przesłuchujemy, powiedziała jasno i wyraźnie: wypuścić go.

- Jakim cudem Webb ma dojścia do zastępcy komendanta?
- Nie ma. Dostała rozkazy z góry.
- Jezu.
- Właśnie. Wobec tego nie wiem, w co Patterson wdepnął, ale ja muszę teraz to wytrzeć z naszych butów, Benedykcie.
- Niezła metafora, panie nadinspektorze.
- Nie dokazuj. Czego chciała jego żona?
- Mówiła, że miała intruza.
- I co?
- To był James Kerr. Rozpoznałem go z opisu.
- Co on tu jeszcze robi? Myślałem, że kazałeś mu się zabierać z powrotem za granicę.
- Próbowałem... on nie robi nic złego.
- Widziałeś się z nim wczoraj?

Kiwnąłem głową.

- Powiedział, że chce się z kimś zobaczyć, a potem wyjeżdża. Obiecał, że nic nikomu nie zrobi.
- Obietnica byłego skazańca? Chyba mięknie, inspektorze.
- Moim zdaniem on nie kłamie.
- W takim razie co robił pod domem Webba?
- Myślę, że to właśnie z Peterem Webbem chce się zobaczyć. Costello oparł głowę na dłoniach i zapatrzył się na blat biurka.
- Proszę, pozbądź się go, zanim znowu coś się wydarzy.
- Niech pan tylko pomyśli - powiedziałem, wstając. - Za parę tygodni będzie mógł pan o tym wszystkim zapomnieć.
- Wnocha, inspektorze - warknął Costello, nie podnosząc wzroku.

Po południu zrobiłem sobie po cichu wolne i zabrałem Penny od rodziców żony, którzy opiekowali się nią i Shane'em. Radiowozem

Garda zawiozłem ją do Letterkenny - na dwupasmówce zaryzykowałem nawet włączenie syreny, z minimalną zachętą ze strony córki, która, jak podejrzewam, uważa to za trochę infantylne.

Zatrzymaliśmy się przy Judge's Road pod sądami i poszliśmy do sklepu zoologicznego. Dwadzieścia minut później wracaliśmy do Lifford; w dłoniach Penny tkwił zwinięty w kulkę maleńki, kremowo-brązowy chomik, a jej twarz rozjaśniały zachwyt i ciekawość. Gdyby tylko wszystkie związki w życiu dawało się tak łatwo utrzymać, a wszystkie wymagania tak łatwo spełniać...

Odwiozłem Penny z powrotem do dziadków. Wyładowywałem właśnie klatkę, poidła i opakowania z sianem, kiedy w radiu zatrzęszczał głos Burgessa. Właściciel sklepiku w Dardnells zgłosił, że ktoś wypytywał o Petera Webba - ktoś podejrzany. Burgess uważał, że może to mieć związek z intruzem.

Christy Ward pochodził z Derry i w latach siedemdziesiątych należał do ruchu republikańskiego. Podczas krwawej niedzieli stracił przyjaciela i co dziwne, o ile wydarzenie to stało się zachętą werbunkową Provosów, Christy'ego obrzydziło do tego stopnia, że spakował się, przeniósł do Donegalu, a całe pieniądze zainwestował w mały domek ze sklepem, w którym sprzedawał i mieszkał. Nigdy się nie ożenił. Choć krążyły plotki, że jest homoseksualistą, skłonności te nigdy nie wyszły na jaw i pozostawał kawalerem.

Chociaż miał już pod siedemdziesiątkę, wciąż pracował w swoim sklepiku. Bardzo dokuczał mu artretyzm; zanim wygrzebał z kasy drobne do wydania reszty, większość ludzi poddawała się i prosiła, żeby je wrzucił do skrzynki na datki. Ci o mniej chrześcijańskim duchu sugerowali, że Wardowi pogarszało się nagle, kiedy trzeba było wydać grubszą resztę. Wiedziałem, że to nieprawda,

bo kilka razy widziałem, jak wrzuca pieniądze do pudełka hospicjum Foyle, które trzymał na ladzie.

Kiedy przyjechałem, siedział na stołku przy wejściu, z papierosem ściszanym w powykrzywianej dłoni, tak powykręcanej przez chorobę, że prawie bezużytecznej. Spojrzał na mnie, osłaniając drugą ręką oczy przed słońcem.

- Christy, co u ciebie?
- Jakoś żyję, Ben, jakoś żyję. Jak rodzina, Debbie i maluchy?
- Wszyscy świetnie, Christy, wielkie dzięki. Podobno miałeś gościa.

Ward pokiwał głową, zaciągnął się ostatni raz niedopałkiem i rozgniół go o nogę stołka. Potem opowiedział mi, co się stało.

Około trzeciej, kiedy kupowałem chomika w Letterkenny, do sklepu Christy'ego przyszedł Anglik w średnim wieku, rzekomo po to, żeby kupić butelkę wody. Stał przy ladzie, przyciskając butelkę do czoła zroszonego potem. Mimo upału miał na sobie pognieciony, szary wełniany garnitur.

- Diabelski upał - stwierdził, podając Christy'emu butelkę mokrą od potu.

- Byłoby gorzej, gdyby padało. - Christy wziął butelkę za korek, żeby zeskanować cenę.

Anglik popatrzył na niego zza okularów przeciwsłonecznych, których nie zdjął. Twarz miał czerwoną, może od gorąca, chociaż Christy twierdził, że wyglądał jak stary pijak. Kiedy odwzajemnił jego spojrzenie, mężczyzna się uśmiechnął, a potem rozejrzał po sklepie, jakby sprawdzał, co jest na półkach.

- Może będzie mi pan mógł pomóc - powiedział.
- Ach tak?
- Ach tak - odparł nieznajomy, a Christy zaczął się zastanawiać, czy z niego nie kpi. - Nie wie pan przypadkiem czegoś o tej znalezionej broni?

Wyjął z kieszeni zwitek banknotów. Położył na ladzie dwadzieścia euro, żeby zapłacić za wodę, która kosztowała nieco ponad jedno euro.

- O jakiej znowu broni? - spytał Christy, sięgając po pieniądze. Kiedy ich dotknął, Anglik przycisnął banknot palcem do lady.

- Tej znalezione parę dni temu.
- Pan też jest dziennikarzem?
- Tak. - Mężczyzna patrzył teraz na półkę ze słodyczami i wybierał czekoladowy batonik.

- No to pana załatwili. Cała reszta już była i pojechała.

Nieznajomy znieruchomiał i popatrzył na Christy'ego.

- Pracuję nad dalszym ciągiem - powiedział, biorąc jakiś batonik na chybił trafił i kładąc go na ladzie.

Christy skierował go na pole Paddy'ego Hannonna i dwadzieścia euro zostało uwolnione.

- Dziękuję panu. Reszta dla pana - mruknął mężczyzna.

Wychodząc, wziął paczkę widokówek z Donegalu ze stojaka przy drzwiach i zaczął się nią wachlować, jakby powiew ciepłego, dusznego powietrza, które kierował na twarz, mógł przynieść mu ulgę w upale.

Christy wrócił od stojaka i pokazał mi, jakie widokówki wziął nieznajomy.

- Dziennikarz, akurat. Widziałem bardzo dużo dziennikarzy i wystarczająco dużo Anglików, żeby bez pudła rozpoznać Brytola. Nie był z wojska, ale stawiam ten sklep, że z wydziału specjalnego.

- Jest pan pewny? Może to był fotograf albo jakiś reporter?
- Nie, nie miał dłoni kogoś, kto pisze. Były usmarowane olejem, z ogryzionymi paznokciami. Na szyi miał bliznę. Mówię panu, inspektorze: wydział specjalny. Przecież nie miał nawet ze sobą pieprzonego dziennikarskiego notesu.

Christy pokręcił głową, nie mogąc uwierzyć, jak słaby był kamuflaż nieznajomego.

Wieczorem, po siódmej, upał jeszcze się wzmógł. Nawet jedzenie kolacji było wysiłkiem, od którego skóra mnie szczypała, a koszula przylepiła się do pleców. Soczysty błękit nieba zniknął, rozmył się jak akwarela; płynące wysoko chmury barwiły je na biało. Tuż po zachodzie słońca z zachodu nadsięgnęły czarne chmury burzowe, gnane nad wzgórzami Donegalu znad Atlantyku. Wziąłem prysznic dla ochłody i siedziałem na tylnych schodkach z kawą i papierosem, kiedy pierwsze ciężkie krople deszczu rozbryznięły się w zakurzonej trawie. Temperatura spadła niemal w jednej chwili; ulewa kłuła skórę jak igły i łomotała w dach naszej ogrodowej szopy.

Poszedłem do kuchni i stojąc w drzwiach, dokończyłem papierosa. Debbie cmokała i narzekała na smród. W końcu, obrabowany z przyjemności palenia, pstryknąłem niedopałek do kałuży, która w parę chwil pojawiła się pod drzwiami. Zgasł z sykiem.

- Co u Costella? - spytała Debbie, naciągając folię spożywczą na miskę sałatki owocowej, którą przygotowała dzieciom na jutrzejszy obiad.

Opowiedziałem jej o swoim spotkaniu z nadinspektorem i zawołanej groźbie, że kwestionując autentyczność znaleziska, mogę narobić sobie kłopotów podczas rozmowy z komisją awansów.

- Co mam robić? Jeśli napiszę raport na Pattersona, będzie to wyglądało, jakbym go wsypywał, żeby się wybić. Jeśli nie napiszę, awans ma w kieszeni.

- Rób to, co zawsze robisz, Ben. Dryfuj!

- Ja nie dryfuję - zaprotestowałem bez przekonania, siedząc przy stole i patrząc, jak Debbie pracuje.

- Całe twoje życie opiera się na dryfowaniu. To nie jest zarzut. Sprawy zawsze układają się jak najlepiej, tylko im nie przeszkadzaj. - Poklepała mnie po głowie, a potem wróciła do swojego zajęcia. - A teraz pomówmy o ważniejszych sprawach. Co powiesz na masaż stóp?

Zanim położyłem się spać, dokończyłem pisać aplikację na stanowisko nadinspektora i włożyłem ją do koperty, którą Debbie obiecała wysłać jutro rano. Potem poszedłem na górę zajrzeć do dzieci. Shane nabrał ostatnio zwyczaju spania na boku, z jedną nogą wysuniętą między prętami łóżeczka i zgiętą. Cicho odmówiłem dziękczynną modlitwę za niego i Penny; niebo rozjaśniły pręgi błyskawic, a okna zadrżały od pierwszego grzmotu. Pomyślałem o Jamesie Kerze, śpiącym gdzieś w krzakach, i pomodliłem się też za niego. Jak się okazało, to nie on potrzebował tej nocy moich modlitw.

8.

Sobota, 5 czerwca

Następnego ranka poziom wody w rzekach był wysoki. Zwłaszcza Finn, płynąca wzdłuż granicy między Clady a Donegalem, kilka kilometrów na południe od Lifford, pędziła niezwykle szybko pod mostem łączącym Północ z Południem. Deszcz ustał tuż przed świtem i w powietrzu była ta rzeźkość, która rani płuca przy pierwszym oddechu. Temperatura była niższa niż poprzedniego dnia, ale słońce stało wysoko i odbijało się w falach rzeki jak w odłamkach lustra. Wilgoć przy ziemi zaczynała już wysychać, a nad asfaltową nawierzchnią unosiły się kłęby pary.

Na końcu Gallows Lane agent nieruchomości, Johnny Patton, pokazywał dom obiecującej klientce. Obiecującą klientką była żona szefa Johnnynego, a jedyną częścią domu, jaka ją interesowała, był sufit sypialni. Johnny rozkoszował się właśnie papierosem po seksie, stał przy oknie sypialni i podziwiał ogród, zachwycony i wyczerpany, kiedy zauważył, że na jego skraju coś zwisa z konaru dębu. Po bliższych oględzinach zadzwonił na policję i znaleziono Petera Webba.

Kiedy przyjechałem tam, ciało wciąż wisiało. Fotograf ekipy technicznej robił mu zdjęcia pod różnymi kątami. Potem pojawił się jeden z naszych ludzi z drabiną, wspiął się na drzewo i odwiązał sznur.

W końcu zwłoki Webba opuszczono na ziemię i kilku policjantów jednocześnie rozmasowało zdrętwiałe szyje - ostatnie pół godziny spędzili, patrząc w górę.

Mięśnie Webba zeszytywniały, a jego twarz była wykrzywiona i stężała. Skóra nabrała niebieskawego odcienia, język spuchł. Oczy powieszzonego, szeroko otwarte za okularami, dziwnie przypominały szklane kulki - rozmyte, niebieskie i nieskupione.

- To dziwne - powiedziałem.
- Co? - spytał Black, jeden z naszych mundurowych strażników.
- Ma okulary. Samobójcy z reguły nie mają.
- To znaczy? Ludzie w okularach nie popełniają samobójstw?
- Nie - odparłem. - Ludzie popełniający samobójstwa zazwyczaj nie mają okularów.
- To kwestia inteligencji? - Patrzył na zwłoki, jakby starał się ocenić iloraz inteligencji Webba.
- Chodzi mu o to, że kiedy ktoś noszący okulary chce popełnić samobójstwo, najczęściej je zdejmuje - wyjaśniła ze zniecierpliwieniem Williams.

- Dlaczego? - dociekał Black, potwierdzając tym samym moją wcześniejszą ocenę sugerującą, że nigdy nie wyjdzie ponad poziom mundurowego, choć ma ciekawską naturę dziecka połączoną z uczniowską skłonnością do zadziwiania się wszystkimi nowymi rzeczami, których się dowiadywał.

- To jakbyś szedł spać. Nie kładziesz się do łóżka w okularach.

Czekałem, aż odpowie „Ale ja w ogóle nie noszę okularów”, ale zaskoczył mnie: popatrzył tylko na mnie, potem z powrotem na ciało.

- Może nie chcą, żeby się połamały - zasugerował.

- Może - zgodziłem się.

Costello przyjechał dziesięć minut później, choć z trudem wspiął się na pochyłość ogrodu, na której szczycie staliśmy. Kiedy mówiłem, ścisnął mnie za ramię, jak starszy krewny, który musi się na kimś wspierać.

- Wszystko wygląda dość jasno: samobójstwo. Lekarz już tu był, powiedział to samo, czekamy na wyniki autopsji.

- Nigdy nie zrozumiem samobójstwa, Benedykcie - powiedział smutno. - To takie... nienaturalne. - Poklepał mnie po ramieniu i zawrócił do samochodu. - Przekaż delikatnie wiadomość jego żonie, Ben. Dopilnuj, żeby wiedziała, że pomożemy jej, jak tylko będziemy mogli. - Skinąłem. - Dzięki Bogu, że nie zrobił tego, kiedy u nas siedział - dodał Costello, pokręcił głową i odszedł.

Pani Webb nie płakała, kiedy przekazałem jej wiadomość o śmierci męża. Cała zeszywniała i siedziała wyprostowana na drewnianym kuchennym krześle, z ustami zaciśniętymi w wąską białą linię. Kiwała nieznacznie głową, jakby zbyt zamaszyste gesty mogły skruszyć jej samokontrolę i sprawić, że popłyną łzy. Słuchała, kiedy Williams cicho zapewniała ją, że pomożemy jej, jak tylko potrafimy. Pokręciła głową zapytana, czy chce, żebyśmy zadzwonili po kogoś z rodziny czy przyjaciela, żeby z nią pobył. Potem

zatrzepotała lekko powiekami i wytarła oczy, w których zaczęły wzbierać łzy.

- Potem do kogoś zadzwonię - powiedziała i odwróciła się do mnie. - Czy bardzo cierpiało, panie inspektorze? - spytała.

Ogólnie jestem zdania, że ludzie, którzy sami odbierają sobie życie, muszą cierpieć tak, że ból i strach przed śmiercią są w porównaniu z tym niczym - i to właśnie jej powiedziałem.

- Czy przychodzi pani do głowy, co mogło spowodować takie cierpienie, pani Webb? Czy zachowanie pani męża wskazywało, że coś dręczy go do tego stopnia, że targnie się na własne życie?

- Nie, nic - odparła, ściskając w prawej dłoni chusteczkę. - Chociaż był bardzo zdenerwowany tym... no wie pan... tymi rzeczami, które znaleźliście na naszej ziemi. Bronią i tak dalej. Chyba go to męczyło.

- Dlaczego? - spytałem, zanim zdążyłem pomyśleć. Przekląłem się w duchu, ale przynajmniej nie wygadałem, że podejrzewaliśmy, że te rzeczy nie miały z nim nic wspólnego.

Na szczęście źle zrozumiała moje pytanie.

- Cóż, męczyło go poczucie winy. Nie miałam pojęcia, że zajmuje się takimi rzeczami, narkotykami i w ogóle. To niewiarygodne... czasami nie zna się nawet własnego męża...

- Powiedział pani coś takiego? - spytała Williams. - Że czuje się winny?

Nie mogąc wykrztusić słowa, Sinead Webb energicznie pokiwała głową.

- Uważa pani, że dlatego właśnie się...?

Znów przytaknęła bez słów. Williams popatrzyła na mnie i wzruszyła ramionami; mogłem tylko odwzajemnić ten gest.

- Pani Webb, czy pani mąż robił coś niezwykłego w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin? Coś, co by wskazywało, że planuje samobójstwo? Wie pani, czy dzwonił do rodziny albo przyjaciół, kupował prezenty, spędzał czas z bliskimi?

Zaprzeczyła.

- Powiedziano nam, że ktoś wypytywał o pani męża w lokalnym sklepie. Jakiś Anglik w garniturze. Coś to pani mówi?

Z początku pokręciła głową, potem znieruchomiła i wydmuchała nos, z twarzą zastygłą w skupieniu.

- Właściwie, kiedy pan o tym wspomniał, przypomniał mi się człowiek, z którym Peter się wczoraj spotkał, stary znajomy. Chyba znali się z uczelni, pojawił się tu ni z tego, ni z owego, Peter się go nie spodziewał. Razem poszli wypić parę drinków. Mąż wrócił do domu około ósmej; powiedział, że wspominali stare czasy. Potem poszliśmy do łóżka. Rano, kiedy się obudziłam, nie było go. Potem państwo przyjechali.

- Zna pani tego przyjaciela? - spytałem. - Pamięta pani, jak się nazywał?

- Nie. Razem studiowali na uniwersytecie w Bristolu. Był w garniturze, tak jak pan mówił. To chyba jakiś biznesmen. Peter mało o nim mówił, kiedy wrócił.

Przed wyjściem poprosiłem panią Webb, żeby - kiedy będzie czuła się na siłach - przyjechała oficjalnie zidentyfikować ciało, choć nie mieliśmy wątpliwości, że to jej mąż. Kiedy wychodziliśmy, odprowadziła nas do drzwi.

- Nie sądzą państwo, że ten intruz miał z tym coś wspólnego, prawda? - spytała.

- Raczej nie - odparłem z udawanym przekonaniem, a potem uściśniłem jej dłoń i po raz ostatni złożyłem kondolencje.

Siedzieliśmy z Williams w zaparkowanym samochodzie. Paliłem papierosa i porównywaliśmy swoje odczucia.

- Wiemy, że broń i narkotyki nie należały do Webba, czemu więc miałby mieć poczucie winy? Chyba że z jakiegoś powodu okłamywał żonę? Może czuł się winny z innej przyczyny, a to wykorzystał jako pretekst. Romans?

- To ona ma romans. Może Webb się o tym dowiedział i nie mógł tego znieść.

- Na pewno zrobiłby jej awanturę. A przynajmniej zostawił list. Napisałby, że o wszystkim wie, żeby po jego śmierci to ona dźwigała brzemień winy - przekonywała Williams.

- Może tak zrobił. A jeśli to ona kłamie, że miał poczucie winy przez narkotyki i resztę? Jeśli kryje siebie? Nie wie, że my wiemy, że narkotyki nie były jego.

- Jezu, a to zimna suka! - stwierdziła z obrzydzeniem Caroline.

- To wszystko zgadywanki, Caroline. Może maczał w tym palce ten stary znajomy. Anglik w garniturze pasuje do opisu mężczyzny w sklepie Christy'ego, tego, co według Christy'ego jest agentem wydziału specjalnego. Dlaczego wydział specjalny miałby chcieć rozmawiać z Peterem Webbem?

- Może to był stary znajomy, który wstąpił do policji. Może jest całkowicie niewinny.

- To czemu nie powiedział o tym Christy'emu w sklepie? Po co zmyślał, że jest dziennikarzem? - spytałem. - Za dużo tu niewiadomych.

- Nie wiemy nawet, czy faktycznie jest z wydziału specjalnego. Mamy tylko podejrzenia Christy'ego Warda. Może się myli.

- Zdziwiłbym się, gdyby tak było. - Pstryknąłem niedopałek za okno i włączyłem silnik. - W dodatku musimy zadać pytanie, co u diabła robi w tym wszystkim James Kerr. Nie zapominaj, że to on jest intruzem, o którego wesoła wdówka zapytała, kiedy wychodziliśmy.

- Może to zwykle samobójstwo, nie ma tu żadnej tajemnicy - powiedziała Williams z nadzieją.

- Może.

Przez kilka minut jechaliśmy w milczeniu. Caroline wyglądała za okno. Kiedy w końcu się odezwała, nie patrzyła na mnie.

- Parę dni temu - zaczęła. - Patterson wspominał o komisji awansów.

- Zgadza się - powiedziałem.
- Zgłaszasz się?
- Nie jestem pewny - odparłem. - Wysłałem papiery.
- Czyli się zgłosiłeś.
- Wrzuciłem tylko los do bębna, Caroline. Nie wiem nawet, czy chcę być nadinspektorem, czy chcę stąd wyjeżdżać.

Pokiwała głową, ale nic nie powiedziała.

- A co? Tęskniłabyś? - spytałem, szczerząc się wesoło.
- Spojrzała na mnie, zastanawiając się nad odpowiedzią.
- Chyba się do ciebie przyzwyczaiłam - przyznała, wzruszyła lekko ramionami i znów odwróciła się do okna.

Nasza nadzieja, że Webb popełnił samobójstwo, została szybko rozwiana. Okręgowa patolog niedługo po autopsji złożyła raport. Choć potwierdziła, że Webb zginął wskutek niedoboru tlenu, zawarła w raporcie wątpliwości co do przyczyny tego niedotlenienia. Po pierwsze zauważyła, że otarcia od sznura na szyi Webba były równe i nie było na nich czegoś, co nazwała oznaką reakcji życiowych - zaczerwienienia wokół ran spowodowanego przez próby dokonania wstępnych napraw przez żywy organizm. To sugerowałoby, że Webb był martwy, zanim jego ciało powieszono na drzewie. Po drugie, napisała, uszkodzona była jego kość gnykowa, pod żuchwą. Bardzo rzadko spotyka się złamanie kości gnykowej wskutek powieszenia. Najczęściej występuje ono przy uduszeniu rękami. Na koniec stwierdziła, że Webb miał złamane dwa palce, również z niewielkimi oznakami reakcji życiowych, co sugerowało, że doszło do tego w chwili śmierci albo tuż przed nią. Choć Webb mógł połamać palce, walcząc o oddech i szarpiąc linę, wszystkie te fakty razem wzięte potwierdzały moje wcześniejsze podejrzenia, których nabrałem, kiedy zobaczyłem, że trup ma okulary. Ostateczny wniosek patolog brzmiał: większość dowodów wskazuje na to, iż Peter Webb został zamordowany.

Właśnie skończyłem czytać raport, kiedy do pokoju weszła Williams rozpromieniona.

- Chyba mamy jednego budowlanca - powiedziała.

Peter McDermott był dwudziestoosmioletnim tynkarzem pracującym na budowie Paddy'ego Hannona. Kiedy był młodszy i mieszkał w Cork, przesłuchiowano go kilka razy w sprawie seksualnej napaści na tamtejszą mieszkankę. Co dziwne, jego ofiara nie złożyła skargi.

Był zameldowany w Coolatee, pięć minut drogi stąd.

McDermott otworzył drzwi. Był ubrany w krótkie spodenki i koszulkę bez rękawów. Jego skórę pokrywały krople potu, twarz miał czerwoną, a włosy nastroszone od wilgoci. W ręku trzymał na wpół opróżnioną butelkę piwa. Nie miał butów ani skarpet. Jego dłonie były grube i pokryte odciskami, kłykcie zaczerwienione. Na lewym przedramieniu miał wytatuowanego zielonego smoka; potwór rozdziawiał paszczę na nadgarstku, a jego ogon owijał się na zgięciu łokcia.

- Co? - spytał po prostu.

- Chcielibyśmy z panem porozmawiać, panie McDermott - odezwała się Williams, podchodząc do niego z legitymacją na poziomie jego oczu. Nie poruszył się, wciąż blokował przejście.

- O czym? - Szybko napił się z butelki. Wytrzeł pot z twarzy ramiączkiem koszulki.

- Na początek o napadzie i pobiciu - powiedziałem. - Wejźmy do środka.

- Nie wejźmy - zaproponował McDermott. - Pobiciu kogo?

- Wejźmy do środka - powtórzyłem.

W końcu McDermott odsunął się od drzwi i zaprosił nas do środka ruchem ręki, w której trzymał piwo. Williams weszła pierwsza, ja za nią.

Salon McDermotta był urządzonej prosto. W kącie stał telewizor i odtwarzacz DVD, kilka płyt leżało rozrzuconych na podłodze.

Obok kanapy piętrzył się stosik kolorowych pism, z okładkami ozdobionymi kobietami w różnych stadiach nagości. W kominku leżała warstwa popiołu. W drugim kącie, na stalowym stojaku, wisiał bokserski worek treningowy, poobijany i podrapany, a na podłodze obok leżały dwie wysłużone rękawice bokserskie i kilka kompletów hantli.

- Ćwiczy pan? - spytała Williams, wskazując rękawice i worek.

McDermott popatrzył na nią czujnie, zanim odpowiedział.

- Ćwiczę przed walką w przyszłym tygodniu.

- Boks?

- Kick-boxing. Używa się nóg.

- Domyśliliśmy się po nazwie - powiedziałem. - Zawsze pan pije w trakcie treningu?

McDermott spojrział na trzymane piwo, potem lekko się uśmiechnął.

- Nie samą pracą człowiek żyje i tak dalej. Powiecie mi w końcu, co zrobiłem?

- Karen Doherty - powiedziała Williams.

- Dziewczyna znaleziona na budowie. Co z nią? - Uśmiechnął się szeroko. - Nie myślicie chyba, że miałem z tym coś wspólnego.

- To zabawne, panie McDermott? Biorąc pod uwagę pana przeszłość? - spytała Williams. Widziałem, że zaczynała się gotować.

McDermott natychmiast przestał się uśmiechać.

- Nie mam żadnej przeszłości - warknął. - Jedna, kurwa, awantura z dziewczyną i cały czas się za mną ciągnie.

- Jak mi pana żal - zakpiła Williams. - Na pewno pana ofiara też tego nie zapomniała.

- Moja ofiara się ze mną drażniła. Oboje się wkurzyliśmy. Poniosło mnie.

- Poniosło? - powtórzyła Caroline, wyraźnie się jeżąc.

- Ale wszystko rozeszło się przecież po kościach - powiedział McDermott. - Wycofała oskarżenie. Wiedziała, że to jej wina tak samo jak moja.

- Gdzie pan był w nocy, kiedy zginęła Karen Doherty? - spytałem.

Prychnął z pogardą.

- Tutaj. Ćwiczyłem.

- Ktoś może to potwierdzić?

- Zabawne, ale nie - odparł McDermott, uśmiechając się pod nosem. - Chociaż mogę powiedzieć, że moja mama wie, że tu byłem, bo dzwoniła do mnie około jedenastej, żeby pogadać.

- Na komórkę czy stacjonarny?

- Na stacjonarny. Rozmawialiśmy co najmniej pół godziny.

- A później tej nocy? Około pierwszej? - Ktoś zabrał Karen spod klubu właśnie około pierwszej.

- Obawiam się, że twardo spałem. Nie, zanim pan spyta, nie mam nikogo, kto mógłby to potwierdzić.

- Był pan kiedyś w klubie Manhattan?

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- Zabił pan Karen Doherty? - odezwała się Williams.

- Tak, przyznaję się. A jak pani myśli?

- Tak czy nie? - powtórzyła z daremnym uporem.

- Nie, oczywiście, że jej nie zabiłem, do cholery. Nie znam jej, nigdy się nie widzieliśmy.

- Jakim samochodem pan jeździ? To pytanie trochę go zaskoczyło.

- Mam furgonetkę.

- W jakim kolorze?

- Białą, jak ją umyję. Słuchajcie, naprawdę nie macie niczego, co by mnie łączyło z tą dziewczyną, prawda?

Nie pozostało nam nic więcej do powiedzenia. Musielibyśmy sprawdzić billingi, żeby się przekonać, czy faktycznie matka do niego dzwoniła, choć nawet to nie dawało stuprocentowego alibi.

- Tak myślałem. Jeśli to wszystko, chciałbym wrócić do bokowania - oświadczył McDermott, dopijając spokojnie resztkę piwa.

- Zanim pan to zrobi, panie McDermott - powiedziałem. - Chciałbym prosić, żeby w wolnej chwili wpadł pan dzisiaj na posterunek i dał sobie zdjąć odciski palców. W celu eliminacji.

- Z przyjemnością - odparł. - Tyle że moje odciski palców są w całym tym jebanym domu, ja tam pracowałem.

- Niech się pan nie przejmuj. Przedmiot, o którym tu mowa, ma na sobie tylko jeden zestaw odcisków, te mordercy Karen - wyjaśniłem.

Jak się okazało, matka McDermotta dzwoniła do niego o dwudziestej trzeciej dwadzieścia pięć i została na linii czterdzieści minut, co oznaczało, że był w domu o dwudziestej czwartej zero pięć - potwierdził to zarówno billing, jak i krótki telefon do jego matki. Teoretycznie miałyby godzinę, żeby wyjść, pojechać do Letterkenny i poderwać Karen Doherty. Wszystko to było możliwe, ale przecież ktoś najpierw podał jej narkotyk. McDermott był ewentualnym kandydatem, ale mało prawdopodobnym, chyba że dotarlibyśmy do nowych dowodów. Mimo to poprosiłem Williams, żeby miała na niego oko. Nie wątpiłem, że zrobi to z ochotą.

Po południu zadzwonił technik z Letterkenny. Spróbował kilku sposobów, żeby oczyścić obraz tatuażu poszukiwanego na nagraniu, które dostaliśmy od Thompsona, ale bez skutku. Choć plama na rękę na pewno była tatuażem, nie mógł powiedzieć, co on dokładnie przedstawia. Nie miałem wielkich oczekiwań, ale i tak mu podziękowałem. Szykowałem się do wyjścia do domu, kiedy Helen Gorman przysłała mi notkę z zaproszeniem, żebym dołączył do niej i Lorcana Huttona w pokoju przesłuchań numer jeden.

Hutton spędził kilka lat w ośrodkach poprawczych i więzieniach za narkotyki, ale wciąż sprzedawał je w mieście. Już po trzydziestce zbudował swoje narkotykowe imperium z pieniędzy otrzymanych od rodziców, bogatych lekarzy na Północy.

Gorman wyszła ze mną porozmawiać, żeby nas nie słyszał. Miała w ręku cienką teczkę z wydrukami zdjęć, które zrobiłem u Harlina. Zostały powiększone, tak że ślady butów były wyraźniejsze. Spojrzała na mnie wyczekująco.

- Świetnie, Helen - pochwaliłem ją. - Dobra robota.
- Oddałam też aparat - oznajmiła. - Tak jak pan mówił.
- Bardzo dobrze. - Uśmiechnąłem się nieco niepewnie.
- Co mam teraz robić? - spytała.
- Jeśli chcesz, możesz obdzwonić miejscowe sklepy obuwnicze, może uda ci się ustalić model po podeszwie. Szczerze mówiąc, Helen, to bardzo dużo wysiłku jak na zwykłe włamanie. Możliwe, że nigdy nic w tej sprawie nie ustalimy. Chyba że Lorcan Hutton zechce się do czegoś przyznać.

- W porządku - powiedziała. - Zajmę się tym. To moja pierwsza sprawa, wie pan. Chcę się dobrze spisać.

- I bardzo dobrze, Helen. Jeśli będziesz potrzebowała pomocy, mów - zapewniłem szczerze, żeby nie gasić jej entuzjazmu.

Uśmiechnęła się ciepło.

- Zobaczymy, co Hutton ma do powiedzenia.

Hutton siedział zgarbiony na krześle za poprzypalanym stołem, ustawionym pod ścianą w sali przesłuchań. Kręcone blond włosy spadały mu na twarz. Zauważyłem, że tym razem nie przyprowadził ze sobą adwokata. Spostrzegłem też, że Gorman nie nagrywała przesłuchania, przypuszczalnie dlatego, że szukała po omacku. Postanowiłem nieco rozjaśnić mrok.

- Lorcan, miło cię widzieć. - Usiadłem naprzeciw niego.
- Chciałbym powiedzieć to samo, inspektorze - odparł, łącząc oficjalną formę z nonszalanckim tonem.
- Interesuje mnie GBL, Lorcan.

- Nie przesadza pan? Kobiety w Lifford nie są jeszcze takie wybredne.

Gorman wyglądała na oburzoną. Mrugnąłem do niej, żeby się nie przejmowała. Hutton wiedział, że chcemy od niego jedynie informacji. Niestety oznaczało to, że będziemy musieli znosić jego dowcipy, żeby nie stracił dobrej woli.

- Wiesz, jak będziesz w moim wieku... - zażartowałem, mimo że byłem tylko o kilka lat starszy od niego. - Gdzie mógłbym to dostać, gdybym potrzebował? Jestem pewien, że nie handlujesz takimi rzeczami.

- Ja niczym nie handluję. Ale to raczej nie jest narkotyk rozrywkowy, co? Na pana miejscu poszukałbym w Internecie. Tam można kupić wszystko, wie pan. Poza tym, oczywiście, można go znaleźć właściwie we wszystkich przemysłowych rozpuszczalnikach na rynku.

- A tutaj? Znasz kogoś, kto mógłby tym handlować, zaopatrywać innych? Przede wszystkim, czy znasz kogoś, kto mógłby to kupować?

- Nie mam pojęcia, panie inspektorze. Skąd miałbym wiedzieć takie rzeczy?

Jak większość zawodowych przestępców Lorcan Hutton był przekonany, że jego stosunki z policją cechuje obustronne poczucie humoru. Tacy ludzie często okazują dobroduszość i żartobliwość, które tracą przy swoich ofiarach. Hutton zachowywał się niemal tak, jakby jego handel był rozrywką, wspólnym żartem. Zakładał, że jego niezakłócona działalność w okolicy wynika z naszej tolerancji, a prawda była taka, że jego klienci - ci sami, którzy mogliby dostarczyć nam dowodów koniecznych do jego aresztowania - mieli osobisty interes w tym, żeby pozostawał na wolności. Pora żartów się skończyła.

- Uważamy, Lorcan - powiedziałem - że człowiek, który zabił tę dziewczynę ze Strabane, znaną parę dni temu, przedtem podał jej narkotyk. Czyli ten, kto mu go sprzedał, jest współwinny

morderstwa. To oznacza długą odsiadkę, Lorcan, a nie parę miesięcy w ośrodku.

Hutton popatrzył na mnie zza grzywki, z bojowo wysuniętą szczęką.

- Tak jak mówiłem, każdy może mieć do tego łatwy dostęp. Nic o tym nie wiem.

- A włamanie? - Odwróciłem się do Gorman. - Czy Lorcan potrafił nam w tym pomóc?

- Co dziwne, nie potrafił, proszę pana. O tym też nic nie wie.

- Może powinniśmy potrzymać cię kilka dni, Lorcan, aż wróci ci farmaceutyczna wiedza.

- Jasne, jasne - odparł nonszalancko, udając, że tłumii ziewanie. Potem uśmiechnął się psotnie. - Moobsy!

- Co?

- Nolvadex. Można go brać na moobsy - wyjaśnił Huston. Wstał i zaczął zbierać swoje rzeczy.

- Co to są moobsy? - spytałem.

- Coś bardzo bliskiego pana sercu, panie inspektorze. Bardzo bliskiego - powiedział, puścił do mnie oko, otworzył drzwi i wyszedł.

9.

Niedziela, 6 czerwca

Po mszy zostawiłem Debbie i dzieciaki u jej matki i pojechałem na posterunek. Usiadłem razem z Williams w naszym składziku i zaczęliśmy omawiać rewelacje z raportu patolog na temat śmierci Petera Webba.

Na biurku zostawiono wiadomość, że poprzedniego dnia zdjęto odciski palców McDermotta. Nie pasowały do odcisków z prezerwatywy znalezionej w pobliżu ciała Karen Doherty. Caroline była naprawdę zawiedziona.

Nie mieliśmy żadnych innych bezpośrednich tropów, więc postanowiliśmy skoncentrować się na sprawie Webba. Wzięliśmy tablicę z jednej z nieużywanych sal konferencyjnych na górze i spisaliśmy listę potencjalnych podejrzanych. Najbardziej oczywistym, mimo mojego przekonania o jego niewinności, był James Kerr, widziany w pobliżu domu Webba tuż przed jego śmiercią. Poza tym było jasne, że żona Webba utrzymywała stosunki z innym mężczyzną. Co więcej, w dzień śmierci Webba odwiedził go znajomy z Anglii. Williams postanowiła popytać w lokalnych barach i sprawdzić, czy - jak twierdziła pani Webb - poszli na drinka i czy ktoś zauważył cokolwiek podejrzanego. Zaproponowała też, że zajmie się niezidentyfikowanym dotąd kochankiem wdowy.

Ja miałem dwa tropy: z pierwszym - Jamesem Kerrem - jak dotąd wyjątkowo sobie nie radziłem. Drugim był rzekomy oficer brytyjskiego wydziału specjalnego. Byłem przekonany, że przynajmniej w tym wypadku może mi pomóc Jim Hendry ze Strabane. Kiedy jednak do niego zadzwoniłem, powiedziano mi, że go nie ma i że do mnie oddzwoni.

Nie omówiłem tego z Williams, ale miałem świadomość, że był jeszcze jeden podejrzany - choć bardzo mało prawdopodobny. Samobójstwo Webba, spowodowane wyrzutami sumienia po znalezieniu na jego ziemi narkotyków i broni, pozornie dowodziło jego winy, co pasowało Pattersonowi. Nie chciałem nawet rozważyć ewentualności, że jeden z moich kolegów zamordował kogoś tylko po to, by pomóc swojej karierze i zwiększyć szanse na awans.

Jedynym tropem w sprawie Kerra był pastor Charles Bardwell. Zadzwoniłem do niego i dowiedziałem się, że pojechał do Derry,

gdzie organizował integracyjny mecz piłki nożnej dla byłych więźniów. Dwadzieścia pięć minut później stałem i patrzyłem, jak dwudziestu dwóch mężczyzn w różnym wieku i różnych gabarytów sapie i poci się, ganiając lekko sflaczałą piłkę. Zauważyłem, że zawodnicy nosili stroje Celticu i Rangersów, szkockich drużyn piłkarskich symbolizujących religijny podział Irlandii Północnej. Dopiero kiedy przywitałem się z wielebnym Bardwellem i wyraziłem zaskoczenie tymi barwami, dowiedziałem się, że protestanci noszą koszulki Celticu, a katolicycy byli więźniowie - Rangersów. Po meczu, kiedy szli po trawie boiska Prehen w stronę wiaty, wymienili się nimi.

Poszedłem z Bardwellem pod wiatę, gdzie grupa mężczyzn paliła papierosy i piła izotoniczne napoje, dochodząc do siebie po porannym wysiłku. Paru doprawiało swoje drinki czymś znacznie mocniejszym; odmówiłem poczęstunku, ale wziąłem papierosa, nie wiedząc, czy tamci zdają sobie sprawę, czym się zajmuję.

- Niektórzy się domyśla - powiedział Bardwell, jakby czytał w moich myślach. - Większości z nich to nie interesuje, panie inspektorze. Odsiedzieli swoje i wyszli z drugiej strony.

Kiwnąłem głową, ale nie odpowiedziałem.

- Jak pan za to wszystko płaci? - spytałem, wskazując boisko.

- Z darowizn - wyjaśnił, zaciągając się papierosem. Mrugnął do jednego z graczy, który pozdrowił go, unosząc szklankę. - Rada dała nam dwa tysiące funtów, administracja rządowa drugie tyle.

- Cztery tysiące wystarczają na rok działalności?

- Jezu, chłopcze, cztery tysiące poszły na ten mecz. I na catering, oczywiście.

- Cztery tysiące! - zakrztusiłem się z niedowierzaniem. - Nie lepiej byłoby dać te pieniądze ofiarom tych ludzi, żeby wynagrodzić im krzywdy?

Wiedziałem, że to głupi argument, i pożałowałem go, zanim jeszcze skończyłem mówić.

Ale Bardwell nie rozpoczął tyrady o tym, że swoje już odsiedzieli, czy o przewadze rehabilitacji nad karą. Uśmiechnął się do mnie tylko i pokiwał głową, jakby jego podejrzenia się sprawdziły.

- Czyli jest pan jednym ze sceptyków, inspektorze? Nie wierzy pan, że ci ludzie mają do zaoferowania coś dobrego? Na przykład taki Jamie Kerr. Kiedy się pan dowiedział, że odnalazł Boga, jaka była pana pierwsza myśl? Że to bardzo dobrze? Czy że kłamie?

Uśmiechnął się porozumiewawczo. Zabolalo mnie jego przypuszczenie - być może dlatego, że przynajmniej częściowo miał rację.

- Ja akurat chciałem mu wierzyć. Moja wiara jest moją sprawą, wielbny, nie próbuję oceniać wiary innych ludzi. Żdźbło w cudzym oku, belka we własnym i tak dalej.

- Jeśli to prawda, jest pan wyjątkiem wśród policjantów; większość z nich uważa, że to, co tu robimy, to raczej skandal.

- Może to dlatego, że poświęcamy cały swój czas na łapanie tych ludzi, walkę o sprawiedliwość dla ofiar. Pan stara się ich bronić.

- Ci ludzie też są ofiarami, panie inspektorze.

- Być może.

Między nami zawisła chmura dymu z papierosów. W końcu Bardwell się odezwał:

- Domyślałem się, że nie przyjechał pan tutaj popatrzeć na mecz. Co mogę dla pana zrobić?

- Wspomniał pan Jamesa Kerra. Muszę go znaleźć. Myślę, że mógłby mi pan pomóc.

- A czemu ja?

- James zostawił w moim samochodzie ulotkę z pana nazwiskiem. Jeśli nawraca w pana imieniu, zakładam, że wciąż ma z panem kontakt.

- I mam panu powiedzieć, gdzie on jest, bo... ?
- Jest poszukiwany w związku z morderstwem.

Bardwell zaśmiał się głucho, pokręcił głową, upuścił niedopałek na ziemię i go przydeptał.

- Jamie nikogo nie zabił. Nawet kiedy poszedł siedzieć, to było za napad, a on jeden z całego gangu nie miał cholерnej broni!

- W takim wypadku sam powinien się zgłosić, dać się przesłuchać i wyeliminować z dochodzenia.

- Gówno prawda, panie inspektorze. Jamie to łatwy cel. Były skazaniec, idealny kandydat do powtórnego wrobienia. Kogo niby zabił?

- Mieszkańca Lifford, Petera Webba.

Bardwell na moment znieruchomiał i było jasne, że to nazwisko coś mu mówi. Zapatrzył się w dal, osłaniając oczy jak przed słońcem. Ale słońce nie świeciło mu w twarz i wiedziałem, że tylko gra na zwłokę.

- Jakie macie dowody na winę Jamesa?

- Widziano go, jak kręcił się wokół domu Webba w dniach przed jego śmiercią. W rozmowie dał mi do zrozumienia, że chce się spotkać z Peterem Webbem.

- Jak zginął? - spytał Bardwell, patrząc nad moim ramieniem na mężczyzn, śmiejących się i wymieniających opowieści o piłkarskiej chwale, już wyolbrzymione.

- Został powieszony na drzewie na Gallows Lane. Miało to wyglądać na samobójstwo. Uważamy, że został uduszony.

- Na Polu Garncarza - mruknął Bardwell.

- Słucham?

- Pole Garncarza. Judasz powiesił się tam z poczucia winy za swoją zbrodnię. - Bardwell w końcu spojrział mi w oczy. - Głośno myślę. Nie powiem panu, gdzie jest James, ale wyjaśnię być może, co go łączy z Webbem.

Oto historia, jaką mi opowiedział.

Po odbyciu prac społecznych James zainteresował się ogrodnictwem; zrozumiał, że to coś, do czego ma zdolności, na czym może zarobić i co nie wymaga wykształcenia. Najął się do doglądania ogrodów paru większych domów w Lifford. Uznał, że mniej klientów z większymi ogrodami zapewni mu więcej pieniędzy i zyska dobrą markę. Jeden z tych ogrodów należał do Petera i Sinead Webbów. I jeśli wierzyć Bardwellowi, to właśnie Webb namówił Jamesa do udziału w napadzie, który skończył się aresztowaniem.

Kerr twierdził, że podczas jednej z rozmów w przerwie na herbatę zachwyił się nowym samochodem państwa Webbów. Webb wciągnął chłopaka w długą dyskusję o autach i prowadzeniu, w której Kerr otwarcie chełpił się swoimi umiejętnościami kierowcy. Kiedy przyszedł do ogrodu Webbów następnym razem, pan domu złożył mu propozycję: powiedział, że potrzebuje kierowcy do pewnej roboty, kogoś, kto poradziłby sobie z szybkim samochodem na bocznych drogach. Kerr spytał, o jaką robotę chodzi, a Webb postukał się w nos i mrugnął.

- Stratny nie będziesz - zapewnił.

Nic się nie wydarzyło przez kolejnych kilka miesięcy. Dni stawały się coraz krótsze, a pracy w ogrodach było coraz mniej. Wtedy, pewnego dnia pod koniec listopada, Kerr odebrał telefon od Petera Webba, który prosił o spotkanie w miejscowym barze.

Tego wieczoru poszedł do McElroya z nerwowym mrowieniem w żołądku, jakby szedł na rozmowę o pracę. Webb siedział w głębi baru nad grzaną whiskey - wyjaśnił, że na przeziębienie. Kerrowi postawił to samo i chłopak poczuł się szanowany. Potem Webb powiedział mu, że w następny czwartek będzie potrzebny jako kierowca. Miał zabrać samochód z parkingu miejscowego kościoła i pojechać na pole piknikowe na obrzeżach Ballindrait. Tam miał zabrać trzech ludzi. Następnie miał ich przewieźć bocznymi drogami przez granicę na Północ. Wszystkie wojskowe posterunki,

którymi kiedyś usiane były boczne drogi, wtedy już dawno nie istniały. Choć policja wciąż patrolowała główne trakty komunikacyjne, gruntowe wiejskie drogi były puste. Nikt nie mógł obsadzić ich wszystkich i nikt nie znał ich tak dobrze jak Kerr, który przez pół młodości szalał po nich kradzionymi autami.

Na Północy James miał zawieźć mężczyzn na pocztę w Castleberg i poczekać tam na nich, a potem wrócić przez Clady, bocznymi drogami na Południe. Miał ich wysadzić w wybranym przez nich miejscu i spalić samochód. Za tę usługę obiecano mu wcześniejszy prezent gwiazdkowy w postaci tysiąca funtów.

Wtorek dwudziestego trzeciego stycznia 1996 roku był rześkim, pogodnym zimowym dniem; słońce wisiało nisko na niebie i wydłużało cienie krów na polach. James poszedł pieszo do kościoła. Serce tłukło mu się w piersi. Jeden z sąsiadów mijał go i zaproponował podwiezienie, ale Kerr odmówił. A gdyby spytali go, dokąd idzie? Albo zatrzymali się na parkingu i zobaczyli, jak wsiada do cudzego auta? Nie, Jamie Kerr nie był głupi. Pomachał sąsiadowi i od tamtej pory za każdym razem, kiedy usłyszał nadjeżdżający samochód, odwracał się do żywopłotu rosnącego wzdłuż drogi. W końcu dotarł na parking, dziesięć minut przed czasem. Pod kościołem stały trzy samochody. Jeden, jak wiedział, należał do ojca Jacksona, proboszcza. Czarna, sportowa honda, proszę bardzo, nic dziwnego, że kutas nie miał czasu dla Kościoła. Całe to gadanie o ubóstwie, jedna wielka hipokryzja. James splunął na samochód i poszedł dalej. Potem myśl o ubóstwie przypomniawszy mu o tysiącu, który niedługo miał być jego. Żołądek mu się skurczył, coś drgnęło głęboko w łądzwiach. Kupi sobie samochód - porządny, własny. Później znajdzie jakąś suczkę, a ona obciągnie mu na tylnym siedzeniu. Zaśmiał się i znów poczuł ożywienie w kroczu. Lepiej weź się w garść, powiedział sobie. Skup się.

Podszedł do samochodu stojącego najbliżej - starej fiesty - i sprawdził klamkę. Webb powiedział, że samochód będzie otwarty, a kluczyki pod siedzeniem. Fiesta była zamknięta, a kiedy James zajrzał do środka, zobaczył, że ktoś założył blokadę na kierownicę. W mordę, pomyślał, kto by chciał ukraść starą fiestę? Drugi samochód był super: srebrny rover 400. James pociągnął klamkę, stojąc plecami do drzwi, z rękami za sobą, obserwując kościół i drogę, żeby się upewnić, czy nikt go nie widzi. Wszystko to przyszło mi naturalnie, pomyślał. Był stworzony do takiej roboty.

Potrzebował kilku chwil, żeby zaznajomić się z samochodem i ustawić radio na jakąś przyzwoitą muzykę. Przejrzał zbiór kaset poprzedniego kierowcy, ale było to jakieś badziewie, o którym nigdy nie słyszał, i gówniane country. Włączył więc stację grającą Oasis. „Papierosy i alkohol” - jednego i drugiego będzie pod dostatkiem, kiedy dostanie swojego tysiąka. Ustawił radio głośniej i opuścił szybę w geście buntu przeciw Kościołowi, a potem wyskoczył na drogę.

Pod polaną piknikową czekał piętnaście minut na pozostałych. Ćwiczył w tym czasie miny twardejela w lusterku: żuł gumę bokiem ust, podwinął rękawy, zaczesał do tyłu włosy. Przesadnie ruszał szczęką i puścił do siebie oko w lusterku. Był tak zdenerwowany i podniecony, że sam nie wiedział, czy chce się wysrać, czy zaliczyć. I może pomyślał o Mary Gallagher. A może nie.

Potem, prawie go zaskakując, zjawili się. Trzech mężczyzn wsiadło do samochodu. Mieli na głowach pończochy naciągnięte do połowy na twarze, tak że widać było tylko ich usta. James mrugnął do lusterka i odwrócił się do tego, który usiadł obok niego.

- Dobra, panowie - powiedział, żując gumę. - Do roboty.

Słyszał coś takiego w filmie i brzmiało fajnie.

- Morda w kubel i wyłącz to gówno, synu. Po prostu, jedź - polecił mężczyźni siedzący obok, tonem sugerującym, że nie jest

to temat do dyskusji. James zrobił, co mu kazano, i ruszył w milczeniu; jego upokorzenie było niemal namacalne.

Zerknął w lusterko na dwóch mężczyzn z tyłu, obu uzbrojonych w strzelby. Jednym, jak podejrzewał, był Peter Webb, choć zachowywał się, jakby go nie znał. Nawet kiedy Jamie uśmiechnął się do niego w lusterku, tamten tylko popatrzył na niego z nieodgadzionym wyrazem twarzy. James wydedukował, że z jakiegoś powodu Webb nie chce, żeby pozostali wiedzieli, że Kerr go zna, i postanowił się dostosować. Może dzięki temu zrobi bardziej profesjonalne wrażenie - jak członek gangu. Drugiego pasażera z tylnej kanapy nie rozpoznawał, chociaż tamten wyglądał na przyszczonego. Beznamiętne, obsydianowe oczy przez chwilę odwzajemniły jego spojrzenie w lusterku.

- Na co się, kurwa, gapisz, pedałku? - warknął mężczyzna. - Patrz na drogę.

James Kerr się nie odezwał. Kiedy minęli granicę, przejeżdżając przez sosnowy las, przez który biegła droga, poczuł, że napięcie w samochodzie zaczęło rosnąć. W końcu dotarli do rampy załadunkowej z tyłu budynku poczty w Castlederg.

- Mam założyć maskę? - spytał James pasażera obok.

- Wyglądałbyś jak kretyn w samochodzie z rajstopami na głowie. Zachowuj się normalnie, to nikt nie zwróci na ciebie uwagi.

Potem trzej mężczyźni wysiedli i pobiegli do tylnego wejścia poczty, naciągając pończochy do końca na twarze.

Czekając, James starał się nie rozglądać. Główny parking znajdował się od frontu, więc wokół niego nie było żadnych innych samochodów. Nie znaczyło to, że żaden nie może przyjechać. A gdyby zjawiły się gliny, byłiby uwięzieni za budynkiem. Po plecach zaczął mu ściekać pot. A jak plan się nie powiedzie, co wtedy? Poczł falę nudności i tylko strach, że skompromituje się przed pozostałą trójką, powstrzymał go od zwymiotowania. Nasłuchiwał wystrzałów, ale nic nie usłyszał. Może faktycznie poszło źle. Może

to była pułapka. Może w środku właśnie go wrabiali, sypali, zwalali całą winę na niego.

Chwilę potem jego trzech towarzysze siedzieli w samochodzie i wrzeszczeli, żeby ruszał; Jamie wcisnął gaz do podłogi, silnik zawył, ale samochód nie ruszył. Kerr wpadł w panikę.

- Wrzuć bieg, durna pało - warknął mężczyzna z czarnymi oczami obok niego.

Jamie usiłował się wytłumaczyć. Szarpał dźwignię biegów; ręce i nogi jakby straciły koordynację. Pasażer chwycił wajchę, miażdżąc dłoń Jamesa w swojej, i wrzucił jedynekę. James po raz drugi nacisnął gaz, samochód skoczył do przodu i wypadł na drogę. Dopiero kiedy Kerr zapanował nad kierownicą, dotarło do niego, że nie spojrział nawet, czy coś nie jedzie. Cholera, niewiele brakowało, pomyślał.

W miarę jak Castlederg malało we wstecznych lusterkach, James czuł, że nastrój w samochodzie coraz bardziej się poprawia i sam też zaczął się odprężyć. Ta część planu należała do niego. Pozostali zrobili swoje; teraz on tu rządził, teraz na niego liczyli. Świeża pewność siebie dodała mu odwagi; zwiększył trochę prędkość, zbliżając się do stu dziesięciu, chociaż gruntowa droga, którą jechali, była wąska. Wyczuł, że mężczyzna siedzący obok zeszywniał, niemal instynktownie przytrzymując się deski rozdzielczej. Kerr poczuł przechodzącą go falę żaru. Tamten się bał. I kto teraz był pedałkiem?

- Dobrze poszło? - Usłyszał własny głos, prawie bez drżenia.

- Kurwa, pięknie, James - odparł jeden z mężczyzn z tyłu, z wyraźnym, północnym akcentem. Kerr go nie znał, a mimo to było w nim coś znajomego, coś, czego nie umiał określić. Zaczęło go irytować, że mężczyźni wciąż nie pokazali twarzy.

- Bez jednego wystrzału - ciągnął tamten i podniósł czarny worek, wyraźnie wypchany kanciastymi przedmiotami.

- Ile wyrwaliśmy? - spytał James i wyczuł, że pasażer obok prycha z wyraźną pogardą.

- Dużo, James. Dużo.

Kerr nie odzywał się, kiedy jechali przez Clady. Byli już blisko granicy; jeszcze kilkaset metrów i tysiąc funciaków będzie jego - RUC nie pojechałoby za nimi na Południe, nawet gdyby siedziało im na ogonie. James przypomniał sobie *Wielką ucieczkę* i Steve'a McQueen'a. Sztuczkę z motorem. Cholernie dziwne rzeczy przychodzą człowiekowi do głowy w takich chwilach.

- Zatrzymaj się tutaj - powiedział mężczyzna obok. James zerknął w lusterko i zobaczył, że pozostali odpięli pasy. - Tu wysiadamy.

Kerr zwolnił, rozejrzał się. Byli na ostatnim prostym odcinku przed granicą; po obu stronach rosły wysokie, smukłe sosny, z dolnymi gałęziami pozbawionymi igieł. Może tu mieli spalić samochód. Chwilowa panika ustąpiła; wóz był ukradziony na Południu, więc rozsądnie było spalić go na Północy, z dala od straży.

Zatrzymał się na poboczu, na skraju rowu opadającego ku leśnej ściółce trzy metry niżej. Zanim wyłączył silnik i odpiął pasy, pasażerowie zdążyli wysiąść. Ten z ciemnymi oczami obszedł samochód i otworzył Jamesowi drzwi. James wychylił się z auta, uśmiechnięty. Ale tamten nie odwzajemnił uśmiechu. Nogą wepchnął Kerra z powrotem do samochodu. Potem podniósł strzelbę, ładując nabój do komory. A potem wszystko eksplodowało kolorami, dźwiękiem i cieniem, żarem i ogniem. Jamesowi zdawało się, że przez własną krew na przedniej szybie widzi stado wron, które bezgłośnie wzbiły się w powietrze, a ich skrzydła wybijały echo wystrzału.

Resztę opowiedział mi już Costello, a puenty dostarczyły wioskowe plotki.

Samochód znaleziono zepchnięty do rowu w lesie tuż na północ od granicy. Trzech członków gangu uciekło na Południe pieszo

i bezpiecznie umknęło ze strefy RUC. Czwarty - kierowca James Kerr - został porzucony w samochodzie z raną postrzałową barku. Funkcjonariusze RUC, którzy go znaleźli, z początku podejrzewali, że został postrzelony w trakcie napadu. Szybko jednak się dowiedzieli, że ten obył się bez jednego wystrzału. Jedyny logiczny, choć niejasny wniosek był taki, że Kerr został postrzelony i porzucony przez własnych kamratów. Uznano, że specjalnie zostawili go na Północy, żeby wyeliminować ze sprawy An Garda. Stosunki między północną a południową policją służyły jako wyjątkowo chłodne. Nawet gdyby Kerr przeżył i wskazał swoich współników podczas przesłuchania, nie groziła im raczej ekstradycja na Północ. Kerr nie był w stanie wymienić żadnych nazwisk - czy to przez złe pojmowaną lojalność, czy przez to, że mu nie ufali i ich nie zdradzili. Wyglądało na to, że od początku zamierzali go zrobić, żywego czy martwego. RUC miało kogo aresztować, co oznaczało, że odpuścili sobie całą sprawę. Wiele osób zastanawiało się, czemu gang w ogóle wynajął Kerr'a; jedynym powodem mogło być to, że chłopak lepiej niż ktokolwiek inny potrafił ścigać się po drogach pogranicza.

- Ale to niezupełnie prawda - powiedział Bardwell. Szliśmy brzegiem Foyle, a wznoszące się coraz wyżej słońce migotało na jej powierzchni. - Kiedy Jamie zrozumiał, że gang wybrał go na kozła ofiarnego, wskazał RUC Webba, jasno i wyraźnie. A mimo to nigdy go nie aresztowano, nigdy nie przesłuchano; jego nazwisko nie pojawiło się podczas procesu. Zupełnie jakby policja nie wierzyła Jamiemu albo nie chciała mu uwierzyć.

- Domyślał się dlaczego?

- Nie. Uważał tylko, że gliniarze go wrobili. Ale to mało prawdopodobne, Jamie Kerr był drobną płotką.

- Wobec tego czy nie jest możliwe, że kłamie? Chce zrzucić winę na kogoś innego. Muszę być z panem szczerzy, wielebny. Chciałem wierzyć, że James Kerr jest w tej sprawie czysty, ale

Peter Webb nie zrobił na mnie wrażenia człowieka, który z bronią w rękę napada na pocztę.

- Ale zrobił na panu i pana kolegach wrażenie człowieka, który chowa na swojej działce broń i narkotyki. Czemu więc nie napad?

Nie umiałem na to odpowiedzieć. Bardwell się uśmiechnął, kiwając głową i mrużąc oczy przed słońcem. Poczęstowałem go papierosem.

- Jak w ogóle skontaktował się pan z Kerrem?

- W ramach swojej misji odwiedzam więzienia. Bóg postanowił wezwać Jamesa - a co ważniejsze, wybrał mnie na narzędzie służące jego nawróceniu. Uważnie śledzę, co robi moja trzódka. James nie miał nic wspólnego ze śmiercią Webba.

- W takim razie po co wrócił do Lifford? - spytałem.

- Chce przebaczyć tym, którzy przeciw niemu zgrzeszyli. Jednocześnie modli się, żeby Bóg przebaczył mu jego własne grzechy.

- Nie szuka zemsty?

- Zemsta należy do Pana, nie do nas, panie inspektorze. Niech mi pan nie mówi, że należy pan do tych od kary śmierci, oko za oko.

- Nie, szubienice w Lifford dawno zniszczono - zażartowałem.

- Nie przyszło panu do głowy, żeby odwieść go od szukania trzech uzbrojonych bandytów? Nie pomyślał, że mogą nie być zachwyceni jego widokiem?

- Chrystus też nie zawsze był mile widziany. To jest wybór Jamesa. Zgrzeszyłbym, stając na jego drodze do prawdy.

- No to co pan zrobił? - spytałem. - Pomijając te biblijne mowy, za co pan pokutuje?

Spojrzał na mnie z otwartą podejrzliwością.

- O co panu chodzi?

- O to, że gliniarze potrafią poznać byłych skazańców tak samo, jak wy nas. Co pan zrobił?

Bardwell wahał się chwilę i widziałem, że stara się ocenić, jak mogę zareagować.

- Zamordowałem człowieka, panie inspektorze - powiedział, patrząc mi w oczy, jakby mnie wyzywał, żebym wyraził niechęć albo go osądził. - Poderżnąłem mu gardło rzeźnickim nożem, bo się założyłem. Bo był jednym z was, katolikiem.

- I Bóg to panu wybaczył?

- Tak, myślę, że tak. Czy wybaczy mi społeczeństwo, to już zależy od niego. Przepraszam - zakończył, a potem poszedł z powrotem do graczy, z szerokim uśmiechem i wyciągniętą ręką. Patrzyłem, jak z nimi żartuje, katolikami i protestantami, i zastanawiałem się, jakie myśli i zło pchają ludzi do krzywdzenia siebie nawzajem i jak to możliwe, że ten mrok można rozpędzić w miejscu tak pospolitym jak boisko do piłki nożnej.

10.

Poniedziałek, 7 czerwca

Kiedy w poniedziałek rano dotarłem na posterunek, Burgess powiedział mi, że Jim Hendry dzwonił i zostawił numer komórki, gdybym chciał się z nim skontaktować. Oddzwoniłem do niego od razu.

- Inspektorze Devlin, szukałeś mnie, jak słyszałem.

- Potrzebuję pomocy, Jim. Chodzi o coś związanego z waszym podwórkiem.

- To dość ważne, żeby zepsuć mi miły dzień na polu golfowym?

- A jest coś takiego, jak miły dzień na polu golfowym? Myślałem, że robisz coś ważnego, na przykład prowadzisz śledztwa.

- Nie, Ben, robię coś o wiele ważniejszego: osiemnaście dołków z komendantem głównym; mam nadzieję niedługo zostać nadinspektorem.

- Tylko pamiętaj, żeby celować do odpowiedniej dziurki, Jim.

- Dlatego właśnie na zawsze zostaniesz inspektorem... inspektorze! - odparł Hendry, a jego śmiech zatrzeszczał w słuchawce komórki. - No dobrze, czym mogę ci służyć?

- Pracuję tutaj nad podejrzaną śmiercią.

- Czyją?

- Petera Webba. - Zgadywałem, słusznie, jak się okazało, że Hendry słyszał o śmierci Webba.

- Myślałem, że to było samobójstwo - powiedział.

- Jak by ktoś pytał, na razie było. Mam problem z młodym gościem nazwiskiem James Kerr. Właśnie wyszedł po długiej odsiadce za napad z bronią...

- Poczta w Castlederg?

- To on. Problem jest taki: Kerr twierdzi, że kiedy był za ten wypad aresztowany, wskazał Webba jako jednego z członków gangu, a nawet jako szefa. A mimo to podobno nic w tej sprawie nie zrobiono.

- Kiedy ci to powiedział?

- Nie on, powiedział mi to jego religijny opiekun.

- Jezus! - Hendry się zaśmiał.

- Nie, tylko jego przedstawiciel. W każdym razie zastanawiałem się, czy mógłbyś, bardzo nieoficjalnie, rozejrzeć się dla mnie i zobaczyć, co macie na temat Webba, sprawdzić, czy był w to zamieszany.

- A w zamian?

- W zamian pozwolę ci wrócić do podlizywania się szychom.

- Umowa stoi. Dam znać, jak tylko coś będę miał. Aha, Ben - powiedział, zanim się rozłączył - nie lekceważ znaczenia gry

zespołowej, jak to mówią. Nie możesz zostać w Lifford do końca życia.

Do domu pojechałem dłuższą drogą, przez Gallows Lane. Kiedy w nią skręciłem, kierując się do domu Webba, minął mnie samochód tak blisko, że musiałem zjechać na pobocze; ciężkie kwiaty rododendronów tarły o szyby samochodu. To był czerwony ford puma, który widziałem zaparkowany za domem Webba, kiedy jego żona zgłosiła intruza; samochód, który należał, jak byłem przekonany, do jej kochanka. Zapamiętałem jego numer rejestracyjny, ale nie mogłem znaleźć notatnika, więc kiedy zatrzymałem się pod domem Webba, zapisałem numer na pudełku papierosów.

Dwa razy zastukałem do drzwi, potem zobaczyłem, że są uchylone, pchnąłem je i wszedłem do korytarza.

- Dzień dobry - zawołałem.
- Zapo... - zaczęła Sinead Webb, schodząc na dół. Zatrzymała się, kiedy zobaczyła, że to ktoś inny, niż się spodziewała.
- Pani Webb, przepraszam za najście - powiedziałem. - Chyba musimy porozmawiać.

Nalała sobie drinka, podczas gdy ja opowiedziałem jej o ustaleniach z sekcji zwłok jej męża. Kiedy oznajmiłem, że traktujemy sprawę jako morderstwo, usiadła.

- Nie, nie - zaprzeczyła. - Mylicie się. Kto by chciał zabijać Petera? Musiała zająć jakąś pomyłkę, panie inspektorze.
- Obawiam się, że nie ma mowy o żadnej pomyłce, pani Webb.
- Ale... dlaczego? Dlaczego ktoś miałby zabić mojego męża? Wystarczająco trudno było mi pogodzić się z myślą, że sam się zabił, chociaż ta broń i tak dalej mogła go do tego popchnąć, tak myślałam. Ale... nie mam pojęcia, czemu ktoś miałby chcieć go zabić. Może to był jakiś napad albo coś takiego?

- Nie sądzimy, pani Webb. - Wyjąłem papierosa i gestem spytałem, czy mogę zapalić. Kiwnęła głową, potem też poprosiła o jednego. - To pani przyjaciela widziałem, jak odjeżdżał, pani Webb?

Spojrzała na mnie znad papierosa, którego jej przypalałem, w końcu musiała odwrócić wzrok, kiedy oczy zaczęły jej łzawić od dymu. Otarła powiekę, odciągając ją, jakby do oka wchodziła jej rzęsa. Później odchyliła się do tyłu i założyła nogę na nogę.

- Na pewno już pan wie, że tak, panie inspektorze.

- Przyjaciel rodziny?

- Raczej osobisty i nie ma to nic wspólnego ani z panem, ani ze śmiercią mojego męża - dodała i kiwnęła głową, dając znak, jak mi się wydawało, że to koniec rozmowy.

Kiedy wyszedłem, zadzwoniłem na posterunek i zostawiłem dla Williams wiadomość, żeby pilnie sprawdziła numer rejestracyjny.

Wróciłem do domu tuż po szóstej. Debbie szykowała kolację. Łyżką umazaną sosem bolońskim wskazała leżącą na stole kopertę, oznaczoną jako list polecony. Pismo w środku informowało, że przyjęto moją kandydaturę na stanowisko nadinspektora. Miałem się stawić na spotkaniu w Sligo w poniedziałek czternastego czerwca. Wśród nazwisk członków komisji awansów znalazłem jedno, które znałem: nazwisko naszej nowo wybranej posłanki Miriam Powell, która podpisała list jako Przewodnicząca Komisji Przydziałów.

Pokazałem list Debbie, nakładającej spaghetti z garnka. Shane i Penny biegali na podwórku z Frankiem, szarpiąc go za jego jedyne ucho.

- Miriam Powell? Ciągle do niej wracasz, co, Ben? Miejmy nadzieję, że ostatnim razem za bardzo jej nie rozczarowałeś.

Przez resztę wieczoru Debbie była na mnie trochę obrażona, a ja rozumiałem dlaczego. Miriam i ja byliśmy kiedyś parą i nie rozstał się w przyjaźni. Podejrzałem, że z jakiejś przyczyny uważa mnie za winnego śmierci jej męża w związku ze sprawą, którą prowadziłem. Nie chciałem nawet myśleć o tym, jak pójdzie moja rozmowa ani jakie pytania czy uwagi mogą jej przyjść do głowy. Nie chciałem także, choć podświadomie, znów pozwolić jej wkroczyć w moje życie rodzinne.

Tej nocy źle spałem, co godzinę się budziłem. Zdążyłem już nawet wstać i się ubrać, kiedy o wpół do szóstej dostałem telefon z informacją, że morderca Karen Doherty znów zaatakował. Tym razem jednak jego ofiara przeżyła.

11.

Wtorek, 8 czerwca

Rebecca Purdy miała piętnaście lat, choć mogłaby uchodzić za sporo starszą, dzięki czemu prawdopodobnie udało się jej wejść do klubu Manhattan.

Kiedy ją zobaczyliśmy, twarz miała tak posiniaczoną i spuchniętą, że z trudem poznali ją jej rodzice. Wokół szyi miała fioletowe obrzmiałe otarcia - napastnik usiłował ją udusić na polu tuż pod Letterkenny.

Rebecca powiedziała rodzicom, że idzie na przyjęcie urodzinowe; zamiast tego razem z paczką znajomych udało jej się wśliznąć do klubu Manhattan. Kiedy nam to mówiła, jej matka siedziała obok łóżka, ściskając ją za rękę, z czerwonymi oczami i twarzą ściągniętą z z troskania. Ojciec chodził w tę i z powrotem po pokoju

i zaciskał zęby tak, że drgały mu mięśnie szczęki.

- Powinni pozamykać te cholerne budy - wtrącił, kiedy jego córka wspomniała o klubie. Choć jako ojciec rozumiałem jego gniew, było jasne, że Rebecca nie będzie w stanie rozmawiać swobodnie w jego obecności.

Zabrałem oboje rodziców na kawę do szpitalnego bufetu, a Williams porozmawiała z dziewczyną. Poszedłem kupić coś do jedzenia dla nas trojga, a oni siedzieli i syczeli do siebie szeptem. Kiedy wróciłem, pani Purdy natychmiast zaczęła mnie przeproszać.

- Zadaje sobie pan tyle kłopotu - powtórzyła po raz trzeci, kiedy zostawiałem kawy i ciastka z tacy. - To bardzo miło z pana strony.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparłem. Podejrzewałem, że jej powierzchowna uprzejmość pozwala jej zachować panowanie nad sobą, pozory normalności, której w jej życiu akurat brakowało. Miałem ją z tego okradać?

Jej mąż za to przez kilka chwil milczał. Siedział, odwrócony trochę bokiem, i patrzył na drzwi szpitala, przez które wpadały promienie słońca. Podniósł do ust kubek z kawą i dmuchnął mocno w jej powierzchnię, żeby ją wystudzić, ale nie próbował pić.

W końcu, przygotowawszy się do tematu, który bał się poruszyć, odstawił kubek na stół i odwrócił się do mnie.

- Ma pan dzieci? - Podejrzewałem, że to wstęp do czegoś innego.

- Tak, dwójkę, chłopca i dziewczynkę. To jeszcze właściwie bobasy.

Nie była to prawda. Penny miała siedem lat. Zakładałem, że kluby i picie pojawią się najwcześniej za dziesięć lat - albo i później, jeśli będzie tak, jak ja chcę. Rebecca Purdy zmusiła mnie do pogodzenia się z faktem, że jeśli chodzi o wiek, moja córka może być już w połowie drogi do tego przełomu.

- Tak szybko dorastają - Pani Purdy się zadumała.
- Co by pan zrobił? - zapytał ostro pan Purdy. - Gdyby to była pana córka?

- Seamus, wystarczy. - Spróbowała go uspokoić żona. Położyła mu dłoń na zgięciu ręki.

Odepchnął ją.

- Gdyby jakiś bydlak zrobił coś takiego pana córce?
- Rozumiem pana gniew, panie Purdy. Proszę mi uwierzyć, robimy, co w naszej mocy, żeby złapać człowieka, który to zrobił.

- Czy on...? - W końcu doszedł do tego, o co mu chodziło od początku. - Czy ona... ?

Nie umiał znaleźć słów, ale wiedzieliśmy, o co próbuje zapytać.

- Nie wiemy, panie Purdy - odparłem szczerze, a potem pomyślałem o Karen Doherty. - Jeśli to ten sam człowiek, którego szukamy, podejrzewam, że raczej nie. Ale nie wiem.

Popatrzył na mnie ze złością, potem odwrócił wzrok i zaczął mrugać oczami. Wciągnął lekko policzki, ale po ruchach mięśni na jego szyi poznałem, że przełyka łzy.

- Jak mam spojrzeć jej w oczy, jeśli... - zaczął, czerwieniąc się ze wstydu. - Jak mogę jej to wynagrodzić?

- Cii, Seamus - powiedziała pani Purdy i po raz pierwszy zobaczyłem siłę charakteru tej kobiety, pozwalającą jej zachować spokój w obliczu tego, co spotkało jej rodzinę. Nie po raz pierwszy poczułem podziw dla odporności niektórych matek i żon w najstraszniejszych okolicznościach.

W kieszeni zadzwoniła mi komórka. Williams chciała, żebym poszedł na oddział. Rebecca Purdy była gotowa opowiedzieć nam, co się stało.

Ona i jej koleżanki zdołały dostać się do klubu Manhattan, bo jedna z nich romansowała z ochroniarzem - żonatym. Rebecca

cały wieczór piła gazowane napoje alkoholowe. Poszła tańczyć, a kiedy wróciła, ktoś kupił jej kolejnego drinka. Wypiła połowę, a potem zazdrosny podrywacz tańczący obok niej wytrącił jej butelkę z ręki i alkohol wylał się na podłogę.

Wróciła na parkiet i czuła się fantastycznie, powiedziała - była niemal niewiarygodnie szczęśliwa. Potem wpadła na jakąś dziewczynę, zalała jej całą bluzkę piwem. Wybuchła awantura, podczas której Rebecce zaczęło kręcić się w głowie. Zachwiała się. Ktoś chwycił ją za ramię i przytrzymał. Widziała go już tego wieczoru, zauważyła, że przyglądał się jej, jak tańczyła. Był wielki, zwalisty, z gładko ogoloną głową i tatuażem, którego nie potrafiła opisać, na ramieniu. Tatuaz wyglądał trochę jak męczyzna przy drzewie.

- Wszystko w porządku? - zapytał nieznajomy, obejmując jej ramiona i prowadząc ją w stronę jednego z wyjść przeciwpożarowych, które były otwarte, żeby goście mogli palić i nie tracić nic z tego, co działo się w środku.

- Muszę wyjść na powietrze - powiedziała, jak pamiętała. - Nie czuję się za dobrze. Muszę znaleźć koleżanki.

Muzyka dudniła coraz głośniejsze, w górze wirowały światła. Ludzie tańczący wokół niej wydawali się przyspieszać i zwalniać bez żadnego powodu.

- Są na zewnątrz - oznajmił męczyzna, obejmując ją już w pasie, z zaborczą czułością.

Wiedziała, że nie mówi prawdy, ale nie była w stanie się kłócić, nawet kiedy powiedział, że odwiezie ją do domu. Miał sportowy samochód, jasnoczerwony, wewnątrz było czyste i pachniało czymś, czego Rebecca nie umiała nazwać.

Zabrał ją na pole pod Letterkenny. Powiedziała, że jest jej niedobrze, będzie wymiotować. Zjechał do zatoczki, wyłączył światła, pomógł jej wysiąść i zejść po niewielkim nachyleniu na pole. Kiedy rzygała, zgięta wpół, poczuła, że staje za nią, obejmuje ją w pasie, zaczyna ścigać spódnice.

Odwróciła się i opluła go, próbowała zawołać pomoc. Wtedy ją uderzył - krótkim, szybkim ruchem, przed którym nie zdążyła się uchylić. Jej nos wypełniła krew, przed oczami zrobiło się czerwono. Posypały się następne ciosy, tak szybkie, że zaczęły się zlewać w jedno ciągłe uderzenie.

Szybko rozpiął spodnie, potem znieruchomiał. Coś było nie tak. Wzdrygnęła się, czekając, aż znów się na nią rzuci, ale on tylko ryknął jak zwierzę i zaczął ją kopać, jednocześnie podciągając z powrotem spodnie. Złapał ją za szyję i zaczął potrząsać tak mocno, że miała wrażenie, że pęknie jej kark. W końcu, kiedy się wyładował, wszedł z powrotem na pochyłość, a ona odpełza, skomląc, byle dalej.

Usłyszała trzaśnięcie drzwi samochodu, ryk silnika, chrzęst żwiru pod kołami, kiedy auto odjechało. Kiedy wstała, zobaczyła jeszcze błysk tylnych świateł na drodze. Nie pamiętała numeru rejestracyjnego - właściwie wydawało się jej, że samochód w ogóle nie ma tablic.

W końcu wspięła się na drogę i zatrzymała kierowcę minibusa, który zawiózł ją do szpitala.

- To było zupełnie, jakby... - Mówiła o tym, jak napastnik nie zdołał zrealizować planowanego gwałtu. - To było tak, jakby nie chciał mu... no, stanąć.

Kilka minut później siedziałem w dyżurce pielęgniarek na oddziale, a młoda lekarka, która badała Rebecę, opowiadała mi o jej obrażeniach. Pierwsze pytanie, na które chciałem otrzymać odpowiedź, było tym samym, które próbował mi zadać ojciec dziewczyny: czy została zgwałcona? Według lekarki, która przedstawiła się jako Lauren, dowody zgadzały się z wersją Rebecki. Została pobita, ale, co najważniejsze, nie była napastowana seksualnie.

- Chociaż nie jest dziewicą - powiedziała Lauren. - Nie chce, żeby jej tata wiedział. Zrobiła to z jakimś chłopcem, kiedy miała trzynaście lat.

- Co z jej obrażeniami? Coś poważnego?
 - Wystarczająco poważne, żeby zatrzymać ją tu na jeszcze jeden dzień. - Lauren odgarnęła włosy z twarzy. Zauważyłem, że pomalowała paznokcie niebieskim lakierem, na nim zaś namalowała małe gwiazdki.
 - Ale nic jej nie będzie? - spytałem.
- Pokiwała głową, przygryzając paznokcie kciuka.
- Nie powinno. - Przerwała na chwilę. - To właściwie nie moja działka, ale w rozmieszczeniu jej siniaków jest pewna regularność.
 - To znaczy?
 - Siniaki po pięściach napastnika są bardzo blisko siebie, a zasinienie jest we wszystkich równomierne.
 - Jestem otwarty na wszelkie sugestie, pani doktor. Co chce pani powiedzieć?

Lekarka wzięła głęboki oddech, jakby się do czegoś przygotowywała.

- Nie chciałabym wpływać na pana śledztwo, ale te ciosy zadał ktoś przyzwyczajony do uderzania mocno i raz za razem. Ktoś, kto robi to często. Na pana miejscu szukałabym boksera.

Spojrzała na mnie wzrokiem wypranym z emocji.

- Ale to tylko moja opinia.
- Mnie to wystarczy, pani doktor - powiedziałem. - Dzięki.

W samochodzie, w drodze powrotnej, powiedziałem Williams, że uwagi lekarki potwierdzają historię Rebecki.

- To ten sam mężczyzna? - spytała.
- Na pewno ten sam modus operandi. Taka sama niezdolność do gwałtu. Ale inny samochód.
- Mógł zmienić auto - powiedziała Caroline. - Sądząc po stanie, w jakim zostawił Karen Doherty, jego poprzedni wóz musiał być cały pobrudzony krwią z samych jego ubrań.

- Czyli przyjmujemy założenie, że w obu przypadkach to ten sam człowiek. Ale miejmy otwarte głowy.

- Dobrze. Niech się zastanowię, czy znamy jakichś bokserów?
- spytała Williams, a jej oczy zabłyśły z wściekłości.

- Aresztujemy go. Zobaczymy, co powie - zgodziłem się, choć nie wymieniła McDermotta. - Ale jego alibi z poprzedniego ataku jest wciąż aktualne, Caroline. A poza tym jego tatuaż nie przypomina tego, którego szukamy.

- Za to miał sprawę o pobicie kobiety i ćwiczy codziennie tłuczenie na kwaśne jabłko innych facetów.

- Zgoda. - Chciałem ją uspokoić, zanim jeszcze bardziej się wścieknie.

Popatrzyła na mnie, a potem odwróciła się do okna.

- Jezu Chryste! - warknęła.

Pomyślałem o własnym dziecku i też poczułem gniew. I przypomniałem sobie ostatnią rzecz, jaką powiedziała nam Rebecca Purdy. Było smutne, że ta dziewczynka, prawie dziecko, została zaatakowana w sposób, na którego opisanie nie znała nawet odpowiednich słów.

Peter McDermott został aresztowany w ciągu godziny. Williams poprosiła, żeby to ona mogła zapakować go do radiowozu. Siedział w naszej sali przesłuchań w spodenkach treningowych i koszulce. Nogi miał rozsunięte, rękę wygiętą, dłonią ścisnął kolano, które skakało mu chyba niekontrolowane. Kiedy go aresztowano, powiedziała mi Williams, trenował właśnie w klubie bokserkim w Ballybofey. Aresztowanie go przy innych bokserach sprawiło jej satysfakcję.

Doił herbatę, którą mu daliśmy po przywiezieniu, i zaczął drzeć kubek; styropian pękał na małe kawałeczki w jego grubych palcach robotnika. Żał mi było każdego, kto stawał naprzeciw niego w turnieju. Jeszcze bardziej żał było mi dwóch dziewczyn, które doznały takiej brutalności z tych czy podobnych rąk.

Na początek Williams zapytała go jeszcze raz o Karen Doherty, choć do tej pory ustaliliśmy już, że miał niezwykle mocne alibi.

- To bzdura i pani o tym wie - powiedział, kiedy spytaliśmy go, gdzie był w noc jej śmierci. - Następne pytanie.

- A wczorajszy wieczór? Gdzie pan był wczoraj wieczorem, panie McDermott?

- Byłem w klubie - odparł, a ja natychmiast poczułem uderzenie adrenaliny. Williams musiała poczuć to samo, bo zerknęła na mnie.

- W którym klubie? - wykrztusiła suchym głosem.

- Bokserskim. Mówiłem wam, trenuję. Możecie zapytać tam chłopaków. Widzieliście większość z nich dzisiaj, kiedy mnie aresztowaliście.

- O której wyszedł pan z klubu? - spytałem.

- Około jedenastej trzydzieści - wyjaśnił, lekko wzruszając ramionami. - A co? Co znowu zrobiłem?

- Wczoraj wieczorem w Letterkenny została napadnięta piętnastoletnia dziewczynka, panie McDermott, prawdopodobnie przez tego samego człowieka, który zabił Karen Doherty. Gdzie pan był po treningu?

McDermott popatrzył na Williams, potem na mnie i z powrotem. Kolano mu podskakiwało, mięśnie ramion wyraźnie się napięły, kiedy ścisnął je mocniej, zielony smok zafalował na przedramieniu jak żywy. Mimowolnie się zgarbił, przycisnął łokcie do boków, wolną dłoń zaciskał w pięść i otwierał do rytmu skoków kolana.

- Jaja sobie robicie? Zwinęliście mnie przez jakąś pierdoloną piętnastkę? Nie jestem pedofilem. To jakiś, kurwa, żart. Dajcie mi prawnika.

Skrzyżował ręce na piersi, która unosiła się ciężko i opadała z każdym oddechem. Mięśnie szczęki pracowały, jakby żuł coś twardego.

- Uważa pan, że będzie potrzebował prawnika? - spytała Williams.

- Tak. Zamierzam was oskarżyć o bezpodstawne aresztowanie.

- Nie jest pan bezpodstawnie aresztowany, panie McDermott, pomaga nam pan w dochodzeniu.

- A czemu niby miałbym to, kurwa, robić?

- Bo ktoś atakuje nastoletnie dziewczynki. Ktoś pana wzrostu, o pana wyglądzie, nawet z tatuażem, dokładnie taki jak pan. A dopóki ten ktoś jest na wolności, pan pozostaje podejrzany. Lubi pan swoich sąsiadów? - dodałem.

Uniósł brew z natychmiastową podejrzliwością.

- A co?

- Wie pan, co się dzieje z ludźmi, kiedy wychodzi na jaw, że są na liście molestujących? Myśli pan, że długo będą pana tolerować?

McDermott zerwał się z krzesła.

- Nic nie macie! - ryknął. - Pier...

Nie udało mu się jednak dokończyć swojego oświadczenia, bo Caroline Williams wyciągnęła pałkę i szybkim ruchem zdzieliła go w obojczyk. Poprawiła drugim ciosem w górę pleców; łupnięcie pałki w mięśnie zabrzmiało mdląco głośno. McDermott runął na podłogę, a kopnięte przez niego krzesło poleciało na drugi koniec pokoju.

Wstał chwiejnie, rozdygotany od adrenaliny; jego pierś i ramiona unosiły się ciężko z każdym oddechem.

- Ty kurwo - wycharczał.

Williams poprawiła już pozycję, rozsunała lekko nogi, podniosła pałkę, sama rozdygotana z wściekłości. Ciężko dyszała, twarz miała mokrą od potu, spojrzenie twarde. Spróbowałem ustawić się między nią a McDermottem.

- Panie McDermott - udało mi się powiedzieć. - Pan trenuje z tymi ludźmi. Niech pan popyta.

- Dlaczego? - Jego wściekłość trochę osłabła.
- Z obywatelskiego obowiązku - wyjaśniłem i spojrzałem na Caroline, która opuściła uzbrojoną rękę. - I z instynktu przetrwania.

12.

Środa, 9 czerwca

Następnego ranka zasnęłam; musiałem zadzwonić na posterunek i powiedzieć, że mam do załatwienia jedną sprawę związaną z Kerrem. W rzeczywistości Penny i Shane pomogli mi zrobić dla Debs śniadanie do łóżka, co w praktyce oznaczało, że Penny smarowała grzanki masłem, a Shane stał pod schodami i krzyczał „Mama, helbata!”, szarpiąc bramkę, którą tam założyliśmy, żeby się nie wspiął.

Nakarmiwszy mamę, całą trójką zjedliśmy śniadanie i pooglądaliśmy kreskówki. To z kolei tak naprawdę oznaczało, że Penny i Shane oglądali kreskówki, a ja posprzątałem Harry'emu Chomikowi, który został już zesłany do kąta przy kaloryferze.

Potem zadzwonił Jim Hendry i zaprosił mnie na pole golfowe w Lifford, a ja od razu się zorientowałem, że to będzie zły dzień.

- Mogłeś przynajmniej przynieść kije - zauważył, kiedy podszedłem do niego z rękami głęboko w kieszeniach.
- W domu miałem tylko kij do hurlingu - odparłem - chociaż przy twojej formie, mógł się przydać.
- Dowcipniś z ciebie - stwierdził Hendry, wyprowadzając pokazowe uderzenie. Nie powiodło mu się, gdyż kij przeorał trawę

kilkanaście centymetrów od piłki, która zakołysała się na kołku i spadła.

- To uderzenie ma jakąś nazwę?

- Przez ciebie nie mogę się skupić. Przyjechałem tu zaznać trochę spokoju - powiedział.

- To ty do mnie zadzwoniłeś - przypominałem. - Osobiście byłbym szczęśliwy, gdyby moja noga nigdy nie powstała w klubie golfowym.

- Czegoś się dla ciebie dowiedziałem - powiedział Hendry, ustawiając się do następnego uderzenia. - Czegoś, o czym nigdy ode mnie nie słyszałeś i czego się będę wypierał.

- Dlatego wybrałeś miejsce, Głębokie Gardło.

- Właśnie, i módl się, żebyś miał na myśli ten sam film co ja.

- Czego się dowiedziałeś?

- Niczego - odrzekł i uderzył. Kij trafił gładko w piłkę z efektownym trzaskiem i posłał ją daleko w pole przed nami.

- Czyli nic mi nie powiedziałaś.

- Chcesz się dowiedzieć czy nie? - Hendry położył na kołku następną piłkę.

- Przepraszam. - Okazałem należytą skruchę, ale byłem zdezorientowany. - Jestem ci wdzięczny za pomoc, Jim, naprawdę.

Znów się zamachnął i piłka poszybowała w powietrze. Zadowolony w końcu, że nie skompromitował się jako golfista, odwrócił się i zaczął mówić prosto do mnie.

- Trzy lata temu miałbym poważne kłopoty za to, co ci mówię; miej tego świadomość. Sprawdziłem Webba w naszych aktach. I nic nie znalazłem.

- Nic. Co to znaczy?

- To znaczy jedną z trzech rzeczy, Ben. Najprostszy powód byłby taki, że żył życiem doskonałym i nie mieliśmy nigdy okazji się z nim spotkać, żadnych kłótni z sąsiadami, mandatów, nic.

- Co jest dość mało prawdopodobne. Zwłaszcza jeśli Kerr wskazał go po aresztowaniu.

- Otóż to. Jeśli Kerr go wskazał, powinno coś być, choćby tyle, że go sprawdziliśmy i okazał się czysty.

- Jakie więc są powody nie najprostsze? - spytałem, choć zaczynałem już mieć własne podejrzenia, które tłumaczyłyby pojawienie się agenta brytyjskiego wydziału specjalnego po naszej stronie granicy.

- Inny powód to taki, że jego akta ma wydział specjalny. I tego właśnie nie powinienem ci mówić. Akta wydziału specjalnego są trzymane gdzie indziej niż wszystkie pozostałe; nie wolno się nam do nich zbliżać, chyba że ktoś z wydziału chce się czymś z nami podzielić.

- Czyli Peter Webb był szpiegiem?

- Właściwie agentem - zgodził się Hendry, po czym dodał pospiesznie - albo, to trzecia możliwość, był od dawna objęty programem ochrony świadków. Mogę tu zupełnie nie mieć racji, Ben. Mógł być całkowicie niewinny. Ale jak się doda dwa do dwóch, trudno, żeby nie wyszło...

- Zero-zero-cztery - powiedziałem ponuro.

- Właśnie. Z pewnością tłumaczyłoby to, czemu nie był przesłuchany w sprawie Castleberg, jeśli jedna z zamieszanych osób go wskazała. A przynajmniej tłumaczyłoby, czemu brakuje akt z jego przesłuchania. Jak mówiłem, oczywiście, mógł także być chronionym świadkiem. Co sprowadza się mniej więcej do tego samego.

- Ciekaw jestem, czy w aktach Kerra zapisano, że wskazał Webba. - Nie chciałem wprost prosić Hendry'ego, żeby dwa razy dzielił się ze mną swoimi informacjami.

- Tak myślałem, że spytasz, więc sprawdziłem. Jego akta są wyczyszczone do tego stopnia, że są nieczytelne. W jego oświadczeniu brakuje całych stron.

- Co za gówno.

- Właśnie, a ty w nim siedzisz. Na twoim miejscu nie zadałbym zbyt wielu pytań o Petera Webba. Jeśli Kerr dał nogę,

niech ucieka. Niech ci się nie wydaje, że wydział specjalny nie przejedzie przez granicę. Tych ważniaków nie dotyczą zwykłe zasady.

- Możliwe, że już to zrobili - powiedziałem i opowiedziałem Hendry'emu o mężczyźnie w sklepie Christy'ego Warda oraz dawnym znajomym z uczelni, który odwiedził Webba w noc jego śmierci.

- To by się zgadzało - stwierdził, kiedy skończyłem. - Nie rozpoznaję opisu, to może być ktokolwiek. Ale nie mogę węszyć w wydziale specjalnym, Ben. Wygląda na to, że niedługo będą u nas jakieś ruchy w górę - nie chcę wpaść na publicznym praniu naszych brudów. Gra w zespole i tak dalej.

- Myślałem, że golf to gra dla jednej osoby. - Uśmiechnąłem się, nagle wyczerpany na myśl o tej sprawie i wszystkim, co, jak podejrzewałem, było konieczne, żeby ją doprowadzić do końca. I na myśl o aferze z Pattersonem, i o zbliżających się awansach na posterunku.

- Podsumowując, Ben, Webb pracował dla wydziału specjalnego, kiedyś i w jakiś sposób. Możesz to brać za pewnik - nigdy nie dowiesz się na ten temat nic więcej. A ten twój angielski znajomy, który był z nim w noc śmierci? Moim zdaniem dwie godziny po rozstaniu był na promie Larne-Stranraer. I o nim też więcej nie usłyszysz.

- To by świetnie tłumaczyło, dlaczego Costello dostał polecenie, żeby wypuścić Webba, kiedy go aresztowaliśmy. Polecenie z góry.

- Aha. - Hendry pokiwał głową, podkreślając słuszność tej uwagi. - Musicie się pogodzić z faktem, że Webb pracował dla kogoś po mojej stronie. Czy miało to coś wspólnego z jego śmiercią? Moim zdaniem to wątpliwe. Nie są w to zamieszani żadni poważni gracze. Webb pewnie przestał działać już lata temu. Prawdopodobnie wysłali kogoś, żeby z nim porozmawiał po aresztowaniu.

Zacząłem się zastanawiać, skąd wiedzieli, że go aresztowaliśmy. Może Webb się z nimi skontaktował. Udało im się wyrzucić presję na Costella, zanim Webb wyszedł, więc musiał skontaktować się z nimi z aresztu. Nie miał komórki, więc użył telefonu posterunkowego. Nagłe olśnienie uderzyło mnie niemal odczuwalnie.

- O cholera - zakląłem, głośniejszym głosem niż zamierzałem.
- Wszystko w porządku? - spytał Hendry, wyjmując piłkę z koszyka. - Wyglądasz okropnie!

- Dzięki - odparłem. - I dzięki za informacje.

Machnął ręką.

- Nie trzeba. Zapłać mi za jeszcze jeden koszyk piłek, co? - powiedział, trenując zamach.

Pojechałem z powrotem na posterunek i wygrzebałem książkę z dnia aresztowania Webba. Funkcjonariuszem dokonującym aresztowania był oczywiście Patterson; przyjął Webba trzydziestego pierwszego maja trzy minuty po dwudziestej. Szybki telefon do Telecom Eireann pozwolił mi uzyskać listę połączeń z tego wieczoru. Domyśliłem się, że numer, na który dzwonił Webb, będzie albo komórkowy, albo stacjonarny na Północy. Znalazłem trzy takie, wszystkie w niedługim odstępie czasu.

Zabrałem je do naszego biura i wykręciłem pierwszy, który okazał się numerem do pizzerii w Strabane. Drugi połączył mnie z pubem w Sion Mills.

- Mówi Peter Webb - powiedziałem, kiedy odebrało.
- Gratuluję. - Usłyszałem damski głos. - Kim jest Peter Webb?

Trudno było to nazwać holmesowską maestrią, ale wystarczyło mi, żeby uznać, że wykręciłem zły numer. Spróbowałem więc z trzecim, komórkowym.

Zadzzwonił siedem czy osiem razy, zanim ktoś w końcu odebrał. Męski głos. Angielski akcent.

- Kto mówi? - spytał na powitanie.
- Peter Webb - powiedziałem.

Połączenie zostało przerwane. Zadzwoiłem ponownie. Cztery dzwonki.

- Kto mówi, do diabła? - warknął mężczyzna po drugiej stronie.

- Peter Webb - powtórzyłem po raz drugi.

Przez kilka chwil milczał. Potem:

- Nie, wcale nie. No więc, kto mówi?

Pora na szczerość, pomyślałem. Najwyraźniej trafiłem w czuły punkt, wymieniając samo nazwisko Webba.

- Nazywam się inspektor Devlin. Prowadzę śledztwo w sprawie zamordowania Petera Webba. Z kim rozmawiam?

- Cóż, myślałem, że pan wie, skoro to pan do mnie dzwoni - odparł tamten z nutką wesołości w głosie. - Czy może strzela pan w ciemno?

- Domyślam się, że jest pan z wydziału spec... - zacząłem, ale znów się rozłączył.

Spróbowałem po raz trzeci. Tym razem odebrał szybciej.

- Nie dociera do pana, co? - powiedział. - Nie mam panu nic do powiedzenia.

- Nie sądzę, żeby to była prawda. Gdyby nie chciał pan ze mną rozmawiać, nie odbierałby pan telefonu.

Mężczyzna roześmiał się dość chłodno.

- Więc Webb został zamordowany? - spytał.

- Tak, tak sądzimy.

- I czego pan chce ode mnie?

- Chciałbym z panem porozmawiać. O nim.

Nie odzywał się przez parę chwil i wyczułem, że się zastanawia.

- Skontaktuję się z panem - obiecał w końcu.

- Chce pan mój numer komórkowy?

- Nie trzeba.

- Jak się mam do pana zwracać? - spytałem, żeby zatrzymać go jak najdłużej.

Pauza.

- Panie Bond - odparł, zaśmiał się znów i rozłączył.

Kiedy odłożyłem telefon, do biura wpadł Burgess. Chwilę wcześniej zadzwoniła spanikowana Sinead Webb - znów widziała pod domem intruza. Wydawała się naprawdę przerażona, powiedział. Czy mogę do niej zajrzeć, skoro to ja zajmowałem się nią poprzednim razem?

Mimo słów Burgessa, kiedy przyjechałem do niej kilka minut później, Sinead Webb wydawała się opanowana. Zaśmiała się nieco sztucznie, wyznała, że spanikowała. Uważała, że intruz musiał zostać spłoszony. Mimo to ręka jej drżała, kiedy przypalała papierosa, a głos się łamał. Zaśmiała się znów nerwowo i próbowała uzasadnić swoje napięcie wydarzeniami ostatnich dni.

- Rozejrzę się, sprawdzę, czy nikogo tu nie ma - powiedziałem. - Zaraz wracam. - Skręciłem do kuchni, żeby wyjść tylnymi drzwiami. Pani Webb usiłowała skierować mnie do wejścia frontowego, ale za późno - zobaczyłem odłamki szkła leżące na podłodze w kuchni.

Ktoś najwyraźniej stłukł szybę w drzwiach, a potem sięgnął do środka i je otworzył. Szkło pod drzwiami było zmiażdżone butami, mogłem więc zakładać, że intruz dostał się do kuchni. Ktokolwiek to był - a musiałem podejrzewać Kerra - skaleczył się odławkami szyby pozostałymi we framudze, bo wokół dziurki od klucza były ślady krwi.

- Co tu się naprawdę stało, pani Webb? - spytałem. - Najpierw pani nas wzywa, a potem się zachowuje, jakby chciała się mnie pozbyć.

Sinead Webb opadła na kuchenne krzesło, to samo, na którym siedziała kilka dni wcześniej, kiedy przekazywałem jej wiadomość o rzekomym samobójstwie jej męża. Schowała twarz w dłoniach

i po raz pierwszy zobaczyłem, jak naprawdę płacze. Oparta o stół łkała, wstrząsana szlochami. Położyłem jej dłoń na ramieniu i nie wiedząc, co robić, pomasowałem delikatnie jej plecy. Wyrząłem za okno, na pierwsze jabłka pojawiające się na drzewach w ich sadzie.

- Rozumiem, że ostatnie dni musiały być dla pani ciężkie, pani Webb. - Odsunąłem sobie krzesło i usiadłem obok niej.

Pociągnęła nosem kilka razy, potem wydmuchała go w chusteczkę ścisiskaną w rękę i słabo się uśmiechnęła.

- Muszę okropnie wyglądać - powiedziała.

- Wcale nie - zapewniłem, bo uznałem, że to właśnie chciała usłyszeć. - Naprawdę poczuje się pani lepiej, kiedy mi powie, co tu się stało. Mogę pani pomóc.

- Ja... znów widziałam tego... tego człowieka. Tego, o którym mówiłam panu wcześniej. Był tam. - Wskazała jabłonie. - Myślałam, że chce mi coś zrobić, więc zadzwoniłam do was i zamknęłam drzwi na klucz. Tylko że on... on...

Wskazała drzwi.

- Wybił szybę i je sobie otworzył.

Kiwnęła głową i znów wzięła się w garść.

- Myślałam, że mnie zaatakuje. Ale on tylko powiedział, że wie coś o Peterze. Coś o tych narkotykach. Powiedział, że potrzebuje pieniędzy. Ja... nie wiedziałam, co mam robić i...

- Zapłaciła mu pani - dokończyłem za nią.

Przytaknęła.

- Ile?

Pokazała mi trzy palce.

- Trzysta euro - powiedziała. - Wiem, że nie powinnam - dodała pospiesznie - ale chciałam się go pozbyć. Nie wiedziałam, co robić.

- Tylko tyle chciał? Trzysta euro?

- Tylko tyle miałam w domu - wyjaśniła, wycierając nos i prostując się lekko, już spokojniejsza.

- Pani Webb, muszę wiedzieć, czego dokładnie chciał ten człowiek - wyjaśniłem. - Powiedział, że co wie?

Milczała przez chwilę; uniosła dumnie podbródek mimo przygnębiającej sytuacji.

- Powiedział, że wie, że Peter handlował narkotykami. Powiedział, że pójdzie z tym do gazet. Nie mogłam na to pozwolić. Może nie byłam idealną żoną, ale mój mąż nie żyje, panie inspektorze. Jak mogłabym żyć w tym mieście z taką reputacją?

Kiedy miałem pewność, że się uspokoiła, jeszcze raz poszedłem do ogrodu, poszukać śladów Kerra, ale nic nie znalazłem. Brzmiało logicznie, że Kerr szukał pieniędzy - wiedziałem, że jest bez grosza. Jednak jego metoda zdobycia ich trochę nie pasowała do jego rzekomego zadania w Lifford. A historia o Webbie handlarzu narkotyków była dla mnie nowością. Albo były to zupełne kłamstwa, albo Peter Webb miał więcej tajemnic, niż ktokolwiek przypuszczał.

Kiedy wróciłem na posterunek, Williams siedziała za budynkiem i się opalała. Wystawiła dwa drewniane krzesła i rozsiadła się na jednym, opierając nogi na drugim. Podciągnęła nogawki spodni pod kolana. Z okularami przeciwsłonecznymi na czole wysłuchiwała opowieści, jak pani Webb dała pieniądze Kerrowi.

- Uważasz, że to prawda? - spytała.

- Bóg jeden wie. To mało prawdopodobne, ale z drugiej strony Webb jako uzbrojony bandyta czy brytyjski szpieg też był mało prawdopodobny tydzień temu. Może warto to sprawdzić.

- Daj mi jeszcze dziesięć minut, już jestem prawie upieczona.

- Słońce uderzyło ci do głowy - powiedziałem, przypalając papierosa.

- Ale nie stępiło mojego zmysłu detektywistycznego! Sprawdziłam twój numer rejestracyjny. Należy do mieszkańca Letterkenenny. To ci się spodoba, szefie. Do pana Declana O'Kane'a.

- Decko?
- We własnej osobie. Wygląda na to, że pani profesorowa szukała przygód poza domem.
- Raczej w domu. Jak u diabła ona zetknęła się z Deckiem O'Kane'em?
- Kto wie? Ale... cóż za splątana sieć tkamy* - powiedziała Williams, parszając śmiechem.

* Nieprzetłumaczalna gra słów. Po angielsku „sieć” to „web” (przyp. tłum.).

Jęknąłem.

- Długo czekałaś, żeby to wygłosić?
- Odkąd powiedziałaś mi dzisiaj rano. Ale musiałam poczekać na właściwy moment.

Puściła do mnie oko, a potem zsunęła okulary z powrotem na nos i odwróciła twarz do słońca.

Declan „Decko” O'Kane rzekomo sprzedawał używane samochody. Urodził się w Strabane, a jego pierwszym zajęciem była recydywa. Rok po wyroku w zawieszeniu za ciężkie pobicie Decko poszedł siedzieć na dwa lata za kilka kradzieży w okolicach Ballymagorry. Podawał się za inkasenta z elektrowni, a zamiast odczytywać liczniki, opróżniał puszki po herbacie i torebki emerytek z oszczędności. Pobyt w więzieniu zaznajomił go z narkotykami, którymi zajmował się najpierw hobbystycznie, potem na skalę bardziej profesjonalną. Przez jakiś czas O'Kane był kojarzony ze skrajnymi bojówkami w Strabane, dopóki łomami i kijami baseballowymi nie połamano mu obu kostek i dziesięciu palców. W przeciwieństwie do wielu innych w jego sytuacji Decko nie dał się zastraszyć i został w Strabane; kuśtykał od baru do baru i sprzedawał małe ilości haszu, poppersów i ecstasy gotom i raversom we wczesnych latach dziewięćdziesiątych. Prowadził interesy na tyle małe, żeby nie rzucać się w oczy konkurencji, zarabiał jednak dość, żeby trochę odłożyć. Sam też wziął się w garść - rzucił narkotyki,

alkohol i papierosy. Mimo osłabionych kostek zaczął biegać. Co wieczór, niezależnie od pogody, truchtał po drózkach wokół Strabane. Potem, ni z tego, ni z owego, zniknął.

Pojawił się znów osiem miesięcy później w Letterkenny, trzydzieści kilometrów na południe od granicy, z pięcioma używanymi samochodami, które kupił na licytacji. Odnowił je, umył i nawoskował, a potem dał ogłoszenia i sprzedał, na czym zarobił trzy tysiące. Za te pieniądze kupił kolejnych osiem i tak dalej, i tak dalej, aż w końcu otworzył komis z pięćdziesięcioma autami. To było w 1997 roku. Teraz, niecałe dziesięć lat później, komis Decko oferował ponad trzysta samochodów i zatrudniał sześciu sprzedawców. O'Kane mieszkał na hektarowej posiadłości przy mało uczęszczanej drodze z Lifford do Letterkenny i jeździł samochodami wartymi więcej niż roczne pobory policjanta.

W przeciwieństwie jednak do Paddy'ego Hannona Decko nigdy nie był nominowany do Osobistości Roku Donegalu, i to nie tylko dlatego, że pochodził z Północy. Niezależnie od tego wszystkiego, co zrobił, żeby zyskać powszechny szacunek, wciąż był dawnym handlarzem narkotyków. Odmówiono mu członkostwa Klubu Rotańskiego, Lions Clubu, a nawet Rycerzy Świętego Kolumby.

Jeśli chodzi o wygląd, Decko prezentował dziwne połączenie ostentacji i niezręczności. Nosił garnitury od Armaniego i jedwabne krawaty. Jego twarz jednak została w młodości zniszczona przez trądzik i wciąż był dziobaty. Po pobiciu wciąż utykał; palce miał długie i szczupłe jak zawodowy pianista. Uzależnienie od narkotyków zniszczyło mu zatoki; mówiąc, bezustannie pociągał nosem i wycierał go grzbietem dłoni, choć w kieszeni marynarki nosił jedwabną chustkę. Mówił nosowym głosem, samogłoski brzmiały krótko, a spółgłoski szorstko.

Był także powiązany z Peterem Webbem czy raczej żoną Webba. Choć nie miał nic wspólnego z aresztowaniem Webba,

miejszem pobytu Jamesa Kerra czy nawet pojawieniem się wydziału specjalnego po naszej stronie granicy, z pewnością był warty uwagi w sprawie śmierci Webba.

W biurze pobierałem listy i notatki, które zebrały mi się na biurku przez ostatnich kilka dni. Na samej górze leżała stara wiadomość od Williams, że pojechała popytać w pubach i dowiedzieć się, gdzie Webb i jego angielski znajomy poszli w noc jego śmierci. Pod spodem znajdowały się najróżniejsze zgłoszenia o włamaniach, awanturach rodzinnych, zaginionych i odnalezionych zwierzętach, a także kolejna prośba o codzienną pobudkę od starszej pani z Raphoe, Marthy Saunders. Codziennie rano dzwoniłiśmy do niej na zmianę o dziewiątej - żeby zdążyła na poranną mszę, jak tłumaczyła. Wyglądało na to, że jutro jest moja kolej.

Na samym spodzie, wetknięta starannie między papiery, znajdowała się zaklejona koperta, w której ukryty był mały przedmiot. Kiedy otworzyłem kopertę, ze zdziwieniem znalazłem składaną kartkę z kondolencjami, z ukrzyżowanym Chrystusem na froncie. Zdziwiłem się jeszcze bardziej, kiedy ją otworzyłem i zobaczyłem mały nabój przymocowany w środku taśmą klejącą pod nazwiskiem zmarłego. A nazwisko zmarłego brzmiało Benedict Devlin.

13.

Środa, 9 czerwca

Nasi technicy nie zdołali dowiedzieć się niczego ważnego ani o naboju, ani o kartce. List został wrzucony do skrzynki pod liffordzką

pocztą, co ograniczało zbiór podejrzanych do kilku tysięcy mieszkańców Lifford, być może dwudziestu paru tysięcy mieszkających za mostem, w Strabane, a także tych, którzy tylko tamtędy przejeżdżali.

Costello obejrzał kartkę przez foliową torebkę, do której ją włożono. Zasuwał żaluzje w swoim gabinecie, żeby słońce nie świeciło tak mocno, ale nie otworzył okna, więc w pokoju było gorąco. Co chwila musiałem ocierać pot z czoła i wachlować się kartką. Costello uznał, że pocę się ze strachu - i być może częściowo miał rację.

- Nie przejmuj się, Ben. Rozgryziemy tę kartkę. To pewnie nic poważnego, czcza pogrożka - dodał nieprzekonująco. - Masz jakieś pomysły, kto mógł to wysłać?

- Nie mam pojęcia, panie nadinspektorze. Zakładam, że jest to jakoś związane ze sprawami, nad którymi teraz pracuję.

- Jakież nazwiska?

Całkiem sporo, pomyślałem. James Kerr, wielbny Charles Bardwell, morderca katolików? Wydział specjalny? Pan Bond przecież śmiał się, mówiąc, że nic do mnie nie dociera. Chodziło mu o taką wiadomość? Z drugiej strony oczywiście była możliwość, że wysłał ją któryś z moich kolegów. Nie wspominając o niedawno zidentyfikowanym Decku O'Kanie.

- Kartka ma stempel z poniedziałku, panie nadinspektorze. Po śmierci Petera Webba.

Wykluczało to chyba Bardwella, którego wtedy jeszcze nie poznałem, i szpiega, pana Bonda, o którego dopiero niedawno zacząłem wypytywać. Nie wiedziałem też wtedy o romansie pani Webb, więc Decko O'Kane również nie nadawał się na podejrzanego. Zostawali więc James Kerr i Patterson. Religijny kontekst kartki wydawał się wskazywać na Kerra, ale ugrupowania terrorystyczne z Północy wysyłały ludziom naboje i kartki z kondolencjami od wielu lat bez żadnych podtekstów religijnych. Wzorowanie się na twardejskich sposobach terrorystów skłoniło mnie do podejrzeń, że

kartkę wysłał któryś z moich kolegów - i rywal do awansu - po tym, jak podałem w wątpliwość autentyczność jego policyjnych dokonań.

- Cóż, nie martw się, Ben. Jestem pewien, że to tylko nieszkodliwe pogroźki. Ale lepiej mieć oczy szeroko otwarte, nie? - Mru-gnął do mnie dobrodusznie, opierając dłonie na udach i udając lekceważenie. - Dostałeś list o rozmowie kwalifikacyjnej? - spytał, umykając spojrzeniem na bok.

Pokiwałem głową, rozmyślnie patrząc mu w oczy, ale nie czułem pewności siebie, którą chciałem emanować.

- Śmiem twierdzić, że będzie tam mowa o tych znaleziskach. I o śmierci Webba. Zastanawiałeś się już, co powiesz?

Pokręciłem głową.

- Nie... - Odchrząknąłem i zacząłem jeszcze raz. - Niezupełnie, panie nadinspektorze. Jeszcze nie.

- Nie będę próbował na ciebie wpływać, Benedykcie, sam wiesz najlepiej, co myśleć. Ale nie chciałbym być na twoim miejscu.

Teraz z kolei on popatrzył mi w oczy, aż musiałem odwrócić wzrok.

- Właściwie - dodał, podając mi kartkę - wolałbym chyba dostać coś takiego niż iść na taką rozmowę. Jedno to może groźba, drugie to być może samobójstwo, jeśli nie będziesz ostrożny.

Jeśli to Patterson wysłał kartkę, bardzo dobrze odgrywał niewiniątko. Kiedy wracałem do biurka, podeszło do mnie paru kolegów. Okazywali współczucie i poparcie, jedni buńczucznie, inni z litością i strachem na twarzach, jakbym już umarł. Patterson się do mnie nie odezwał, chociaż obserwowałem go uważnie. Przez resztę dnia wypatrywałem jakiegokolwiek znaku, choćby wykrzywienia ust, które potwierdziłoby moje podejrzenia i dało pretekst do konfrontacji.

W końcu, tuż przed wyjściem do domu, podszedłem do jego biurka. Czytał jakiś raport, pozornie nieświadomy mojej obecności.

Nachyliłem się do niego i uśmiechnąłem przyjaźnie, ze względu na tych, którzy na nas patrzyli.

- Jeśli się dowiem, że to ty wysłałeś tę kartkę, policzę się z tobą wtedy, kiedy będziesz się tego najmniej spodziewał.

- I co zrobisz? Naskarżysz na mnie? Idź się wyplakiwać do piaskownicy. Pora dorosnąć, Devlin - odparł, nawet na mnie nie patrząc.

Twarz zapłonęła mi ze wstydu i zachwiałem się lekko - miałem wrażenie, że podłoga ucieka mi spod nóg. W uszach mi zaszumiało, jakbym przyłożył do nich muszle. Potem Patterson odwrócił się, odwzajemnił mój uśmiech, a przez szum krwi dotarły do mnie jego ostatnie słowa:

- Nie zawracałbym sobie głowy zasraną kartką, Devlin. Po prostu bym cię zabił, ty żaloszny fiucie.

Debbie nie martwiła się o mnie - ani nawet o siebie - tylko o dzieci. Przeczytała kartkę kilka razy, jakby w ten sposób mogła odcyfrować jakieś ukryte przesłanie, zawoalowaną groźbę wobec Shane'a i Penny, która mi umknęła. Objąłem ją, kiedy czytała, i starałem się przekonać, że to tylko pusta pogróżka od rozczarowanego kolegi, choć sam w to wątpiłem.

Strząsnęła moje ramiona.

- A jak nie? A jak ktoś naprawdę chce cię zabić? Skąd wiesz, że nie zaatakują, kiedy w pobliżu będą dzieci? Albo kiedy będziemy spali? Już drugi raz narażasz nas na niebezpieczeństwo tylko po to, żeby dowieść swojej słuszności.

- Tu nie chodzi o mnie, Debs - powiedziałem, choć miała rację. Podczas poprzedniego śledztwa w sprawie morderstwa zaatakowano nas w domu, a Debbie i dzieci zostały wzięte na zakładników przez mordercę.

- To o kogo? O mnie? O dzieci? Kto jeszcze uważa, że musi udowodnić, że znalezione narkotyki to nie znalezione narkotyki? Że samobójstwo to nie samobójstwo? Dlaczego po prostu nie zostawisz

tych spraw w spokoju? Dlaczego sprzątać gówna nie może dla odmiany ktoś inny? Nie jesteś jedynym uczciwym policjantem na świecie, Ben, przestań zgrywać męczennika.

- Nie zgrywam męczennika.
- Nie, zgadza się. Jest gorzej. Zamierzasz zrobić męczenników ze swojej rodziny.

Wieczorem, kiedy dzieci poszły spać, usiadłem z Frankiem na podwórku. Częściowo dlatego, że Debbie się do mnie nie odzywała, ale też dlatego, że bałem się o bezpieczeństwo swojej rodziny. Myślałem o tym, co moja żona, Hendry i większość ludzi, z którymi miałem ostatnio kontakt, mówili o graniu w zespole - i o mojej potrzebie udowodnienia swojej racji za wszelką cenę. Być może było w tym trochę prawdy.

Siedziałem tak z psem, słuchałem i czekałem; blask słońca gasł na zachodzie, a niebo nabrało odcienia starego złota, jednak nic nie mogło zdjąć ciężaru z mojego serca.

O dziesiątej trzydzięci usłyszałem dzwonek telefonu. Debbie stanęła w drzwiach i bez słowa podała mi słuchawkę.

- Mówi Charles Bardwell, panie inspektorze.
- Wielebny Bardwell. Czym mogę służyć?
- Rozmawiałem z Jamiem i wstawiłem się za panem. Mówi, że prawie skończył swoją misję i jest skłonny spotkać się z panem jutro.
- Czemu nie dziś? - spytałem i natychmiast zrozumiałem, jak małodusznie to zabrzmiało.
- Wiedziałem, że się pan ucieszy- stwierdził Bardwell z sarkazmem.
- Przepraszam. Miałem... zły dzień, pastorze.
- Cóż, może jutro będzie lepszy - odparł beztrąsko. - James ma dziś wieczorem coś do zrobienia, panie inspektorze. Powiedział, że spotka się z panem tam, gdzie znaleziono ciało Petera Webba,

jutro o dziesiątej rano. Moim zdaniem ma nadzieję na śniadanie.

- Dlaczego? Wydębił trzysta euro od wdowy po Webbie - powiedziałem, trochę zbyt kąśliwie.

- Myślę, że jest pan w błędzie. Jamie nie zrobiłby czegoś takiego. Poprosił wprost, żeby go pan nakarmił. Jego misja nie dopuszcza grzechu. W tym kradzieży.

- A morderstwa?

- Zapewniam pana, inspektorze, James nie ma z tym nic wspólnego.

- Być może. - Nie byłem przekonany. - Dziękuję za pomoc, pastorze.

Jutro być może będzie lepiej, powiedział. Żaden z nas nie wiedział jeszcze, jak płonna okaże się to nadzieja.

14.

Czwartek, 10 czerwca

Następnego ranka obudziłem się wcześniej, nie mogłem się doczekać, kiedy wyjadę z domu i zakończę przynajmniej jeden wątek: Jamesa Kerra. Debbie spała plecami do mnie, cała sztywna. Przy śniadaniu niewiele się odzywała i szczerze mówiąc, cieszyłem się, że mogę się skupić na pracy. Nie potrafiłem zmusić się do przyznania, że miała rację i że przez moją dumę naszej rodzinie groziło niebezpieczeństwo. Miałem nadzieję, że jeśli uda mi się zakończyć sprawę z Kerrem, to przyznawanie się nie będzie już potrzebne.

Na posterunek przyjechałem prawie o wpół do dziewiątej. Byłem pierwszy. Przyjemny chłód nocy się rozprasał; już czułem

nadchodzący skwar, który do obiadu miał popsuć nam wszystkim humor. Cieszyłem się, że jestem umówiony z Kerrem na dworze, choćby z powodu słońca, które rzadko odwiedza nas w Donegalu.

Zadzzwoniłem o dziewiątej do Marthy Saunders, pojechałem pod dom na Gallows Lane na dziewiątą trzydzieści i zaczekałem w samochodzie na Kerra. Pałęm papierosa i słuchałem radia. O dziewiątej czterdzieści pięć wysiadłem z auta, podszedłem do pustego budynku i zajrzałem do środka przez okna. Potem usiadłem na progu i zapaliłem następnego papierosa.

Piętnaście po dziesiątej, znudzony czekaniem, czując już pot zbierający się na dole pleców, zajrzałem za dom, na wypadek gdyby Kerr czekał na mnie na podwórku. Zobaczyłem coś, czego nigdy nie miałem zapomnieć. Ciało Jamesa Kerra wisiało na tym samym dębie, na którym znaleziono Petera Webba. Tyle że James Kerr nie został powieszony. Jego stopy przybito do pnia błyszczącymi, trzydziestocentymetrowymi gwoździami, ramiona rozłożono i przygwożdżono do najniższych gałęzi - jedno było nieco poszarpane przez gwóźdź, na którym wisiało. Głowa Jamesa zwisała bezwładnie na jego pierś uniesioną przez wyciągnięte ręce. Stopy miał oparte jedna na drugiej, groteskowo parodiujące ukrzyżowanie.

Wpatrywałem oznak życia, chociaż wiedziałem, że ich nie znajdę. James Kerr nie żył już od jakiegoś czasu; jego ciało było zimne i nieruchome, twarz ściągnięta i blada, a zarost ciemny na tle białej skóry. Nogi, przytrzymywane gwoździami przebijającymi stopy, miał ugięte, jakby kucał, a na kolanach brakowało sporych fragmentów tkanki. Najwyraźniej ten, kto go ukrzyżował, połamał mu nogi, żeby mieć pewność, że Kerr szybko umrze. James naśladował Chrystusa w swojej misji wybaczenia wszystkim, którzy go zdradzili, na koniec zaś spotkało go takie samo poniżenie i śmierć.

W ciągu dwudziestu minut na podwórku i w jego pobliżu zebrała się większość załogi posterunku i spora liczba gapiów oraz hien.

Costello pocił się i sapał, mijając dom i kierując się do mnie i Williams. Twarz miał czerwoną, może z upału, a może z wysiłku.

- Słodki Jezu - powiedział, kiedy zobaczył ciało, i przeżegnał się. - Słodki Jezu, chłopcze, co oni ci zrobili?

Pokuśtykał do zwłok i przyjrzał się uważnie twarzy, przekrzywiając głowę, jakby miał nadzieję, że bliskie oględziny pozwolą mu odkryć prawdę w starym przesądzie, że w oczach umarłego pozostaje obraz jego mordercy. Ale oczy Jamesa Kerra nie skrywały takiego sekretu.

- Jezu, Ben. - Pokręcił głową, bo nie umiał w żaden inny sposób wyrazić, jak wstrząsnął nim ten widok. - Jakie... zwierzę może zrobić coś takiego?

Nie byłem w stanie mówić - prawie nic nie czułem. Caroline, wyczuwając chyba mój emocjonalny stupor, wzięła mnie za rękę, splótła palce z moimi i lekko ścisnęła moją dłoń. Uśmiechnąłem się do niej, a potem widok mi się rozmył od wzbierających łez wściekłości i żalu. Williams objęła mnie i przytuliła.

- Chodź - szepnęła mi do ucha, odsuwając się. - Już dobrze.

Potem, tak delikatnie, że mogłem to sobie tylko wyobrazić, pocałowała mnie w policzek.

- Chodź, synu. - Costello wziął mnie za łokieć i zaprowadził do swojego samochodu zaparkowanego na podjeździe domu, poza zasięgiem wzroku tłumu zebranego na ulicy. - Jedźmy się napić.

Usiedliśmy w jego gabinecie; nalał nam po szklance whiskey, którą kupił zaledwie kilka dni temu, żeby uczcić znalezienie broni.

- Dobre na wstrząs - stwierdził.

Pierwszą szklankę wychyliłem jednym haustem, drugą już popijałem.

- To jedna wielka porażka, Ben - powiedział Costello, poluzowując krawat i opadając na oparcie fotela, odwrócony do okna,

które szeroko otworzył z daremną nadzieją, że do pokoju wpadnie świeże powietrze. Żaluzje wisiały nieruchomo, nawet najlżejszy powiew nie poruszał zółknącymi liśćmi zielistek.

- Będziemy musieli ściągnąć pomoc z zewnątrz. Mój Boże... Ukrzyżowanie? W Lifford? Nie mogę w to uwierzyć.

- Co z Kerrem, proszę pana? - spytałem, stawiając pustą szklankę na jego biurku.

- Co z nim? Bóg mi świadkiem, żal mi chłopaka i mam nadzieję, że nie czuł tego, co mu zrobili, ale daliśmy mu sporo okazji, żeby wyjechał, Ben. Był głupcem, choć Chryste Panie, zapłacił za to. - Costello pokręcił smutno głową, dopił swoją whiskey i napełnił znów obie szklanki.

- Nie mam najmniejszego pojęcia, kto to zrobił. Muszę być z panem szczery, nie wiem, co tu się dzieje.

- Wiem, Ben - odparł Costello i pokiwał głową. - Chyba wszyscy możemy tak powiedzieć. Może pora, żebyś się trochę wycofał. Mam przeczucie, że to NBCI będzie musiało posprzątać ten bałagan, czy chcemy tego, czy nie.

Wstałem, żeby wyjść, i zakręciło mi się w głowie. To tylko alkohol, powiedziałem sobie. Ale kiedy znów popatrzyłem na Costella, poczułem się nagle, jakbym stał w próżni. Niemal natychmiast ścisnął mi się żołądek, na czoło wystąpił pot, a pod czaszką zadudniła krew. Piers przeszył mi ból, zacisnąłem zęby i nie wiadomo skąd pojawiła się myśl, że mam atak serca.

Costello wstał i coś do mnie powiedział, ale nie rozumiałem go, jego słowa brzmiały jak bełkot. Potem, przy dźwięku przypominającym szum wody albo łopot ptasich skrzydeł, wszystko straciło kolory i zrozumiałem, że jeśli nie wyjdę stąd, z tego pokoju, to umrę.

Odwrociłem się i wybiegłem do głównej sali, gdzie puste biurka czekały na powrót swoich właścicieli, którzy - przynajmniej niektórzy - pilnowali właśnie zwłok Jamesa Kerra.

Jakby sam ruch wystarczył, pomieszczenie znów nabrało kolorów, i choć serce wciąż mi tłukło, jego uderzenia nieco zwolniły. Usłyszałem Costella, który stał za mną z ręką na moim ramieniu.

- Jezu, Ben, wszystko w porządku? Mam wezwać karetkę?

Spojrzałem na niego, jakbym widział go pierwszy raz w życiu. Na kulejącego, starego człowieka, który po śmierci żony widocznie się postarzał.

- Nic mi nie jest. Muszę tylko wyjść na powietrze.

- Wygląda mi to na zwykły atak paniki, Ben - wyjaśnił mi kilka godzin później John Mulrooney w swoim gabinecie. Siedział na krawędzi biurka i wypisywał mi receptę, a ja zapinałem koszulę i odwijiałem rękaw po mierzeniu ciśnienia. - Przeżywałeś ostatnio jakiś większy stres?

Nie odpowiedziałem mu, choć wyraz mojej twarzy wyraźnie powiedział mu wszystko, co chciał wiedzieć. Skrzywił się lekko stwierdził tylko:

- Rozumiem.

Potem wstał i wydarł receptę z bloczku.

- To są beta-blokery. Regulują trochę tętno. Możesz nigdy więcej nie dostać takiego ataku albo dostać go w samochodzie, w drodze do domu. Tak to działa. Naprawdę nie ma się czego bać, to tylko twój organizm odpala adrenalinę, kiedy nie jest ona do niczego potrzebna. Jeśli nie będziesz mógł wytrzymać, weź to. Panika nie minie, ale atak będzie łagodniejszy i będziesz mógł go przecze-kać.

- Dzięki - odparłem, chociaż z mojego tonu łatwo było wnioskować, że nie jestem zbyt szczęśliwy, że muszę brać tabletki.

- Możesz też wziąć kilka głębszych oddechów, powoli i miarowo. Pomogą ci się rozluźnić.

Podziękowałem i wziąłem receptę.

- Skoro już tu jestem, chciałbym cię o coś zapytać, John. Naktknąłem się na to przy innej mojej sprawie. To chyba też lek nasercowy. Nazywa się moobsy.

Mulrooney lekko się uśmiechnął.

- Jesteś pewien, że to leki Ben? - spytał.

- To coś związanego z sercem - odparłem. - Tak mi powiedziano.

- Kto ci tak powiedział? - Mulrooney był wyraźnie zmieszany.

- Miejscowy ćpun. Powiedział, że moobsy to coś bliskiego mojemu sercu, więc zgaduję, że to leki nasercowe.

John z trudem stłumił śmiech.

- Jezu, Ben, moobsy to nie leki, to skrót od „man boobs”, męskie cycki.

- A co to są męskie cycki, u diabła? - Zawstydzila mnie własna ignorancja i fakt, że Lorcan Hutton zabawił się moim kosztem, a ja nawet o tym nie wiedziałem. Może nawet skrzyżowałem ręce na piersi.

- To, co się wydaje - odparł Mulrooney. Bardzo się starał nie opuścić wzroku na moją pierś. - Twój koleżka ćpun robił sobie jaja, Ben.

- Wyłynęło to w związku z kradzionymi lekami - wyjaśniłem. - Chyba z tamoksifenem. Czymś na raka piersi.

Uśmiech doktora zbladł; Mulrooney pokiwał głową trochę poważniej.

- No, to już się bardziej trzyma kupy. Nie słyszałem, żeby stosowano go na męskie cycki, ale teoretycznie by się nadawał.

Sprawdę to dla ciebie, Ben. Dam ci znać.

- Dzięki, John - powiedziałem, wstając.

Kiedy otworzyłem drzwi, zatrzymał mnie.

- Och, i jeszcze jedno: spróbuj się odprężyć. Jeśli potrzebujesz wolnego, wypiszę ci zwolnienie.

- Nie trzeba. Poradzę sobie.

Wydarzenia tego dnia spowodowały przynajmniej odwilż w zimnej wojnie w domu. Debbie zbladła, kiedy opowiedziałem jej o znalezieniu zwłok Kerra, i naprawdę się przejęła, usłyszawszy o moim ataku paniki i wizycie u Mulrooneya. Wzięła moje beta-blokery i przeczytała ulotkę, zwłaszcza o efektach ubocznych, które obejmowały problemy z krążeniem i oddychaniem.

- Myślisz, że ci to potrzebne, Ben? - spytała.

- Nie wiem - odparłem. - John kazał je brać, gdybym znów dostał ataku.

Debbie wolno pokiwała głową i odstawiła tabletki.

- I co teraz będzie? - spytała.

- Krajowe Biuro Dochodzeń Śledczych przyśle prawdopodobnie zespół, który zajmie się tą sprawą. Może będę im pomagał, a może odstawią mnie na bok.

- To wszystko nie twoja wina, Ben - powiedziała cicho. - Wiem, że wczoraj mówiłam różne rzeczy, ale nic z tego nie jest twoją winą.

- Costello kazał mi wysłać Kerra z powrotem na Północ, nie zrobiłem tego. Dałem mu jeszcze pieniądze i powiedziałem, że mu zaufam.

- Nie to go zabiło.

- Właśnie to. Gdybym go ścigał, może odpuściłby sobie tę przeklętą „misję” i pojechał się upić i zaliczyć jakąś laskę, jak każdy normalny były więzień.

- Nie możesz mówić komuś z zasadami, co ma robić, Ben. Akurat ty powinieneś to rozumieć. Pojechałeś rano na spotkanie z Kerrem mimo tego wszystkiego, co się stało wczoraj.

- To co innego.

- Dlaczego? Obaj chyba myślicie, że macie misję. Jeśli to prawda, to Bóg załatwia swoje sprawy w dziwny sposób, ale nie sądzę, żeby się kiedykolwiek mylił.

Popatrzyłem na nią i wydało mi się, że widzę obok siebie kogoś więcej niż tylko swoją żonę.

- To nie ty przybiłeś gwoździami Jamesa Kerra - powiedziała.
- Może to odpowiedzialność zbiorowa, Debs. Może wszyscy jesteśmy winni. Nocował w polu, nikt nie wierzył w ani jedno jego słowo. Wrócił tu, żeby wybaczyć ludziom, którzy go zdradzili. Niemożliwe, żebym tylko ja jeden widział tu religijne konotacje. A jeśli wszyscy będziemy sądzeni za to, co się z nim stało?
- Nie jesteś sędzią, Ben. Jesteś policjantem, ojcem i mężem, i człowiekiem. Przestań próbować być kimś więcej.

15.

Piątek, 11 czerwca

Po raz drugi w ciągu dwóch dni szedłem do biurka, jakbym płynął przez morze wyrazów współczucia. Costello rozmawiał z kimś w swoim gabinecie, choć nie widziałem z kim. Williams pojechała do szpitala w Letterkenny na sekcję zwłok Kerra, którego po zebraniu śladów w końcu odcięto z drzewa na Gallows Lane.

Usiadłem w naszym pokoju i założyłem nową teczkę. Opisałem wszystko, co wiedziałem na temat Kerra, zaczynając od napadu w Castlederg.

Kerr należał do czteroosobowego gangu, wynajął go Peter Webb. James z pozostałej trójki rozpoznawał tylko jego, choć jeszcze jeden bandyta wydawał mu się znajomy. Chociaż wskazał Webba podczas przesłuchania, RUC nie podjęła tego tropu.

Po powrocie Kerra widziano go kilka razy w okolicach domu Webba. Żona Webba miała romans. Założyłem, że opiekun Webba

z wydziału specjalnego pojawił się w mieście w wieczór jego śmierci. Po zabójstwie Webba Kerr znów odwiedził jego dom - tym razem po to, by wymusić pieniądze od wdowy groźbami, że ujawni przeszłość jej męża.

Potem zaoferował, że odda się w ręce policji, kiedy zakończy swoją misję - tyle że ktoś przybił go do tego samego drzewa, na którym powieszono Webba.

Najwyraźniej Kerr odkrył tożsamość pozostałych członków gangu i postanowił ich skonfrontować - albo im wybaczyć, jeśli od początku mówił prawdę. Najwyraźniej nie byli zainteresowani jego wybaczeniem. Za to dokończyli fuszerkę, którą zaczęli wiele lat temu, kiedy go postrzelili i zostawili, żeby umarł. Przepuszczalnie było ich kilku: Kerr był dość drobny, ale wątpię, by jeden mężczyzna zdołał przycisnąć drugiego do pnia drzewa i jednocześnie go do niego przybić. Oznaczało to, że pozostała dwójka z gangu z Castlederg żyła i miała się dobrze - i wciąż mieszkała w okolicy.

Jeśli Kerr ich zidentyfikował, to znaczy, że albo Webb powiedział mu o nich przed śmiercią, albo Kerr dowiedział się tego w jakiś inny sposób. Ale jak? I czy znaczyło to, że był odpowiedzialny za śmierć Webba?

Nie umiałem odpowiedzieć na te pytania, więc poszedłem zrobić sobie kawę. W połowie drogi do kuchni usłyszałem, że woła mnie Costello. Stał w drzwiach swojego gabinetu i machał do mnie. Odstawiłem pusty kubek i poszedłem do niego. Przed jego biurkiem, z gasnącym uśmiechem na ustach, siedziała Miriam Powell. Znów.

Miriam Powell i ja byliśmy ze sobą krótko jako nastolatki; nasz związek zakończył się, kiedy poznała Thomasa Powella, człowieka, którego później poślubiła.

Nasze drogi znów się przecięły, kiedy ona i Debbie wynajmowały ten sam dom podczas studiów. Miriam lubiła jej wypominać,

że to ona poznała mnie pierwsza, sugerując seksualne podteksty, które nie miały odzwierciedlenia w rzeczywistości.

W końcu spotkaliśmy się w trakcie śledztwa, które zakończyło się śmiercią jej męża. Potem zajęła jego miejsce jako reprezentantka okręgu Donegal. W tamtym czasie flirtowaliśmy przelotnie, na krawędzi romansu; pocałowaliśmy się (po pijanemu, a przynajmniej ona była pijana), o czym dowiedziała się Debbie. Ostatecznie odrzucając Miriam Powell, mimowolnie stworzyłem sobie wpływowego wroga.

Teraz siedziała i uśmiechała się do mnie, z twarzą okoloną ciemnoblonde, rozjaśnianymi włosami - przed kampanią wyborczą zmieniła ich kolor i uczesanie. Moim nieprzemijającym wspomnieniem o Miriam Powell był zapach kokosa, który wydawał się emanować z jej skóry. Jakiś czas temu jednak zaczęła używać innych perfum.

- Benedict, jak świetnie cię widzieć. - Wstała, nachyliła się do mnie i cmoknęła powietrze obok mojego policzka. Dla równowagi położyła mi dłonie na ramionach, potem szybko się odsunęła.

- Miriam, ciebie też miło znów widzieć. Gratuluję zwycięstwa w wyborach. Jestem pewien, że świetnie sobie poradzisz.

- Cóż, ktoś musiał zastąpić Thomasa. Ktoś, kto nie boi się mówić tego, co trzeba powiedzieć głośno.

- Nie przychodzi mi do głowy lepszy kandydat, Miriam. W jak najbardziej pozytywnym znaczeniu - powiedziałem, siłąc się na szczerłość. Bez skutku.

Uśmiechnęła się przelotnie.

- Oczywiście, Ben. Tak czy inaczej, pomyślałam, że wpadnę po kilka porad od nadinspektora Costella przed rozmowami. Jestem cywilną przewodniczącą komisji.

- Tak słyszałem. Miło będzie widzieć znajomą twarz podczas rozmowy, Miriam.

- Cóż, Ben, jest pewien problem z tym, jak zajęto się ostatnimi wydarzeniami. To nie wygląda dobrze. Człowiek ukrzyżowany na drzewie w Lifford? Trochę to przyćmiło blask znaleziska inspektora Pattersona.

Pokiwałem głową i zerknąłem z ukosa na Costella, który odpowiedział mi takim samym spojrzeniem.

- Oczywiście należy się spodziewać, że zostaniesz poproszony przez komisję awansów o szczegółowy raport z tych dochodzeń.

Znów kiwnąłem głową, a potem odchrząknąłem, bo trudno mi było mówić.

- Postaram się je przedstawić jak najdokładniej, Miriam. Choć szczerze mówiąc, mam przecucie, że do czasu rozmowy tę sprawę przejmie już ktoś inny.

- Być może podczas rozmowy powinieneś zachować swoje niepowodzenia dla siebie, Benedikcie - powiedziała, a potem odwróciła się ode mnie, dając do zrozumienia, że mogę odejść.

Williams siedziała w naszym pokoju, kiedy wreszcie udało mi się tam wrócić z kawą. Zanotowała ustalenia patolog i streściła mi je. Patolog uważała, że Jamesa Kerra zabiło przynajmniej dwóch napastników. W trakcie szamotaniny Kerr chwycił czy zadrapał jednego z nich albo obu i spod jego paznokci pobrano próbki skóry. Został prawdopodobnie pobity do nieprzytomności, a potem przybity do drzewa z połamanymi kolanami, żeby przyspieszyć śmierć. Być może się ocknął, może wzywał pomocy, ale domy na Gallows Lane były oddalone od siebie na tyle, że nikt nie mógł usłyszeć jego krzyków. Wolałem myśleć, że umarł, nie odzyskawszy przytomności. Na koniec ktoś zmiażdżył mu mostek tym samym młotkiem, poważnie uszkadzając serce i płuca. Jeśli ci, którzy zdradzili Kerra i zostawili go, żeby umarł osiem lat wcześniej, żalowali, że wtedy im się nie udało, tym razem nie pozwolili sobie na żadne niedociągnięcie.

- To było ohydne - powiedziała Williams, podpijając moją kawę. - Kiedy widziałam go wczoraj, większość obrażeń była niewidoczna pod ubraniem. Naprawdę ostro go przerobili. To było... okrutne.

Pokręciła z niedowierzaniem głową, jakby chciała w ten sposób pozbyć się z pamięci tego wszystkiego, co widziała.

Zajrzałem do jej notatek: lista obrażeń odniesionych przez Kerra, ustalenia sekcji; jego ubranie, to samo, co wtedy, kiedy go podwoziłem; spis zawartości żołądka (czekoladowy batonik zjedzony kilka godzin przed śmiercią); lista rzeczy, które przy nim znaleziono - medaliki, osiem euro siedemdziesiąt trzy centy w monetach i banknotach, pół opakowania gumy do żucia. Sam nie wiedziałem dlaczego, ale coś mi tu nie pasowało, choć nie umiałem powiedzieć co.

Przestudiowałem znów chronologię wydarzeń, które zapisałem, kiedy tylko przyszedłem, usiłując dojść, co nie daje mi spokoju. Nie zgadzało się coś z pieniędzmi w jego kieszeniach. Coś było nie tak.

- Caroline, zapisałaś tu, że miał przy sobie ponad osiem euro. Jesteś pewna?

- Na sto procent, patrzyłam, jak technicy je liczą.

- To gdzie się podziało trzysta euro? Pieniądze, które wymusił od Sinead Webb? Co się z nimi stało?

- Może je wydał - zasugerowała Caroline.

- Na co? Nie ma tu mowy o żadnej biżuterii. Miał na sobie to samo ubranie, w którym tu przyjechał. Od iluś godzin nie jadł nic oprócz batonika. Na co mógł je wydać?

- Może zabrali je mordercy? - powiedziała Williams, ale od razu dodała: - Ale zostawili osiem euro. Czemu nie zabrali wszystkiego?

Wzruszyłem ramionami. Zgadzałem się z nią.

- Czy tych osiem euro może być resztą z trzystu?

- Raczej z tego, co mu dałem kilka dni temu. Spał w krzakach, raczej nie wydał tego na noclegi.

- No to o czym myślisz? - spytała Williams. - Może w ogóle nie miał tych pieniędzy?

Znów pokiwałem głową.

- Myślę, że Sinead Webb nic Jamesowi Kerrowi nie dała. A przynajmniej żadnych pieniędzy. - W głowie wirowały mi myśli, które wolno układały się w większą całość. - Słuchaj, Kerr przyjechał tutaj, żeby spotkać się z trójką, która go zdradziła. Najpierw poszedł do Webba i Webb zginął. Po co wrócił do jego żony? Jeśli on mu powiedział, kim byli pozostali członkowie gangu, po co tam wracał?

- Chyba że Webb mu nie powiedział. Chyba że zginął, zanim zdążył to zrobić.

- Ale Kerr myśli, że pani Webb będzie wiedziała. Skąd miała by wiedzieć?

- A jeśli Kerr zobaczył ją z kimś, kogo znał? - podsunęła Williams. - Z kimś, kto może był u niej w domu?

Mówiła coraz głośniejsze, coraz bardziej podekscytowana, a fragmenty łamigłówek wskakiwały na swoje miejsca. Pokiwała głową na znak, że doszła do tych samych wniosków co ja.

Przypomniałem sobie historię napadu usłyszaną od Bardwella. Kerr wspominał, że jeden z bandytów miał widoczne pod pończochą pryszcze. Nie było wcale wykluczone, że po pryszczach pozostały dzioby na twarzy Decka O'Kane'a. A pani Webb sama mi powiedziała, że Kerr widział jej przyjaciela tamtej nocy, kiedy pierwszy raz zauważyła go na swojej posesji. Była to tylko poszlaka, ale przynajmniej miała sens. A do tego - na razie była jedyną, jaką mieliśmy.

Wyciągnąłem nasze materiały na temat O'Kane'a i Webba; w zamieszaniu po mojej ostatniej wizycie u Sinead Webb nie sprawdziłem, czy był choć cień prawdy w twierdzeniach, że Webb

handlował narkotykami. Nie byłem zaskoczony, nie znajdując nic takiego w jego papierach. Było tam kilka wzmianek o wykroczeniach drogowych i zarzuty dotyczące zakłócania spokoju po pijanemu, ale nic, co by sugerowało, że kierował uzbrojonymi napadami. Zrozumiałem przynajmniej tyle, że jeśli Kerr faktycznie wskazał Webba po napadzie, RUC nie skontaktował się w tej sprawie z An Garda. Z drugiej strony, jeśli Webb pracował dla wydziału specjalnego, nie skontaktowaliby się przecież z nami, bo by się obawiali, że zajmujemy się tą sprawą i spalimy jego przykrywkę.

Akta Decka O'Kane'a były o wiele dłuższe. Oprócz informacji, które już znałem, znajdowały się tam liczne upomnienia i mandaty za przekraczanie prędkości, parkowanie, a w kilku przypadkach stwarzanie zagrożenia na drodze. Chodziły pogłoski, że Decko wrócił do swojego pierwotnego powołania - sprzedawania narkotyków - ale nic z tego nie potwierdzono i trzeba było przyznać, że odkąd zaczął swój samochodowy biznes, wydawał się czysty.

Podzieliłem się jego papierami z Williams i zaczęliśmy czytać w milczeniu. Caroline przerzucała kartki, odchylona na oparcie fotela porównywała notatki leżące na biurku z tymi, które trzymała w rękach.

- Decko zniknął w dziewięćdziesiątym piątym - powiedziała w końcu - i pojawił się z powrotem w dziewięćdziesiątym szóstym. Tak?

- Skoro tak mówisz.

- Znika z pola widzenia w listopadzie, przed napadem, wraca w lipcu dziewięćdziesiątego szóstego z samochodami, które kupił na aukcji w Anglii. I nikogo nie zastanowiło, skąd miał na to pieniądze? - spytała z niedowierzaniem.

- Według tego - odparłem, wskazując plik kartek, które czytałem - założono, że to były zyski z narkotyków. Ale nie dało się tego udowodnić. Trochę za duży zbieg okoliczności, co?

- Uważasz, że był jednym z nich, że za swoją działkę wyszedł na prostą?

- Być może. Albo zorganizował sobie idealną przykrywkę, żeby wyprać resztę pieniędzy, które ukradziono.

Williams zmarszczyła lekko brwi i się pochyliła.

- Ale to ciągle za mało, żeby go aresztować, prawda? Tak naprawdę nic na niego nie mamy.

- Mamy dość, żeby z nim porozmawiać - powiedziałem. - A jeśli znajdziemy jakiś sensowny motyw, zawsze możemy go poprosić o próbkę DNA.

Williams popatrzyła na mnie ze zdziwieniem.

- Żeby porównać ją z naskórkiem spod paznokci Kerra - wyjaśniłem.

Droga do Letterkenny zajęła nam pół godziny, następne dwadzieścia minut przedzieranie się przez korki do komisju Declana O'Kane'a na obrzeżach miasta, w niedawno wybudowanym parku przemysłowym. Budynek, cały ze szkła i nierdzewnej stali, stał naprzeciwko biur rady hrabstwa, które podczas budowy kilka lat temu pokryto - budząc kontrowersje - darnią.

Kiedy weszliśmy do salonu wystawowego, prawie natychmiast podszedł do nas gorliwy młody sprzedawca, gładko ogolony i wyperfumowany. Założył, że jesteśmy małżeństwem, i zwracając się do mnie jako do głowy rodziny, oświadczył, że widzi nas razem w zaskakująco przestronnej terenówce.

- Oby nie, synu, bo moja żona dostałaby szału - powiedziałem, a potem przedstawiłem Williams i siebie. Wrodzona złośliwość kazała mi to zrobić na tyle głośno, żeby usłyszało nas kilkoro stojących w pobliżu klientów.

- Chcielibyśmy porozmawiać z panem O'Kane'em, jeśli to możliwe - dodałem.

Sprzedawca czmychnął do biura; przez drzwi zauważyłem O'Kane'a rozmawiającego z kimś niewidocznym. Wyjrzał w naszą stronę i powiedział coś do tej drugiej osoby. Pauza, potem wychylił się i zamknął drzwi.

Chwilę później chłopak wrócił, za nim zaś żwawym krokiem szedł O'Kane, lekko nachylony. Prawie zupełnie już nie utykał. Przez ostatnie lata naprawdę się postarał poprawić swoją aparycję: włosy miał zaczesane do tyłu na żel, wąsy przycięte i równe. Jego skóra lśniła, przypuszczalnie od kremów, które stosował na czerwone dzioby wciąż znaczące jego twarz. Przycisnął pięść do nosa, siąknął, a potem wyciągnął dłoń. Nie byłem pewien, czy nie zrobił tego specjalnie, żeby wybić nas z rytmu, zanim jeszcze zaczęliśmy.

Ucisnąłem mu dłoń i dyskretnie wytarłem rękę w nogawkę spodni.

- Słucham, czym mogę służyć lokalnej policji? - spytał, wymawiając ostatnie słowo z północnym akcentem. - Zamierzają państwo uzupełnić flotę samochodową?

- Niezupełnie, panie O'Kane - odparłem z uśmiechem. - Chcielibyśmy porozmawiać z panem o morderstwie Petera Webba.

- Kogo? - zapytał bez chwili zawahania, pokręcił krótko głową i wykrzywił twarz w grymasie zdumienia. - Nie znam tego nazwiska.

Było to oczywiste kłamstwo; media trąbiły o tej sprawie. Ale takie zaprzeczenie nie było niczym zaskakującym, zważywszy na jego powiązania z Webbem.

- Był mężem pana dziewczyny, panie O'Kane - powiedziała Williams. - Sinead Webb.

Decko znów pociągnął nosem, przyciskając dłoń do nozdrza. Jednocześnie szybko rozejrzał się po salonie, próbując ocenić, kto mógł go słyszeć. Jeśli ktoś faktycznie usłyszał, nie dawał tego po sobie poznać, choć zauważyłem, że inni obecni przestali rozmawiać i obchodzili samochody w milczeniu.

- Może moglibyśmy porozmawiać w pana biurze, panie O'Kane? - spytałem, wskazując drzwi, z których wyszedł. - Mielibyśmy tam odrobinę więcej prywatności, jak sądzę.

Decko zaproponował nam herbatę albo kawę, ewidentnie w ramach formalności, więc celowo skorzystałem. Wezwał swoją sekretarkę; zastanawiałem się beztrwosko, czy z nią też romansuje, dopóki się nie zjawiała i pytanie stało się bezpodstawne. Była otyłą kobietą pod sześćdziesiątkę, z twarzą wykrzywioną w trwałym grymasie. W jednym ręku niosła trzy różne kubki z kawą, w drugim wyszczerbioną tacę z bezami. Postawiła kubki z taką siłą, że kawa chlusnęła na papiery na biurku. Decko jęknął i przewrócił oczami, kiedy wychodziła, ale mimo to podziękował jej uprzejmie za pomoc.

- Jezu - warknął, kiedy zamknęła drzwi. - Gdyby nie była moją siostrą, wywaliłbym ją.

- To bardzo przyzwoicie z pana strony, panie O'Kane - stwierdziłem z uśmiechem.

- No dobrze - powiedział, przesuwając się do przodu w fotelu. - Peter Webb został zamordowany. Co to ma wspólnego ze mną?

- Zastanawiałem się, skąd pan znał Webba. - Nigdy nie lubiłem, kiedy to podejrzany zadawał pytania.

- Nie znałem - odparł. - Znałem jego żonę. Przyszła tutaj, szukała nowego samochodu, jakiś rok temu, i dostała to, czego naprawdę szukała.

Wyszczrzył się lubieżnie, a ja zadumałem się nad mentalnością człowieka, który wygłasza taką uwagę w obecności policjantki i nie zdaje sobie sprawy, jak negatywnie wpłynie to na jego obraz w jej oczach. Ale może o to właśnie chodziło; może Decko miał gdzieś, co myśli o nim Williams czy ja. Jeśli spodziewaliśmy się, że załamię się i przyzna do wszystkiego tylko dlatego, że wiemy o jego

romansie z zameżną do niedawna kobietą, byliśmy w błędzie.

- Miał pan romans z kobietą, ale nie znał jej męża, panie O'Kane? - spytała Williams z niedowierzaniem.

- Oczywiście. Zakulisowy romans właśnie na tym polega, że nikt o nim nie wie. Nie zamierzałem mu się raczej przedstawiać, prawda?

Gestem zaznaczył cudzystów, kiedy wymawiał słowo „zakulisowy”, może po to, żeby podkreślić, że w ogóle zna takie słowo. Potem się uśmiechnął upewniony w swoim przekonaniu, że tak naprawdę działamy po omacku.

- Ale zna pan to nazwisko? - spytałem.

- Oczywiście. To już inne pytanie, nieprawdaż? - Uśmiechnął się nieszczercze.

- A zna pan Jamesa Kerra? - zapytałem w nadziei, że coś zauważę w jego twarzy. Ale nie zawahał się ani chwili.

- Nigdy o nim nie słyszałem. Z jego żoną też ktoś sypiał?

- Nie, ktoś przybił go gwoździami do drzewa, a potem połamał mu kolana młotkiem - odparłem.

I tu Decko popełnił pierwszy poważny błąd.

- Nie słyszałem - powtórzył, co było niemal niemożliwe, bo historia o ukrzyżowaniu byłego więźnia w Lifford trafiła na pierwsze strony gazet i do wszystkich wiadomości telewizyjnych stąd do Cork. O ile mogłem zrozumieć, że wypierał się znajomości z mężem swojej kochanki o tyle Kerr był dla niego, jak się orientowaliśmy, kimś obcym. Dlaczego Decko miałby zaprzeczać, że o nim słyszał?

- Uważamy, że może istnieć jakiś związek między tymi dwoma morderstwami, panie O'Kane. Pana nazwisko wypłynęło podczas naszego dochodzenia - wyjaśniła Williams.

- Chciałbym móc państwu pomóc - powiedział Decko nieprzekonująco - ale nie znam żadnej z osób, o których państwo mówią.

O ile seks pozamałżeński nie jest przestępstwem, na nic się państwu nie przydam.

- Nawet gdyby pozamałżeński seks był przestępstwem, proszę pana - powiedziała Williams - skazana zostałaby pani Webb, a nie pan. Nie jest pan żonaty, prawda?

- Nie, a jest pani zainteresowana?

- Myślę, że można spokojnie założyć, że nie - odparła Williams obojętnym tonem.

Kiedy wychodziliśmy, młody sprzedawca, który nas witał, stał przy ekspresie do kawy z jednym ze swoich kolegów, łysym, zwalonym mężczyzną w poplamionym olejem kombinezonie. Pomachałem do nich, ale żaden nie zareagował; w milczeniu przyglądali się, jak wychodzimy.

- Wnioskuje, że nie spodobał ci się pan O'Kane - zagadnąłem Williams, kiedy wyszliśmy na zewnątrz.

- A co by mi się mogło w nim podobać?

- Musi coś w sobie mieć. Sinead Webb to ładna dziewczyna.

- Musi być zdesperowana - prychnęła Caroline. - Czyli on kłamie.

- Oczywiście. Tyle tylko, że nie wiemy, w jakiej sprawie kłamie, bo nie wiemy, co zrobił. Może był taki sztywny, bo jesteśmy z policji.

Kiedy jechaliśmy dwupasmówką, samochód z tyłu zaczął nas wyprzedzać. Mijając nas, na ułamek sekundy za bardzo się zbliżył, zaraz potem odbił. Ten mały przypadek jednak wystarczył.

Moje uszy wypełnił szum, a wszystko przede mną jakby się oddaliło. Straciłem ostrość widzenia, serce zaczęło mi wściekle łomotać; odruchowo chwyciłem się za nadgarstek, usiłując wy badać puls.

Czułem, że samochód wymyka mi się spod kontroli. Zareagowałem tak przesadnie, że wjechaliśmy na krawężnik, zanim

poprawiłem kierunek. Williams coś do mnie mówiła, podniesionym i nagłym głosem, który zlewał się z rykiem klaksonów za nami i łoskotem mojego serca. Niedaleko przed nami zobaczyłem stację benzynową i zwolniłem, najbardziej jak mogłem, żeby skręcić.

Zatrzymałem się na placu, wyłączyłem silnik i otworzyłem drzwi. Kiedy tylko stanąłem na betonie i poczułem twardy grunt pod nogami, panika trochę ustąpiła i mój lęk zaczął przechodzić. Niebo było jasnoblękitne, powietrze chłodne pod zadasiem. Zgiąłem się wóół i oparłem ręce na kolanach, bo od smrodu benzyny zakręciło mi się w głowie. Potem poczułem na plecach dłoń Williams, masującą mnie tak, jak robili to moi rodzice, gdy byłem mały, i było mi niedobrze. Dodało mi to otuchy i się wyprostowałem. Williams przyglądała mi się z troską, z twarzą ściągniętą i wystraszoną.

- Jezu, nic ci nie jest? - spytała.

- Przepraszam, Caroline - odparłem. - Bardzo przepraszam, nic mi nie jest.

- Co się stało? - Popatrzyła na drogę, jakby tam była odpowiedź. Podążyłem za jej spojrzeniem i zobaczyłem, że kilka samochodów, które jechały za nami, wolno ruszają; najwyraźniej kierowcy zatrzymali się, żeby wyładować swój gniew, zanim zrozumieli, że nie jestem pijany, tylko chory. Jeden mimo to zatrąbił i pokazał mi środkowy palec - gest, który odwzajemniłem.

- Mam ataki - wyjaśniłem. - Ataki paniki czy coś takiego. Nic mi nie jest. Musiałem tylko wysiąść z samochodu.

Williams przyjrzała mi się uważnie.

- Usiądź, przyniosę ci wody - powiedziała i weszła do sklepu.

Kiedy wróciła, poprosiłem, żeby siadła za kierownicą. Gdy wyjeżdżaliśmy z Letterkenny, wycisnąłem z opakowania pierwszy beta-bloker, popiłem go wodą, którą przyniosła mi Caroline, i starałem się nie zwracać uwagi na jej powątpiewającą minę, gdy na mnie zerknęła.

16.

Sobota, 12 czerwca

W sobotę rano niebo wcześniej się rozjaśniło i pozostało bezchmurne na cały dzień; tyle na temat banałów. Stałem na skraju grobu. Bardwell wygłosił ostatnich kilka słów i ciało Jamesa Kerra odbyło swoją ostatnią podróż.

Grabarzy było niemal więcej niż żałobników; oprócz Bardwella i mnie tylko siostra Kerra, Annie, zadała sobie trud, żeby przyjechać na pogrzeb. Jego matka i ojczym nie mogli, wyjaśniła przeproszającym tonem. Nikt nie wiedział, gdzie jest jego ojciec. Miałem nikłą nadzieję, że wróci Mary Gallagher, ale takie romantyczne pomysły były bezpodstawne. Nie miałem nawet pojęcia, czy wiedziała, że Kerr nie żyje. Ani czy ją to obchodziło.

Kiedy glina zadudniła o wieko trumny, Bardwell podszedł do mnie i się przywitał. Potem uściśnął Annie, nieco niezręcznie. Najwyraźniej się nie znali. Ja z kolei jeszcze raz złożyłem kondolencje i zaproponowałem herbatę i kanapki w miejscowej kawiarni, ale Annie odmówiła, tłumacząc, że musi wracać do domu do Banbridge czy gdzieś tam.

- Ja się skuszę na tę kanapkę, jeśli to aktualne - powiedział Bardwell.

Usiedliśmy w ogródku kawiarni przy głównej ulicy Lifford, naprzeciwko posterunku, żeby zapalić przy rozmowie.

- Niespecjalne to ostatnie pożegnanie, co? - zauważyłem.
- Jamie miał niespecjalne życie - odparł Bardwell. - Śmierć też, skoro o tym mowa.

W milczeniu przypaliłem papierosa.

- Z kim on się zamierzał spotkać tamtej nocy, pastorze?

Bardwell wstrzymał na chwilę oddech, jakby ważąc to pytanie i jego ewentualne niuanse. W końcu chyba doszedł do wniosku, że wraz ze śmiercią Kerra przestała obowiązywać tajemnica spowiedzi.

- Nie znam żadnych nazwisk. - Przypalił własnego papierosa. - Twierdził, że nie spotkał się z Webbem; kiedy do niego poszedł, Webb był już aresztowany. Kiedy udało mu się wrócić, Webb nie żył. Ale wtedy to już nie miało znaczenia. Jamie widział jednego z członków gangu.

Bardwell uśmiechnął się, jakby ta rewelacja mogła wszystko naprawić; w rzeczywistości było zupełnie odwrotnie.

- Gdzie?

- W domu Webba - powiedział. - Wieczorem, po tym jak Webba aresztowano, zobaczył kogoś w jego domu z jego żoną. Rozpoznał rysy twarzy. Pamięta pan, jak mówiłem, że według niego jeden z nich był przyszczaty czy coś takiego? Jamie zobaczył jego twarz.

- Wiedział, kto to?

- Nie - odparł Bardwell, ocierając przedramieniem czoło, żeby pot nie spływał mu na oczy. - Ale powiedział, że się dowie. Powiedział, że ten człowiek romansował z żoną Webba. Zmusił ją, żeby mu powiedziała, kto to jest.

- Powtórzył panu nazwisko? - spytałem z nadzieją. - Czy to był Declan O'Kane? Decko?

Pokiwałem głową, jakby zachęcając go do potwierdzenia moich podejrzeń.

Bardwell zapatrzył się w dal, poruszył ustami, jakby sprawdzał, czy nazwisko pasuje.

- Nie pamiętam na pewno. Być może. Nazwisko nie miało dla mnie znaczenia. Chciałem wiedzieć tylko tyle, że Jamie ma oparcie w swojej misji.

- Oparcie? Nie przyszło panu do głowy ostrzec go, jakie to niebezpieczne? To dość głupie z pana strony.

- James sam wyznaczył sobie swoją misję, panie inspektorze. Jak mógłbym powstrzymać kogoś przed zrobieniem tego, co uważa za słuszne? A gdyby od tego zależało jego zbawienie, a ja stanąłbym mu na drodze? Kim bym był?

- Konfrontacja z uzbrojonymi bandytami, kiedy samemu dysponuje się tylko przebaczeniem, to jak dla mnie dość jednostronny układ.

- Nasz Pan Jezus tak zrobił.

- I widzi pan, co Go spotkało - palnąłem, natychmiast żałując tych słów.

- Tak. O ile pamiętam, wygrał - odparł Bardwell. - Poza tym, panie inspektorze, nie widziałem Jamiego od czasu, kiedy nas opuścił, żeby tu przyjechać. Pan z kolei nie tylko go nie powstrzymał, ale jeszcze dał mu pieniądze, żeby mógł działać dalej!

Kiwnąłem głową.

- Punkt dla pana - powiedziałem, wstając.

- Jeśli to dla pana cokolwiek znaczy, uważam, że postąpił pan słusznie. Ścieżka Jamesa została wytyczona przez coś o wiele potężniejszego niż my dwaj.

- To za mało, Benedykcie - stwierdził Costello, kiedy powtórzyłem mu, co Bardwell mówił o O'Kanie. - Nie możemy go zamknąć na tej podstawie. To przekazane z trzeciej ręki zeznanie nieżyjącego człowieka, który nawet nie wymienił O'Kane'a z nazwiska. Pryszczata twarz? To mógł być każdy nastolatek w tym kraju.

- To nie może być zbieg okoliczności. - Nie ustępowałem, choć wiedziałem, że ma słuszość.

- Wiem - przyznał - ale to wciąż za mało, żeby go aresztować.

Staliśmy na jego podwórku. Po rozstaniu z Bardwellem przyjechałem prosto tutaj. Czułem się trochę nie na miejscu, w skwarne niedzielne popołudnie ubrany w czarny garnitur, podczas gdy Costello stał w sztruksach i białej koszuli, pieląc zasuszone klomby,

które kiedyś były chlubą jego żony. Costello też sprawiał trochę niedorzeczne wrażenie; chwycił swoimi grubymi, krótkimi palcami pobielające od upału chwasty, a one kruszyły mu się w rękach.

- To chwast czy kwiat? - spytał, wrywając z ziemi martwe korzenie. Potem rzucił je na glinę. - Cholera, nie dam rady - warknął, z trudem podnosząc się na nogi. - Co do diabła mam robić przez resztę życia? Zbierać kwiaty? Szlag by to! Szlag! - powtórzył, tupiąc nogą jak rozkapryszone dziecko.

Popatrzyłem na niego, oniemiały, nie mogąc znaleźć żadnych słów pocieszenia, i zobaczyłem po raz kolejny starego człowieka stojącego przed niepewną przyszłością.

- Przepraszam, że zawracam panu głowę - powiedziałem i odwróciłem się do wyjścia.

Podniósł rękę, żeby mnie zatrzymać.

- Przepraszam, Ben. Czasem trudno mi się pogodzić z myślą o emeryturze - wyjaśnił niepotrzebnie. - Czym mogę ci służyć?

Chwycił mnie za łokieć, kiedy ruszyliśmy. Raczej żeby się oprzeć, pomyślałem, niż żeby mnie pokierować.

Wyjaśniłem mu jeszcze raz sytuację z Deckiem, a on w połowie machnął ręką, że rozumie.

- Potrzebujesz dowodów, Ben. Czegoś namacalnego, co łączyłoby go z Kerrem. Jak to znajdziesz, będziemy mogli go aresztować i pobrać próbkę do porównania.

- Dowody mają paskudny zwyczaj, że nie pojawiają się tam, gdzie są potrzebne, panie nadinspektorze.

Uśmiechnął się do mnie.

- Święta prawda, Benedykcie. Święta prawda.

Poszliśmy w stronę podjazdu, na którym zostawiłem swój samochód.

- Mała Purdy wyszła ze szpitala. Policja z Letterkenny zabiera ją dzisiaj wieczorem do tego klubu, żeby sprawdzić, czy kogoś

rozpozna albo czy ktoś rozpozna ją. Może tam podjedź, zobacz, co się dzieje.

- Tak jest - powiedziałem. - Zrobię, co będę mógł.

- To znaczy, gdybyś akurat był w okolicy - dodał Costello. W końcu puścił mój łokieć. - I co zamierzasz powiedzieć tym ludziom w poniedziałek?

- Na rozmowie? Nie wiem.

- Ta Powell jest chyba na ciebie cięta, chłopcze - zauważył. - Jakikolwiek ma ku temu powód.

W oczach zamigotały mu wesołe iskierki.

- Co z NBCI, panie nadinspektorze? Sprowadzamy ich? - spytałem, odwracając się do niego twarzą w twarz.

Szybko spoważniał i kiwnął głową.

- Musimy, Benedykcie, wiesz o tym. Nawet gdyby sprawy toczyły się szybciej, nie możemy ukrywać młodych chłopaków przybijanych do drzew. - Położył mi dłoń na przedramieniu. - Tu nie chodzi o ciebie, Benedykcie. Spójrz na to w ten sposób: oni mają nam pomóc. Wykorzystaj ich. - Znów ruszył naprzód. - Kto wie, może znajdują jakieś dowody, które my przeoczyliśmy. Co?

Zmrużył oczy przed słońcem tak bardzo, że prawie je zamknął, więc nie mogłem stwierdzić na pewno, czy mówiąc to, nie mrugnął do mnie.

Pod koniec dnia upał wcale nie zelżał; niebo, choć pociemniałe, wydawało się trzymać skwar w garści. Ścisnęło pocący się, duszny wieczór, który obiecywał burzę przed świtem.

Jadąc, opuściłem szybę samochodu - żeby pozbyć się smrodu papierosów, którego nie lubiła Debbie, i rozwiązać duchotę, od której pociełem się i lepiłem. Otwarte okno wiele nie pomogło.

Na dwupasmówce do Letterkenny po raz kolejny zacząłem się zastanawiać, czy to, co zamierzam zrobić, jest w ogóle rozsądne. W oddali migotały światła miasta, daleka iglica kościoła nakłuwała

chmury o czerwonych konturach wiszące nad horyzontem.

Obok mnie, na fotelu pasażera, przyciśnięta papierosami, żeby wiatr nie wywiał jej za okno, leżała religijna ulotka, którą Kerr zostawił mi w samochodzie, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy; jedna z wielu, które nosił po pograniczu w swojej płóciennej torbie.

Decko O'Kane mieszkał przy Lifford Road pod Letterkenny, niecałe pięćset metrów od swojego salonu. Tyle wiedziałem. Co do reszty - nie myślałem o tym. Uznałem, że gdybym zdołał dostać się niepostrzeżenie do jego domu, reszta sama by się jakoś ułożyła. Szczerze mówiąc, w ogóle nie miałem wielkiej wiary, czy cokolwiek z tego wyjdzie.

Większość popołudnia spędziłem, zastanawiając się nad tym, co powiedział Costello. Czy chciał dać do zrozumienia, że dowody mogą się znaleźć? Czy że powinny się znaleźć?

O ósmej powiedziałem Debs, że jadę do klubu Manhattan z Rebecca Purdy. Niewiele brakowało, a powiedziałbym jej, co zamierzam zrobić, ale się powstrzymałem. Wiedziałem, że by mi to odrazała, powiedziałyby, że się mylę. A nie chciałem tego od niej usłyszeć, bo musiałbym się z nią zgodzić.

Porównałem także moje zamiary z tym, co zrobił Patterson. On podrzucił dowody, żeby awansować. Ja nie robiłem tego dla kariery, tylko żeby złapać kogoś, kto musiał być złapany. Bo tego wymagała sprawiedliwość, powiedziałem sobie. Przerwałem swój wewnętrzny monolog, zanim pojęcie sprawiedliwości zanadto się rozmyło.

Zaparkowałem pięćset metrów przed domem Decka i poszedłem na skróty przez przylegające do niego pole. Po niecałych dwóch minutach dotarłem do ogrodzenia. Był nim wysoki mur z kamieni układanych bez zaprawy, wart przypuszczalnie tyle, co moje roczne zarobki. Z większym trudem, niż się spodziewałem, wlałem na niego i zeskoczyłem z drugiej strony między drzewami rosnącymi wzdłuż podjazdu.

Olbrzymi dom Decka stał na działce o ponadhektarowej powierzchni, usadowiony na samym środku. Był oświetlony jak zamek z bajki, wszystkie okna miał pootwierane, żeby wpuścić do środka nocne powietrze. Nawet z tej odległości widziałem, że Decko się bawi. Z ogrodu dobiegały odgłosy zabawy na całego, głuchy łomot przypominający muzykę sprawiał, że ziemia drżała jak przed trzęsieniem. Ponad monotonią łomotu i pokrzykiwaniami raperà, które brzmiały, jakby go postrzelono, rozlegały się chóralne wrzaski kobiet i pijackie wiwaty mężczyzn. Desperacko pragnąłem przemknąć się obok domu i zobaczyć, kto tam jest. Jeszcze bardziej jednak chciałem zrobić to, po co tu przyszedłem, i zniknąć, zanim Decko i jego kumple mnie zauważą.

Mój pierwotny plan zakładał, że zostawię religijną ulotkę gdzieś na posesji Decka, jako dowód, że Kerr tu był - w ten sposób powiązę go z Deckiem. Szczerze mówiąc, nie przemyślałem tego zbyt dobrze. Przyjrzałem się dokładnie frontowi domu, żeby mieć pewność, że nikt mnie nie widzi. Wtedy właśnie zobaczyłem samochód Decka stojący z boku budynku, bliżej mnie. Skłoniło mnie to do nieco większej pomysłowości. Kartka znaleziona na czyimś podjeździe niczego nie dowodzi: obecność tej kartki w samochodzie już trudniej wytłumaczyć. Choć oczywiście mogło się to udać, tylko jeśli samochód Decka był otwarty. A nie był. Ale szyba od strony pasażera była do połowy opuszczona, przypuszczalnie z powodu upału.

Trzymając się cienia i boleśnie świadomy, że z tej strony samochodu jestem widoczny z domu, dobiegłem do auta i wetknąłem ulotkę w kieszeń na drzwiach, krzywiąc się przy każdym ruchu z obawy, że włączy się alarm. Potem dotarło do mnie, że otwarte okno by go wyłączyło. Kiedy skończyłem, uciekłem z powrotem do cienia i nie zatrzymywałem się, dopóki nie znalazłem się na drodze w pobliżu mojego samochodu.

Łatwizna. Jedna niewinna rzecz, podrzucenie kartki do czyjegoś samochodu, wystarczyła, żeby powiązać Decka O'Kane'a z Jamesem Kerrem i dać nam pretekst do pobrania próbki DNA do

porównania z tą znaną pod paznokciami Kerra.

I ta sama niewinna rzecz wystarczyła, żeby moja kariera - i nie tylko - runęła, gdyby coś poszło nie tak.

Kiedy przyjechałem do Manhattanu, klub pękał w szwach. Za-uważyłem sporo znajomych policjantów przeciskających się przez tłum, w tym Helen Gorman, bez munduru, w odpowiednim stroju. Ciemne włosy upięła w kok, jej figurę podkreślała obcisła, prążkowa bluzka. Kiedy mnie zobaczyła, pomachała mi. Poszedłem do niej; musiałem krzyczeć, żeby było mnie słychać.

- Jak idzie?

Pokazała mi podniesione kciuki i wskazała bar. Poszedłem za nią.

- Napije się pan? - spytała.

- Na służbie lepiej nie, Helen - odparłem.

- Ja nie jestem na służbie - powiedziała i zamówiła dla mnie colę. Ten sam barman, co poprzednio, przyjął zamówienie, rzucił mi nieszczerzy uśmiech i ruszył po nasze napoje.

Helen wyglądała młodziej niż na posterunku. Oczy miała duże i jasne, skórę jędrną i gładką, usta wąskie. Odgarnęła kosmyk włosów z twarzy i założyła go za ucho, ale natychmiast opadł z powrotem.

- Chyba mam coś w sprawie tego włamania - oznajmiła, kiedy pojawiło się jej piwo.

- Naprawdę?

Pokiwała głową, nieco zbyt ochoczo.

- Złodziej nosił adidasy Gosto w rozmiarze czterdzieści cztery.

- Podkreśliła zdanie zdecydowanym skinieniem, jakby ta informacja wystarczyła do rozwiązania zagadki.

- I? - spytałem, spodziewając się dalszego ciągu.

Otworzyła szeroko oczy, jakby zachęcając mnie, żebym podzielił jej entuzjazm. Zrozumiałem, że jestem za mało wyrozumiały.

- To wspaniale, Helen - pochwaliłem ją, uśmiechając się najszczerzej, jak umiałem. - Jak się dowiedziałas?

Jej odpowiedź zagłuszyła muzyka, która nagle zrobiła się jeszcze głośniejsza. Wzruszyłem ramionami na znak, że nie usłyszałem.

Nachyliła się do mnie, kładąc mi rękę na piersi; jej policzek delikatnie musnął mój. Kiedy mówiła, jej usta, mokre i zimne od piwa, dotykały mojego ucha, sprawiając, że mimowolnie drżałem.

- Obeszłam wszystkie sklepy z butami, aż ktoś znalazł takie, które pasowały do pana zdjęcia.

Odsunąłem się delikatnie i pokiwałem głową.

- Świetna robota, Helen. Harkinowie mają szczęście, że akurat ty zajmujesz się tą sprawą. Nie sądzę, żeby ktokolwiek inny włożył w to tyle zapału.

Znów się do mnie nachyliła; kiedy się odezwała, jej głos wydawał się trochę niższy.

- Chcę się dobrze spisać, panie inspektorze. Wyrobić sobie reputację, rozumie pan?

- Jestem pewien, że ci się uda, Helen - szepnąłem jej cicho do ucha. Linię szyi miała gładką, skórę jasną i lekko uperfumowaną. Znów chciałem się odsunąć, ale przytrzymała mnie za koszulę.

- Cieszę się, że to był pan, wtedy na posterunku - mruknęła.

Odsunąłem się i podniosłem ręce w geście poddania.

- To nie tak! - Zaśmiała się. - Słyszałam, że będzie pan następnym nadinspektorem. Chciałam z panem pracować.

- Helen - wyznałem szczerze - dobrze mi się z tobą pracowało, ale wątpię, żebym miał zostać nadinspektorem. Ktoś cię źle poinformował.

Popatrzyła na mnie; jej oczy błyszczały, lekko się uśmiechała. Kiwała głową, kiedy mówiłem, i kontynuowała jeszcze przez kilka chwil, kiedy już skończyłem, jakby tego nie zarejestrowała.

Domyśliłem się, że nie słyszała, co powiedziałem; rozmowa w barze nie była chyba najlepszym pomysłem.

- Zatańczy pan? - spytała, już kołysząc się do rytmu muzyki i biorąc mnie za rękę.

- Lepiej nie, Helen, jestem trochę za stary na ten lokal - powiedziałem, czując się trochę nieswojo. Widziałem, że kilkoro innych policjantów zerka na nas i się uśmiecha.

W końcu zauważyłem Rebecę Purdy w towarzystwie jakiejś policjantki. Przeprosiłem Helen i powiedziałem, że Costello kazał mi sprawdzić postępy w sprawie dziewczynki. Helen udała, że się dąsa, a potem ruszyła na parkiet.

Rebecca Purdy tym razem wyglądała na swój wiek. W towarzystwie policjantów wydawała się bardzo drobna; nie została jej ani krztyna pewności siebie. Garbiła się i pochylała głowę, być może żeby ukryć żółto-fioletowe siniaki, których nie zdołała zatuszować kosmetykami.

- I co? - spytałem, rozglądając się jednocześnie po sali.

- Nic - odparła. - Widziałam paru znajomych... - Odchrząknęła. - Widziałam paru chłopaków, których znam, ale nie tego z tamtego wieczoru.

Kimkolwiek byli ci chłopcy, dzisiaj omijali ją szerokim łukiem i, jak podejrzewałem, będą ją omijali przez wiele następnych wieczorów.

- Ale trudno powiedzieć. Tyle tu ludzi. Nic nie widać.

- Znam kogoś, kto może nam w tym pomóc - powiedziałem.

Jack Thompson bez jednego słowa pozwolił nam skorzystać ze swojego biura i włączył monitory kamer ochrony. Kiedy Rebecca przeskakiwała między ujęciami, pytał ją, jak się czuje, czy niczego nie potrzebuje, na koniec zaś chciał wiedzieć, jak dostała się tamtego wieczoru do klubu. Chciał mieć pewność, wyjaśnił, że nikt tak młody więcej tu nie wejdzie.

Rebecca się zaczerwieniła. Jej koleżanki nie będą zachwycone, jeśli stracą swoją metodę na wejście. Żonaty bramkarz też prawdopodobnie straciłby pracę, choć akurat on na to zasłużył.

- Miałam sfalszowaną legitymację - powiedziała.

Thompson wzruszył ramionami.

- I co ja mam na to poradzić?

- Zacząłbym od przeszkolenia jeszcze raz ochrony - doradziłem. - I przypomnienia jej o granicy wieku.

Thompson popatrzył na mnie pytająco, ale trochę przesadził; podejrzewałem, że wiedział już o skłonnościach swojego bramkarza do pozamałżeńskich wyskoków.

Rozmowę przerwała Rebecca; podskoczyła na fotelu, wskazując ekran.

- Nie ma go! - wrzasnęła. - Chyba go widziałam, ale zniknął! Jest łysy!

Obraz na ekranie się zmienił; Thompson musiał nacisnąć parę guzików, żeby powrócić do przekazu z poprzedniej kamery.

- Toalety - powiedział. - Korytarz z toaletami.

Wybiegłem z biura i popędziłem na parkiet, krzycząc do paru policjantów, żeby biegli za mną.

Kiedy dotarłem do męskiej toalety, był tam tylko młody chłopak, czeszący się przed lustrem.

- Był tu jakiś łysy facet? - spytałem.

Chłopak popatrzył na mnie z zaskoczeniem.

Powtórzyłem pytanie, trochę dosadniej, dodając, że jestem z policji.

- Przed chwilą wyszedł - odparł.

- Zaczekaj tu - krzyknąłem i wybiegłem z powrotem, rozglądając się po parkiecie. Podeszło do mnie dwóch policjantów.

- Szukamy łysiego faceta - powiedziałem. - Musi być potężny, musi mieć tatuaż.

Rozdzieliliśmy się i zaczęliśmy przeciskać przez tłum. Duchota i napierające na mnie ciała sprawiły, że zacząłem się pocić i zrobiło

mi się niedobrze - bynajmniej nie pomagał tu łomot muzyki i błyskające światła. Poczulem, że mój oddech przyspiesza, i łąpczywie zacząłem wciągać powietrze. Przez chwilę było mi dziwnie, jakby od reszty sali oddzielała mnie szyba, za którą ludzie kołysali się i przesuwali. Straciłem równowagę, zakręciło mi się w głowie.

Lepiej się nie zatrzymywać, powiedziałem sobie i ruszyłem dalej, usiłując przyglądać się po drodze mężczyznom.

Zobaczyłem jednego łysego, tańczącego na skraju parkietu. Był jednak nieodpowiednio zbudowany, miał kościste ręce bez mięśni i bez tatuaży. Drugi kandydat stał przy barze, ale ten również, choć ogolony na łyso, był za chudy. Jeden z kolegów pomachał do mnie i wskazał przeciwną ścianę. Wtedy zobaczyłem człowieka, którego szukaliśmy, stojącego przy wyjściu przeciwpożarowym, gdzie zebrali się palacze. Kiedy go zauważyłem, odwrócił się do mnie i zaczął przeciskać obok nich. Nie widziałem jego twarzy, ale on musiał zobaczyć moją.

Przepchnąłem się do wyjścia, prowadzącego w boczny zaułek, a z niego na parking. Tłum wokół mnie gęstniał, szturchał i popychał, prac jak bydło ku świeżemu powietrzu. Kiedy przeciskałem się obok jakiejś pary, dziewczyna wrzasnęła, a jej towarzysz chwycił mnie za rękę i krzyknął coś niezrozumiałego. W końcu udało mi się wydostać na zewnątrz.

- W którą stronę poszedł? - zawołałem do stojących dookoła palaczy, ale większość z nich była zbyt pijana albo naćpana, żeby zwrócić na mnie uwagę. Jedna dziewczyna wskazała w głąb zaułka, w stronę parkingu. Zerknąłem w przeciwną stronę, gdzie zaułek wychodził na główną ulicę.

Odwróciłem się i pobiegłem ciemną uliczką tam, gdzie wskazała dziewczyna; pierś unosiła mi się ciężko i opadała, ciepłe nocne powietrze paliło płuca. Naprawdę powinienem rzucić papierosy. Po dwustu metrach musiałem się zatrzymać i oprzeć o mur budynku, żeby złapać oddech. Zgiąłem się wpół, zdyszany; miałem wrażenie,

że płuca mi zaraz eksplodują. Wróciło dziwne uczucie - zaułek wydłużył się jakby czy zmienił w jakiś inny sposób. Popatrzyłem na swoje ręce, wydawało mi się, że należą do kogoś innego.

„Cholera”, zakląłem w duchu. Żołądek mi się ścisnął, poczułem mdłości. Oparłem dłonie na kolanach, jakbym chciał złapać równowagę; oddech wiązał mi w gardle.

Wtedy usłyszałem pisk opon; z parkingu wyjechał samochód, jego reflektory oślepiły mnie, kiedy skręcił w zaułek. Popędził w moją stronę, roztrzając stojący przy ścianie stos skrzynek po piwie. Nie miałem gdzie uciekać, za czym się schować. Przywarłem do muru; samochód minął mnie o włos, zahaczając o moją nogę. Kiedy skręcił w główną ulicę, zobaczyłem model i kolor - srebrne bmw coupé. Ale w poświacie reflektorów nie zdołałem przeczytać numeru rejestracyjnego, nie przyjrzałem się też kierowcy - zobaczyłem tylko jego rękę zaciśniętą na kierownicy i baseballową czapkę z daszkiem zasłaniającą twarz.

Barman przyniósł mi herbatę. Siedziałem w biurze Thompsona, przeglądając nagrania z kamer w nadziei, że zobaczę swojego przeciwnika. Najlepszym ujęciem było to, które wypatrzyła Rebecca, przedstawiające mężczyznę idącego do toalety. Potwierdzało, że to jego właśnie ścigałem, ale było zbyt niewyraźne, żebyśmy mogli go zidentyfikować.

Czułem się do kitu, dopóki nie przypomniało mi, że mamy nocnego świadka. Jeden z policjantów z zewnątrz wszedł do biura i powiedział:

- W toaletach jest chłopak, który pyta, czy może już wyjść.
- Dajcie go tu.

„Chłopak”, jak się okazało, miał trzydzieści parę lat i nazywał się David Headley. Był zadziwiająco trzeźwy i przytomny, co, jak wyjaśnił, wynikało z faktu, że przyjechał samochodem.

- Moja żona ma urodziny - wyjaśnił. - Wciąż mnie ciąga do takich lokali. - Skrzywił się lekko i skinął głową Jackowi Thompsonowi. - Bez urazy.

- Nie ma sprawy - odparł Thompson. - Ja tu przychodzę tylko dlatego, że to moja praca.

- Może nam pan coś powiedzieć o tym łysym człowieku z toalety? - spytałem.

- Nie umył rąk - odparł Headley, uśmiechając się na własny dowcip. - Nie widziałem dobrze jego twarzy. Stał obok mnie przy pisuarze. Trochę mnie speszył, nie mogłem się wysikać, kiedy tak stał. Człowiek wpada w panikę, że ten drugi pomyśli, że wcale ci się nie chce sikać, tylko lubisz stać obok innych facetów przy pisuarze. Obawiam się, że miałem spuszczoną głowę. Mało co widziałem.

Mówiąc to, lekko się zaczerwienił.

- Nie widział pan przypadkiem tatuażu na jego ręce?

Headley się rozpromienił.

- Tak, widziałem. Bardzo szczegółowy. Chyba przedstawiał Cuchulain.

Cuchulain, ogar Ulsteru, to legendarny irlandzki bohater, słynący ze swojej siły i odwagi w bitwie. Pamiętałem, że wpadał w szal bojowy, tak jak skandynawscy berserkerzy. Był wojownikiem bardzo wprawnym i bardzo okrutnym. Tradycyjnie przedstawia się go w chwili śmierci, opartego o drzewo albo kamienną kolumnę, z krukiem na ramieniu, przywiązanego sznurem, żeby mógł walczyć z wrogami nawet śmiertelnie zraniony. Scenę tę przedstawiała słynna rzeźba na Poczcie Głównej w Dublinie, upamiętniającej powstanie wielkanocne 1916 roku. Na pewno takie przedstawienie Cuchulaina pasowało do podanego przez Rebeccę Purdy opisu człowieka pod drzewem.

- To nasz chłopak, zgadza się - powiedziałem, zastanawiając się nad osobowością kogoś, kto nosi taki tatuaż.

Thompson pozwolił mi skorzystać ze swojej biurowej apteczki. Moje kolano wystarczyło zabandażować, ale kuśtykając przez tłum do wyjścia, poczułem się staro. Zobaczyłem Helen Gorman stojącą przy barze, rozmawiającą z wysokim młodym facetem. Zauważyła mnie i uśmiechnęła się, a potem przewróciła oczami, udając zniecierpliwienie. Jej towarzysz podążył za jej spojrzeniem, ostentacyjnie zmierzył mnie wzrokiem i wrócił do rozmowy, upewniony, że nie zagrażam jego planom na wieczór.

Pokuśtykałem do samochodu. Powietrze było suche i ciepłe i nagle poczułem się bardzo zmęczony i trochę samotny.

Kiedy wróciłem do domu, Debbie już spała, więc usiadłem na progu kuchennych drzwi i zapaliłem papierosa. Atak w klubie przypomniał mi, że zapomniałem wziąć beta-blokery, które dał mi John Mulrooney. Wyjąłem opakowanie tabletek, przeczytałem listę efektów ubocznych i postanowiłem na razie je odstawić.

17.

Niedziela, 13 czerwca

Następnego ranka poszliśmy na wczesną mszę. Powietrze było rozgrzane, atmosfera w kościele ciepła i duszna. Kiedy wychodziłszy, zobaczyłem Agnes Doherty idącą do samochodu i prowadzącą za rękę małego chłopca. Gdy mnie zauważyła, zatrzymała się.

- Ty musisz być Sean, zgadza się? - zagadnąłem chłopca, podchodząc. - Co u pani, panno Doherty?

- Jezu, wystarczy Agnes. Co z... co u pana? - spytała, przerywając w pół zdania.

- W porządku. Śledztwo idzie chyba nieźle. Jestem pewien, że złapiemy winnego. Mamy kilka bardzo obiecujących tropów.

- Słyszałam, że zaatakował jeszcze raz - powiedziała, wsadzając syna do samochodu.

- Tak, młodą dziewczynę. Ale przeżyła i podała nam bardzo dobry rysopis. Jak tylko będę coś miał, zawiadomię panią. Obiecuję.

Skinęła głową, patrząc w dal, pogrążona w niewypowiedzianych myślach.

- Jeśli będzie pan miał szansę, niech go pan nie aresztuje. Niech pan drania zastrzeli i już, dobrze? - Kiedy tylko to powiedział, przeżegnała się i mruknęła „wybacz, Panie”, a potem zaczęła wsiadać do samochodu.

Położyłem jej dłoń na ramieniu, żeby ją zatrzymać.

- Niech się pani nie martwi - rzuciłem. - Odpowie za to.

- Niewystarczająco - stwierdziła po prostu.

Później tego dnia siedziałem z Williams w naszym pokoju. Rozmawialiśmy o sprawie. Opowiedziałem jej wszystko, co się wydarzyło w klubie Manhattan, o tym, że widziałem podejrzanego i o wypadkach w zaułku.

- Już w porządku? - spytała. - Nie powinieneś być na zwolnieniu czy coś takiego?

- Nic mi nie jest, dzięki - zapewniłem. - Nic się nie stało.

- Musisz bardziej uważać - powiedziała z rozdrażnieniem.

- Wiem. W każdym razie, co teraz wiemy? - spytałem, bawiąc się otwartym notesem na biurku. - O tym człowieku?

- Wiemy, że jest potężny i łysy. Wiemy, że jeździ srebrnym bmw i ma tatuaż z Cuchulainem.

- Jeździ raczej kilkoma samochodami, czarnym, czerwonym i srebrnym.

- Uważamy także, że to może być bokser czy jakiś inny trenujący inne wałki.

- Być może - zgodziłem się.
- W porządku - powiedziała Williams. - W takim razie przejdziemy się po wszystkich okolicznych siłowniach, zobaczymy, czy ktoś rozpozna tatuaż. Może jeszcze raz zajrzemy do Petera McDermotta, sprawdzimy, czy coś dla nas ma.

- Zabierzmy tylko rzeczy. Dzisiaj i tak wszystko będzie pozamykane. Poza tym jutro przyjeżdżają ludzie z NBCI. Zabiorę swoje papiery do domu i uporządkuję je dla nich. Jutro muszę też jechać do Sligo na tę cholerną rozmowę.

Caroline przykryła moją dłoń swoją.

- Nie martw się. Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz - uspokoiła mnie z nieco smutnym uśmiechem.

Resztę niedzieli spędziłem z Debs i dziećmi, desperacko starając się zapomnieć, że następny dzień przyniesie detektywów NBCI i rozmowę z komisją awansów. Chociaż sililiśmy się na wesołość, ani Debbie, ani ja nie mogliśmy uciec od cienia Miriam Powell, która znów wkroczyła w nasze życie.

Debbie była tego wieczoru cichsza niż zwykle, nie odpowiadała na pytania i urywała zdania w połowie. Stała plecami do mnie w kuchni, po łokcie w spienionej wodzie, zapatrzona na podwórko, gdzie Frank bawił się jedną z małych piłek Shane'a.

- Wciąż nie wiem, co jutro powiedzieć - zwierzyłem się w nadziei, że Debbie podpowie mi, co mam robić, i pozwoli w ten sposób uciec od odpowiedzialności. Przypomniało mi to o mojej niedawnej akcji z samochodem Declana O'Kane'a.

- Co? - spytała, wciąż tyłem do mnie.
- Mówię, że nie wiem, co jutro powiedzieć.
- Ja też nie wiem, Ben - odparła ostro. - Powiedz, co chcesz.
- Co się stało? - spytałem, podchodząc do niej i obejmując ją z tyłu w pasie.

Wysunęła się z moich objęć i prychnęła z irytacją.

- Nic się nie stało. Nie mogę zdecydować za ciebie.

Wzięła ścierkę z blatu obok zlewu i zaczęła energicznie wycierać ręce.

- Mam im powiedzieć, że Patterson podrzucił narkotyki? - spytałem.

Odwróciła się i przez chwilę patrzyła na mnie ze zdziwieniem.

- Wiesz, uczciwość nie zawsze jest cnotą, Ben. Nie wpadnij w przesadę z tą prawością.

Podowała mi zmiętą ścierkę i wyszła.

18.

Poniedziałek, U czerwca

Od dawna oczekiwana burza przeszła nad Donegalem w nocy, zalewając pola i pokrywając drogi warstwą kurzu i błota, która miała doprowadzić do kilku wypadków jeszcze przed obiadem.

Około wpół do czwartej obudził mnie trzask, przebijający się przez huk burzy. Debbie już nie spała - szła do dzieci sprawdzić, czy któreś nie wypadło z łóżka. Wiedziałem jednak, że hałas dobiegł z dołu i podejrzewałem, co to było. Nie byłem zbyt zaskoczony, kiedy zszedłem do salonu i zobaczyłem deszcz zacinający przez wybitą szybę w oknie i kawał cegły leżący na dywanie w gnieździe z potłuczonego szkła.

Po raz pierwszy, odkąd zostałem detektywem, włożyłem swój mundur Garda. Musiałem być w Sligo w południe, miałem więc czas, żeby pojechać na posterunek i zostawić Williams papiery, które przygotowałem dla NBCI. Po drodze przypomniałem sobie,

żeby zatrzymać się przy budce telefonicznej na granicy i zadzwonić na posterunek. Nie było sensu zostawiać ulotki Kerra w samochodzie O'Kane'a, jeśli nikt nie wiedział, że ona tam jest.

Kiedy przyjechałem do pracy, było spokojnie. Zauważyłem samochód Miriam Powell zaparkowany na ulicy i przyjąłem, że wpadła do Costella po ostatnie porady przed wyjazdem do Sligo. Pattersona nie było, chociaż wiedziałem, że jego rozmowa była wyznaczona na popołudnie.

Tuż po dziewiątej trzydzieści Burgess powiedział, że jest do mnie telefon. Pomyślałem, że to Debbie dzwoni życzyć mi powodzenia albo coś doradzić. Myliłem się.

- Devlin?
- Tak, kto mówi?

Nie rozpoznałem głosu. Rozmówca miał tutejszy akcent i był mężczyzną, chociaż odniosłem wrażenie, że trzyma coś między ustami a słuchawką, żeby zniekształcić głos. To oznaczało, że to ktoś, kogo znam, albo ktoś, kto uważał, że znam jego głos.

- Trzymaj mordę na kłódkę, rozumiesz?

Całkowicie mnie to zbiło z tropu i zacząłem się jąkać, próbując coś powiedzieć.

- Morda na kłódkę i nie wtrącaj się w cudze sprawy. Bo jak nie, to twoja dziewczuszka zarobi kulkę w łeb. Nie myśl, że blefuję.

- Kto...? - zacząłem, planując sam rzucić kilka gróźb, ale linia była już głucha i ten, kto do mnie dzwonił, zwyczajnie uciekł z powrotem w anonimowość.

- Co się stało? - spytał ktoś. Podniosłem wzrok i zobaczyłem stojącą nade mną Williams. Jej twarz nagle się zmieniła, wykrzywiła, a pokój niespodziewanie przesunął w bok.

Poczułem rękę Caroline na ramieniu; przykucnęła obok mnie. Przyłożyła mi dłoń do twarzy i spojrzała w oczy. Słyszałem, że coś do mnie uspokajająco mówi. Spojrzałem jej w oczy i poczułem jej

miękką skórę na policzku. Panika zaczęła ustępować - niemal zobaczyłem, jak unosi się otaczająca mnie szarość - i znów usłyszałem stłumiony gwar posterunku, który mój atak zdawał się przerwać. I zobaczyłem oczy Williams, jej podbródek, usta, wargi rozchylone i lekko zaczerwienione. Położyłem dłoń na jej dłoni.

- W porządku? - spytała.

Kiwnąłem głową; w gardle za bardzo mi zaschło i nie mogłem się odezwać.

- Co się stało? Znów atak paniki? - zapytała szeptem, jakby to był nasz wspólny sekret.

- Telefon - powiedziałem w końcu, trzymając jej dłoń, nawet kiedy zabrała ją już z mojego policzka. Usiadła na krześle naprzeciwko mnie i ujęła moją rękę obiema swoimi.

- O co chodzi?

- Jeśli nie będę siedział cicho, zrobią coś Penny - powiedziałem i znów zaczęła ogarniać mnie panika. Chciałem wstać, poruszyć się, zrobić coś, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa i znów usiadłem. Williams splótła palce z moimi, odwracając moją uwagę.

- Jezu, Ben. Wiesz, kto to był? Powiedz Costellowi.

Jej twarz była tak blisko mojej. Czuję jej oddech. Patrzyliśmy na siebie, ale żadne z nas się nie poruszyło, żadne z nas nie próbowało rozplatać dłoni.

- Był telefon - zaczęła w końcu. - W sprawie Kerra...

Ale przerwano jej.

- Widzę, że relacje między *gardai* stały się naprawdę bardzo bliskie.

Spojrzałem na Miriam Powell przyglądającą się nam z uśmiechem pod nosem. Chyba się zaczerwieniłem.

- Przepraszam, że przeszkadzam, chciałam panu tylko życzyć powodzenia, inspektorze. Jestem pewna, że to pan zrobi na nas najlepsze wrażenie.

Wkrótce potem pojechałem do Sugo, na tyle wolno, żeby nie dogonić Miriam. W komendzie regionalnej skierowano mnie do małej poczekalni, gdzie siedziało już dwóch innych inspektorów. Chociaż się nie znaliśmy, zaczęliśmy rozmawiać, żeby zapomnieć o nerwach. Staraliśmy się jednocześnie nie pamiętać, że ubiegamy się o te same miejsca na liście awansów. Starszy z nich, policjant z Downings, powiedział, że to jego piąty raz przed komisją. Młodszy, ze Sligo, próbował po raz trzeci. Kiedy zdradziłem, że to moje pierwsze podejście, zaśmiali się i wyraźnie odprężyli. Ten ze Sligo został wezwany do sąsiedniej sali, gdzie zasiadała komisja; skorzystałem z okazji, żeby wyskoczyć na zewnątrz na papierosa. Kiedy wróciłem, do pokoju wchodził człowiek z Downings. Zamykając za sobą drzwi, puścił do mnie oko.

W końcu, piętnaście minut później, wezwano mnie.

Komisja składała się z trzech osób - podkomisarza Jima Garri-sona i dwójki cywilów: Miriam Powell i mężczyzny, którego nazwiska nie mogłem sobie przypomnieć, pracującego dla Aer Lin-gus.

- Inspektor Devlin jest jednym z najbardziej poważanych poli-cjantów w Lifford - zaczęła Miriam, przedstawiając mnie. - Wiem, że traktuje swoją pracę bardzo osobiście.

Potem zaczęły się pytania.

Ogólnie rzecz biorąc, pytano mnie o podstawowe sprawy: staty-styki przestępczości, podstawy pracy detektywów, liczbę zamknię-tych spraw, motywacje personelu i budżety. Nieunikniony był jed-nak zwrot w kierunku ostatnich wydarzeń.

- Ostatnio wydaje się, że sytuacja wymknęła się wam trochę spod kontroli, panie inspektorze - powiedział człowiek z linii lotni-czych. - Sporo zabójstw i brak jakichkolwiek aresztowań. Zrobił się u was Dziki Zachód.

- Dzisiaj przyjeżdża NBCI pomóc nam w prowadzeniu śledz-twa - wyjaśniłem. - Poza tym liczymy na rychły przełom w sprawie.

Jesteśmy bardzo blisko jednego z morderców, jestem pewien, że dopadniemy go w najbliższych dniach.

- Ściągnęliście NBCI - powtórzył. - Nie ma pan z tym problemu? Potrafi pan delegować swoje obowiązki w razie potrzeby?

Nie wiedziałem, czy to pytanie, czy stwierdzenie, więc nic nie powiedziałem na wypadek, gdyby chciał dodać coś jeszcze.

- Jestem pewna, że inspektor Devlin zrobił, co w jego mocy - oznajmiła Miriam. - Na ile to było możliwe.

Pozostała dwójka pokiwiała głowami i popatrzyła na mnie. Poczulem, że znów wpadam w panikę - zrozumiałem, że nie mogę po prostu wstać i wyjść. Miałem wrażenie, że jestem w pułapce, z trudem przetykałem ślinę, jakby coś utknęło mi w gardle.

Wtedy odezwał się podkomisarz Garrison.

- Pojawiły się obawy dotyczące broni i narkotyków, znalezionych w ostatnich miesiącach. Pewne zastrzeżenia co do autentyczności tych znalezisk. Co pan na to, inspektorze?

Wzięłem głęboki oddech, z wysiłkiem przełknąłem ślinę i zacząłem mówić.

Kiedy wyszedłem, czułem się wykończony, mięśnie bolały mnie jak po godzinie na siłowni. Paląc papierosa, zadzwoniłem do Debbie, żeby powiedzieć jej, jak poszło. Potem ruszyłem w drogę. Zamierzałem coś zjeść na posterunku w Lifford. Wszelka nadzieja na chwilę wythnienia szybko jednak prysła. Caroline Williams siedziała w naszym pokoju, przeglądając akta spraw z trzema mężczyznami, którzy przedstawili się jako detektywi z NBCI.

Najstarszy z nich, inspektor Donai Dempsey, wstał, uściśnął mi dłoń i przedstawił swoich kolegów - sierżantów Tommy'ego Deegana i Adama Meaneya.

Ruchem głowy wskazał mój strój.

- W Dublinie się tak dobrze nie ubieramy. To tutaj obowiązkowe?

- Nie, ja... miałem rozmowę - wyjaśniłem. Dempsey kiwnął głową i się uśmiechnął.

- Zgrywam się tylko, Caroline już nam powiedziała.

- Och. – Odwzajemniłem jego uśmiech.

- Cóż - powiedział, zacierając ręce. - Caroline przedstawiła nam też sprawę; zajmiemy się morderstwami Kerra i Webba, bo wydają się ze sobą związane. Wy możecie skupić się na zabójstwie Duffy.

- Doherty - poprawiłem. - Karen Doherty.

- Jasne, Doherty. Przepraszam. Pasuje wam taki podział? - Nie zdążyłem odpowiedzieć, bo dodał: - Oczywiście nie przyjechaliśmy tutaj nikomu przeszkadzać. Możecie nas uważać za dodatkową pomoc.

- W porządku - zapewniłem.

- Właściwie możemy się zabrać do roboty od razu. Caroline powiedziała nam, że rano dostaliście anonimowy telefon. Ktoś twierdzi, że widział Kerra w samochodzie z tym całym O'Kane'em, który pukał żonę Webba. Moim zdaniem to dobry początek.

- Oczywiście - zgodziłem się. - Sierżant Williams i ja i tak mamy co robić przy sprawie Doherty.

- Och! - Dempsey westchnął nerwowo i popatrzył na pozostałych. - Obawiam się, że będziemy musieli zabrać Caroline ze sobą, jako nasz kontakt. Możemy?

Caroline popatrzyła na mnie i uśmiechnęła się niepewnie. Otworzyła szerzej oczy, zdając sobie sprawę z niezręczności sytuacji i obcesowości, z jaką Dempsey przejął nasze sprawy.

- Wydaje mi się, że ta decyzja należy do Caroline - stwierdziłem.

- Może zostawimy was na chwilę samych. Widzę, że to wszystko wydarzyło się dla was trochę za szybko - powiedział Dempsey. Jego przydupasy wyszczerzyły się od ucha do ucha.

- Jezu, co za glista - wycodziła Caroline, kiedy zamknęli za sobą drzwi. - Jak poszła rozmowa?

- Do dupy - odparłem. - Jak cały ten zaszpany poranek.

- Co robimy? Chcesz, żebym została z tobą? Jak myślisz, szefie?

- To zależy od ciebie, Caroline. Nie zaszkodzi twojej karierze doświadczenie we współpracy z NBCI. Poza tym to by oznaczało, że będziemy mieli jakiś kontakt ze sprawą. W przeciwnym razie moim zdaniem niczego się nie dowiemy.

- Jesteś pewny?

- Uważam, że powinnaś - oświadczyłem, po czym dodałem: - I dzięki za tamto wcześniej.

- A, tamto. - Machnęła ręką.

Kiedy wychodziła, zatrzymała się i odwróciła do mnie. Chciała coś powiedzieć i wyraźnie się zastanawiała, jak najlepiej to ująć.

- Nie wydawałeś się zaskoczony tym cynkiem w sprawie samochodu O'Kane'a.

- Nie - odparłem. - Chyba nie, Caroline.

Po południu zająłem do kilku siłowni i pytałem właścicieli i instruktorów, ale nikt nie potrafił mi pomóc w poszukiwaniach domnianego boksera z tatuażem Cuchulaina. W końcu zadzwoniłem do Jima Hendry'ego i zostawiłem mu wiadomość z pytaniem, czy zna kogoś, kto mógłby pomóc w siłowniach w Strabane. W drodze powrotnej na posterunek wstąpiłem do kwaciarni i kupiłem bukiet goździków. Pojechałem na Gallows Lane, pod dom, gdzie znaleziono Kerra, i złożyłem kwiaty pod drzewem, do którego go przybito i którego gałęzie wciąż były poplamione jego krwią. Nie było tam żadnych innych kwiatów ani kartek. Pomodliłem się cicho o spokój duszy Jamesa i przebaczenie za to, jak nabagnałem we wszystkich sprawach, którymi bez powodzenia żonglowałem przez ostatnie tygodnie.

Stojąc tak, zauważyłem postać po prawej. Przez ułamek sekundy myślałem, absurdalnie, że to Jamie Kerr. Otrząsnąłem się z gęsiej skórki, którą ta myśl spowodowała. To nie był Kerr. Stojący przede mną mężczyzna był wysoki, z łysiną jak mnisia tonsura, twarzą czerwoną od popękanych naczynek i równie czerwonym bulwiastym nosem po latach picia. Czoło miał wysokie, brwi gęste, oczy przymknięte i nieprzeniknione. Był ubrany w jasną koszulę i luźno zawiązany krawat. Na linii kołnierzyka zobaczyłem nierówną krawędź blizny.

W pierwszej chwili pomyślałem, że to żalobnik, którzy przyjechał tutaj w tym samym celu co ja. Ale nie miał kwiatów. W takim razie może dziennikarz. Ale nie miał aparatu ani notesu. Przypomniałem sobie, jak Christy Ward opisał swojego tajemniczego gościa i wszystkie elementy układanki wskoczyły na swoje miejsce.

- Pan Bond - stwierdziłem. - Miło pana poznać.
- Pana również, inspektorze - odparł, uśmiechając się lekko, jakby zadowolony, że go zidentyfikowałem. - Śledzę pana od jakiegoś czasu. Już myślałem, że nie złapię pana na osobności.

- Grałem niedostępnego.

- Nie powinien pan - ostrzegł. - Mogło się panu udać.

Zmęczyła mnie ta rozmowa i przeszedłem od razu do rzeczy.

- Miał pan coś wspólnego z zabójstwem Petera Webba? - spytałem.

Pokręcił głową.

- Nie - zaprzeczył. - Bynajmniej. To my oczyściliśmy go z zarzutu posiadania tej broni.

- Dlaczego?

- Nie musi pan wiedzieć o Webbie wszystkiego, inspektorze - powiedział. - Ale powiem panu, co mogę. Peter Webb był naszym informatorem w latach siedemdziesiątych. Przeprowadził się tutaj, grał wroga Anglików i tak dalej. Szczerze mówiąc, mało mieliśmy z niego pożytku. Jego kontroler zmarł w latach dziewięćdziesiątych,

na serce, i ja go zastąpiłem. Z Webbem nie miałem prawie żadnych kontaktów. Dostał mój numer, na wypadek gdyby się czegoś dowiedział albo czegoś potrzebował. Tak naprawdę spotkaliśmy się po raz pierwszy od lat dwa tygodnie temu, gdy go aresztowaliście za tę znaną broń. Zadzwoił do mnie i poprosił o pomoc.

Pokiwałem głową, ale nic nie powiedziałem. Po chwili Bond podjął:

- On nie miał z tą bronią nic wspólnego, wie pan.

- Też tak sądzę - powiedziałem. Bond przekrzywił głowę jak ptak, jakby starał się dotrzeć do znaczenia moich słów. - A Jamie Kerr? - spytałem.

Popatrzył na mnie bez zrozumienia.

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- Ale odwiedził pana Webba w noc jego śmierci, prawda?

Przytaknął.

- Boże drogi, nie wiedziałem nawet, gdzie on mieszka. Spotkaliśmy się na drinku, Webb opowiedział mi, jak to było z tą bronią, i tyle.

- Webb był wymieniony jako podejrzany o udział w napadzie na pocztę w Castlederg w 1996 roku. Wie pan coś o tym?

- Nic.

- Moim zdaniem jeden albo więcej członków gangu zabiło Webba i Jamiego Kerra.

Bond wskazał drzewo przed nami.

- Już wiem, kim był facet, którego ukrzyżowali.

- Webb i Kerr należeli do gangu. Obaj nie żyją, zostało dwóch członków.

- Mogę zajrzeć do akt w Strabane, jeśli pan chce - zaproponował spokojnie Bond; tak spokojnie, że nie spostrzegłem pułapki, dopóki w nią nie wpadłem.

- Nie ma po co, brakuje najważniejszych fragmentów - powiedziałem z goryczą.

- A skąd pan to wie, inspektorze? - zapytał Bond, a w jego głosie pojawiły się ostrzejsze tony. Zacząłem podejrzewać, że go nie doceniałem.

Zignorowałem jego pytanie.

- Dlaczego ktoś to zrobił?

Nawet nie mrugnął.

- Moim zdaniem żeby chronić nasze źródła. Kto pokazał panu nasze akta?

Obaj przez chwilę milczeliśmy. Zmówiłem ostatnią modlitwę za Jamiego Kerra.

- Miło było pana poznać, panie Bond. - Wyciągnąłem dłoń.

- Wzajemnie - odparł. - Powiedziałem panu, ile mogłem, inspektorze. Webb nie miał z tą bronią nic wspólnego. A ja nie mogę panu powiedzieć nic na temat poczty w Castlederg.

- Czy Webb był zamieszany w coś na tyle poważnego, że ktoś mógł wrócić i go zabić? - spytałem.

- Nie - odparł Bond. - Przez trzydzieści lat, jakie tu spędził, nie udało mu się chyba ani jedna grubsza sprawa.

- W takim razie kiepski był z niego szpieg, co?

- W ogóle był kiepski - zgodził się Bond. - Jedyna interesująca rzecz, jaką zdradził mi tamtego wieczoru, to to, że ktoś romansuje z jego żoną.

- Wiem - powiedziałem. - Sami to odkryliśmy.

Bond wzruszył ramionami, a potem spojrzął na kwiaty leżące pod drzewem, na którym ukrzyżowano Jamiego Kerra. Zawróciłem i ruszyłem w stronę domu, z rękami w kieszeniach.

- Przekażę od pana pozdrowienia Jimowi Hendry'emu - zawołał za mną Bond.

Nie obejrzałem się.

Kiedy wróciłem na posterunek, Donai Dempsey i jego dwaj sierżanci wybebeszali systematycznie stojącą na parkingu zieloną toyotę celicę. Fotele stały obok siebie pod ścianą, a Dempsey,

w papierowym kombinezonie technika stał i palił papierosa, co chwila kręcąc głową i ocierając pot z twarzy.

Caroline stała z boku, obserwując ze skrzyżowanymi na piersi ramionami. Kiedy opowiadałem jej o spotkaniu z panem Bondem, miała nieodgadniona twarz skrytą za okularami przeciwsłonecznymi. Zobaczyłem tylko, że przewraca oczami, gdy usłyszała, jak mi się przedstawił.

- Mężczyźni - skwitowała.

Pod ścianą stało kilku innych policjantów z posterunku, patrzyli w milczeniu albo wykrzykiwali porady oraz słowa zachęty. Wiwatowali, kiedy kolejne fragmenty wyposażenia samochodu lądowały na ziemi.

- Co tu się dzieje? - spytałem.

- Według cynku, który dostaliśmy dzisiaj rano, Kerr był widziany w samochodzie O'Kane'a. Chłopcy z Dublina właśnie zarekwirowali pojazd i rozbierają go na części, szukając dowodów.

Podszedł do nas Dempsey. Rozdarł papierowy kombinezon i wy dostał się z niego.

- Zastrana strata czasu, ot co. Przetrzęsaliśmy go najdokładniej jak się dało. Nic. Czysty jak łąza, można by przysiąc, że drań go wysprzątał, zanim przyjechaliśmy. Nic nie znaleźliśmy - powtórzył i z obrzydzeniem splunął na ziemię.

- Może - odezwałem się, wskazując głową wrak - to dlatego, że to nie jest samochód Declana O'Kane'a.

Dość szybko wyszło na jaw, że Dempsey i ekipa z NBCI pojechali do O'Kane'a i pokazali mu nakaz przeszukania.

- To pana samochód? - spytali Decka, wskazując zieloną celicę stojącą na jego podjeździe.

- Tak - odparł, w pewnym sensie zgodnie z prawdą.

Więc zarekwirowali zielone auto i zabrali je ze sobą, nie wiedząc, że to używany wóz z jego komisju, z którego akurat tego dnia korzystał.

Williams opowiedziała mi to wszystko później, chociaż nie mogła opisać powrotnej podróży do Decka i przejęcia właściwego samochodu, czerwonego forda pumy - Dempsey powiedział jej, że nie będzie potrzebna. Podejrzał być może, że od początku wiedziała, że przeszukują niewłaściwy wóz.

Trzy godziny później, złożywszy do kupy zieloną toyotę przy wtórce okrutnych przekleństw, zawstydzeni policjanci z NBCI wrócili na posterunek z czerwoną pumą Decka. W pięć minut, bez wyjmowania foteli i przy znacznie mniejszej publice, znaleźli ulotkę, którą podrzuciłem do kieszeni drzwi pasażera. Szybki telefon do Charlesa Bardwella potwierdził, że była to faktycznie własność Jamesa Kerra.

O ósmej trzydzieści tego samego wieczoru Decko O'Kane był już w areszcie, zapewniając o swojej niewinności i wrzeszcząc z celi, że ktoś go wrobił. Co do mnie, pojechałem do domu, do żony i dzieci, i starałem się zapomnieć o wszystkim, co się stało, zignorować poczucie winy i gryzący mnie w bebechach brak pewności. Wystarczyło, żeby jego DNA pasowało do próbek spod paznokci Kerra, powtarzałem sobie, i mój mały podstęp przyniesie wielkie efekty.

19.

Wtorek, 15 czerwca

Ludzie z NBCI na zmianę całą noc przesłuchiwali Decka, pobrawszy od niego uprzednio próbkę DNA z wnętrza policzka. Mimo ich starań jak dotąd nie przyznał się do niczego. Twierdził, że nie znał nawet Jamesa Kerra.

O dziesiątej Dempsey zapytał, czy chciałbym spróbować. Szczerze mówiąc, nie miałem Deckowi nic do powiedzenia. Uważałem, że jeśli uda się go przytrzymać do chwili, kiedy nadejdą wyniki badania DNA, samo porównanie wystarczy, żeby go oskarżyć.

Próbkę pobrano od razu, jak tylko przywieziono go poprzedniego wieczoru do aresztu. Takie rzeczy z reguły trwają tydzień albo dwa, ale Dempsey zapewnił mnie, że jeśli prośba pójdzie przez NBCI, wyniki pojawią się po paru dniach.

Prawnik Decka, Gerard Brown, spędził z nim większość nocy, pilnując, żeby O'Kane'a nie pozbawiono przysługujących mu przerw i herbaty. Wciąż tam siedział, jego obwisła zazwyczaj twarz była jeszcze bardziej niż zwykle nabrzmiała z braku snu i duchoty celi. Rano zażądał, żeby przyniesiono mu wentylator. Porównał panujące tam warunki do tortur. Spełniono jego żądanie i chociaż wentylator był skierowany prosto w jego twarz, nawet po zdjęciu marynarki i krawata i rozpięciu koszuli pod szyją Brown był mokry od potu.

Decko był zaczerwieniony i rozczochrany, co jaskrawo kontrastowało z jego wcześniejszą elegancją. Żel na jego włosach dawno zasechł, sprawiając, że sterczały w pozlepianych strąkach. Oczy miał podkrążone i zaczerwienione, mówił przez zatkany nos, przytykając do niego chustkę.

- Katar sienny - wyjaśnił.

Na wąsach miał białe strzępki chusteczek higienicznych, bezustannie przygryzał dolną wargę.

- O, teraz pan - powiedział, kiedy wszedłem. Podałem jemu i prawnikowi po puszcze coli i otworzyłem jedną dla siebie.

- Zdrowko - rzucił Decko, otwierając napój. - Rozumiem, że pan ma być dobrym gliną. - Zaśmiał się. - Po tych pajacach z Dublina.

- Ani dobrym, ani złym, panie O'Kane. Tylko ze świeżym spojrzeniem, które ma sprawdzić, czy czegoś nie przeoczyliśmy.

- To już zakrawa na śmieszność - oznajmił Brown. - Albo oskarżcie mojego klienta, albo go wypuście. Ta ciągła rotacja bez żadnego celu donikąd nas nie zaprowadzi.

- Dobrze - powiedziałem, wyjmując notes. - Panie O'Kane, gdzie pan był w nocy w środę dziewiątego czerwca?

- W domu, tak jak powiedziałem tamtym.

- Na pewno?

- Nie, właściwie, jak pan zapytał drugi raz, to sobie przypomniałem. Byłem na jakimś polu i krzyżowaliśmy z kumplami jakiegoś czubka.

- Naprawdę? - zapytałem ze śmiertelną powagą.

- A jak pan, kurwa, myśli?

- Myślę, że tak właśnie prawdopodobnie było. Jak ulotka Jamesa Kerra trafiła do pana samochodu?

- Nie mam pojęcia - zdziwił się i ten jeden raz miałem pewność, że nie kłamię. - Może...

Rozmowę przerwał dzwonek komórki Browna. Prawnik spojrzął na wyświetlacz.

- Przepraszam. - Wstał i oddalił się w kąt sali.

- Opowiadał pan, panie O'Kane, o ulotce - ponagliłem go, ale bez efektu. Patrzył na Browna czy raczej starał się odgadnąć temat rozmowy po cichych odpowiedziach adwokata. Na pewno ja próbowałem.

Potem Brown zamknął telefon i wrócił do nas z szerokim uśmiechem.

- Chyba pora na przerwę dla mojego klienta, panie inspektorze. W ciągu dziesięciu minut spodziewam się czegoś bardzo ważnego; jest istotne, żebym mógł omówić z moim klientem jego sprawę pod kątem tych nowych informacji.

Zacząłem tracić pewność siebie.

- W porządku - wydukałem.

- Niedługo zostanie tu dostarczona paczka. Prosiłbym o powiadomienie mnie, kiedy przyjdzie.

- Dobrze - obiecałem.
- Będziemy chyba także potrzebować telewizora i magnetowidu - ciągnął Brown, a mój żołądek skurczył się tak mocno, że omal nie wymiotowałem.

W tym momencie usłyszałem jakieś zamieszanie na korytarzu.

- Gdzie on jest? - Kiedy tylko otworzyłem drzwi, żeby zobaczyć, co się dzieje, zobaczyłem przed sobą Pattersona.

- Ty cholerny fiucie - warknął i zanim zdążyłem choćby się zasłonić, zamachnął się i strzelił mnie prosto w twarz. Poleciałem w tył, na stół w pokoju przesłuchań, wylewając colę z puszek na siebie i na podłogę.

Pokój zawirował. Usiłowałem posegregować wszystkie doznania, jakie do mnie docierały. Zobaczyłem roześmianą twarz Decko i Pattersona, plującego na mnie i odciganego przez Burgessa i Dempseya. Z tyłu był Colhoun, blady i jakby omdlewający. W końcu pojawił się Costello, z przerażeniem na twarzy, cały czerwony. Później poczułem krew w ustach i dotarło do mnie, że boli mnie nos. Wiedziałem, że został złamany. Spróbowałem wstać, ale świat uciekał mi spod nóg i znów upadłem, jak pijany.

Dempsey i Caroline, która właśnie weszła, pomogli mi wstać, a Pattersona wyciągnięto z pokoju i powleczono korytarzem.

- Zajebię cię! - wrzeszczał. - Jesteś trupem, Devlin, ty kutasie!
- Jego głos niósł się echem po korytarzu. - Jesteś, kurwa, martwy!

W końcu zapadła cisza. Usłyszałem, jak Dempsey pyta, czy nic mi nie jest, poczułem jego uchwyt na łokciu, kiedy pomagał mi wstać z podłogi. Pozostali obecni wyglądali jak zamrożeni w nieruchomym szarym świetle. Niepewnie pokiwałem głową.

- Właśnie został zawieszony - syknął Dempsey. - Wszczęto przeciwko niemu dochodzenie na podstawie oskarżenia, że celowo schował broń na tutejszym polu, a potem udawał, że ją znalazł.

Spojrzałem na Caroline, ale nic nie powiedziała. Odwzajemniła tylko moje spojrzenie z troską, i to chyba nie tylko dlatego, że

właśnie zostałem zaatakowany.

Poszedłem do łazienki, żeby zmyć krew z twarzy i, co ważniejsze, uciec od złych spojrzeń kolegów. Większość z nich uważała chyba, że Patterson i Colhoun zostali zawieszeni przeze mnie. Oko już mi puchło, nos miałem wyraźnie przestawiony. Zagryzłem mocno podstawę kciuka i nastawiłem go z powrotem. Do umywalki pociekła świeża krew; zrobiło mi się jednocześnie zimno i gorąco, pocilem się i dygotałem.

Dłuższy czas siedziałem w łazience. Czułem się nieco absurdalnie i czekałem, aż Patterson i Colhoun wyjdą. Nie mogłem im powiedzieć, że skłamałem na rozmowie - że nie miałem nic wspólnego z ich zawieszeniem. Wiedziałem, że mi nie uwierzą.

W końcu ktoś zapukał do drzwi i w progu stanął z wahaniem inspektor Dempsey.

- W porządku? - spytał. - Potrzebujesz jeszcze chwili?

- Nie, nic mi nie jest - powiedziałem. - Dzięki.

Jego troska nie wynikała jednak tylko z altruizmu.

- Jesteś mi tam potrzebny. Mamy problem z O'Kane'em.

Zapomniałem na chwilę o jadącym do nas nagraniu. Usłyszałem własny mimowolny jęk.

- Na pewno wszystko w porządku? - spytał jeszcze raz Dempsey, patrząc na mnie ze zdziwieniem.

Tym razem nie odpowiedziałem, wstałem tylko niepewnie i poszedłem za nim.

Po drodze do pokoju przesłuchań minęło mnie kilka osób. Nikt nie spojrział mi w oczy, nikt nie spytał, jak się czuję. Ktoś wsypał Pattersona, a chociaż Patterson był irytującym prostakiem, na swoich się nie donosi. Przeszedłem korytarzem najszybciej, jak mogłem.

Pozostali obejrzeni już nagranie, bo było zatrzymane na ostatnim ujęciu: samotna postać, słabo oświetlona, uciekała od samochodu Decka.

- Puście jeszcze raz - powiedział Dempsey, brodą wskazując telewizor. Brown, który włożył z powrotem krawat i marynarkę, szykując się do wyjścia z posterunku, usłuchał.

Nie musiałem oglądać nagrania, bo wiedziałem, co się stanie. Dziwnie było widzieć siebie samego z góry, jakbym był obserwatorem własnego życia - przypomniało mi to wcześniejsze wrażenie unoszenia się poza swoim ciałem. Lepiej o tym nie myśleć, powiedziałem sobie.

Na ogół obraz był zbyt oddalony i niewyraźny, by dało się kogośkolwiek zidentyfikować. Tylko w jednej klatce postać była odwrócona do kamery; światło padało na jej twarz i ukazywało część rysów, ale nawet tam widok był tak niewyraźny, że nikt nie byłby w stanie mnie rozpoznać.

- To chyba stawia sprawy w nowym świetle, panowie - powiedział Brown, znów wciskając pauzę.

- To żaden dowód - zaprotestowałem. - Ktoś chciał ukraść pana samochód. Nie widzę związku.

- Dla mnie to wyglądało, jakby ktoś wkładał coś do samochodu, a nie próbował go ukraść - zauważył Brown. - Ktoś zachowuje się podejrzanie przy samochodzie mojego klienta. Potem wy dostajecie anonimowy cynk i w tym samym samochodzie w niewyjaśniony sposób pojawia się dowód rzeczowy. Po tym, czego byliśmy tu dzisiaj świadkami, myślę, że podstawy do dalszego przetrzymywania pana O'Kane'a są bardzo chwiejne.

- Poznajesz, kto to? - spytał mnie Dempsey, wskazując ekran.

- Nie mam pojęcia - odparłem.

- Tak myślałem, że to powiesz - odparł. Odwrócił się do Browna i sierżanta przy drzwiach. - Wypuście go.

Decko opuścił budynek, krzycząc o bezpodstawnym zatrzymaniu i odszkodowaniach, chociaż była to nieprzekonująca brawura. Pociężyłem się myślą, że jego zwolnienie to rzecz chwilowa. Udało się pobrać od niego próbkę DNA. Kiedy dopasujemy ją do tej pobranej spod paznokci Kerra, Decko trafi pod klucz na dłuższy czas.

Po południu zadzwonił do mnie Jim Hendry.

- Jak rozumiem, spotkałeś się z panem Bondem?
- Przepraszam, Jim - powiedziałem od razu. - Wymusknęło mi się, że wiem, że akta były ocenzone.
- Tak słyszałem - stwierdził Hendry; z jego tonu nie dało się wychwycić żadnych emocji.
- Mam nadzieję, że nie masz przez to żadnych kłopotów. Usłyszałem, że pociąga nosem.
- Ten facet to dupek - powiedział. - To znaczy, żeby kazać mówić sobie „pan Bond”.

Obaj się zaśmialiśmy wdzięczni, że zniknęło między nami wszelkie napięcie.

- No to co mogę dla ciebie zrobić? - spytał Hendry już ze swoją zwykłą dobroduszością.

Opowiedziałem mu o tym, że szukamy człowieka z tatuażem z Cuchulainem. Jim powiedział, że zna kogoś, kto mógłby nam pomóc, i zaproponował, żebyśmy spotkali się wieczorem w Strabane. Rozejrzałem się za Caroline, ale nigdzie jej nie było.

Zanim wyszedłem z posterunku, Costello wezwał mnie do swojego gabinetu. Wyglądał na zmęczonego, jakby postarzał się o lata w ciągu jednego dnia. Mówiąc, tarł swoją pierś i cicho bekał, jakby dokuczała mu niestrawność.

- Wszystko w porządku? - spytał.
- W porządku, panie nadinspektorze.
- Znowu kłapa z O'Kane'em, co? Ten kutas Kerr zrobił nam tu

szambo, dokładnie jak przewidziałem. - Postukał palcami w stół. - Odejść w taki sposób - powiedział smutno; nie wiedziałem, czy chodzi mu o własną emeryturę, czy sposób, w jaki zginął James.

- Co się dzieje z Colhounem i Pattersonem? - spytałem.

- Zawieszeni bez pensji do zakończenia dochodzenia. W tym tempie to może potrwać kilka tygodni. Może wstrzymać awanse z listy.

Pokiwałem głową wdzięczny, że nie muszę o to pytać.

- Oni myślą, że to ja - oznajmiłem. - Wszyscy myślą, że to byłem ja.

- Wiem - odparł cicho Costello. - Jak ci poszło?

- Dobrze - powiedziałem. - Garrison spytał wprost o znalezione broń. Skłamałem. Uznałem, że tak będzie najlepiej.

- Przykro mi to słyszeć. Oni już wiedzieli, że to znalezisko było trefne.

- Skąd?

- Nie wiem. To było pierwsze, co ta cholerna Powell mi powiedziała. Ktoś się z nią skontaktował. To mógł być Paddy Hannon.

- Może - przytaknąłem. Zgłosił mi swoje zastrzeżenia i nic nie zostało zrobione. Jeśli komisja o tym wiedziała i wiedziała, co mi powiedziano, to wyszedłem na kłamcę, kiedy pytali mnie o znalezisko, a ja na to, że moim zdaniem jest prawdziwe. Co z Deckiem? Co się z nim stanie?

- Już był w radiu, opowiadał najróżniejsze rzeczy. Godzinę temu byli tu dziennikarze, chcieli oświadczenia. Powiedziałem im, że zostanie wydane po poznaniu wyników badań opartych na próbkach DNA. Chryste, mam nadzieję, że pomogą nam drania przygwoździć - wyrzucił z siebie Costello, a potem się skrzywił, kiedy zrozumiał niestosowność tych słów.

Williams czekała na mnie na parkingu, oparta o samochód, z

okularami odsuniętymi na czubek głowy. Kiedy podszedłem, odsunęła się od auta.

- Szukałem cię - powiedziałem.
- To byłeś ty? - spytała.
- A jak myślisz?
- To byłeś ty? - powtórzyła. - Muszę wiedzieć. - Patrzyła mi

prosto w oczy.

Zawisło między nami coś nieuchwytnego.

- Nie, Caroline - zaprzeczyłem. - To nie ja.

Przez chwilę jeszcze na mnie patrzyła, jakby oceniając moje słowa.

- Przepraszam - wyjąkała w końcu, chyba zadowolona. - Musiałam zapytać.

- Rozumiem. W końcu jesteśmy partnerami.

Uśmiechnęła się.

- Niezupełnie, szefie. Jak nos?
- W porządku. Jadę dzisiaj wieczorem do Strabane na spotkanie z Jimem Hendrym w sprawie Doherty. Chcesz jechać ze mną?

Zastanowiła się szybko.

- Czemu nie?

Zabrałem Caroline za dwadzieścia siódma i pojechaliśmy do Strabane. Poziom rzeki był niski od upałów, wędkarzom na środku strumienia woda sięgała ledwie po kolana woderów. Wydawało się, że lato zbiera siły, skwar narasta, jakby coś miało się stać.

Zauważyłem, że Caroline miała makijaż. Włożyła też dzinsy i obcisłą, fioletową satynową bluzkę. Zacząłem się zastanawiać, co ma większe znaczenie: że się tak ubrała czy że ja to zauważyłem.

- Świetnie wyglądasz - pochwaliłem ją. - Wybierasz się gdzieś później?

Zaczerwieniła się lekko na ten komplement.

- Nie, pomyślałam tylko, że bardziej się postaram - powiedziała. - Jezu, czy to znaczy, że normalnie wyglądam jak nieszczęście?

- Nie, ja tylko... chciałem ci tylko powiedzieć, że ładnie wyglądasz, no - wyjąkałem.

- Dzięki - odparła, po czym odwróciła się do okna.

Spotkaliśmy się z Jimem Hendrym na hotelowym parkingu.

Kiedy szliśmy do hotelowego baru, opowiedział nam, kim jest nasz informator.

Jackie Cribbins większość życia mieszkał w Bangor. Wydawał się niegroźny, wyjaśnił Hendry. Znało go całe miasto: często widywano go, jak pchał gdzieś metalowy sklepowy wózek. Kręcił się w okolicach dworców autobusowych, wejść do centrów handlowych, żartował ze zbierającymi się tam dzieciakami.

Wymieniał się z nimi płytami CD i gramy. Starsze częstował czasem papierosami. Był żaloszny; dzieciom było go nieco żal, miały też wyrzuty sumienia, że wykorzystują jego potrzebę przyjaźni.

- Trochę trwało, zanim ludzie się zorientowali, że to amator małałatów - powiedział Hendry. - Spalili mu dom. Dopiero tutaj znalazł miejsce, gdzie nikt go nie znał. Utrzymujemy jego dawne dokonania w tajemnicy w zamian za to, że on nadstawia dla nas uszu.

- Amator małałatów - powtórzyła z obrzydzeniem Williams, kiedy skończył.

- Tak - potwierdził Hendry i pokiwał głową; błędnie wziął jej odrazę za wymierzoną w Cribbinsa, podczas gdy ja podejrzewałem, że celem był raczej on sam, bo tak nonszalancko opisał skłonności tamtego.

- Wie coś? - spytałem.

- Jeszcze nie, ale zrobi, co będzie mógł.

- Co z pieniędzmi?

- Normalnie daję mu dwudziestaka. Potrzeba wam tylko nazwiska, prawda?

Kiwnąłem głową. Kiedy weszliśmy do baru, natychmiast rozpoznałem Cribbinsa. Był drobnym ciemnowłosym człowieczkiem

w okularach. Skórę miał ciemną i jędrną jak na swój wiek - kiedy rozmawialiśmy, czułem od niego zapach kremu nawilżającego. Dałem mu dwadzieścia euro - jego dłoń była miękka i wilgotna. Przytrzymał moją rękę o chwilę za długo. Zauważyłem, że przez całe spotkanie Williams nie odezwała się do niego ani go nie dotknęła; właściwie z trudem przychodziło jej nieokazywanie pogardy.

- Wielki facet z tatuażem. To nie będzie proste - powiedział, popijając sok pomarańczowy.

- Wielki, łysy, zbudowany jak ceglany wychodek, tatuaż na lewym ręku, prawdopodobnie Cuchulaina przy drzewie. Jeździ sportowym samochodem albo kilkoma sportowymi samochodami w różnych kolorach.

- Co zrobił? - spytał Cribbins. - Nie chcę być wścibski, ale chodzi mi o to, czy jest niebezpieczny.

- Może być, ale zazwyczaj wobec młodych dziewczyn. Potrzebne mi tylko nazwisko, nie będziesz musiał się do niego zbliżyć.

- Jak mam się z panem skontaktować? - spytał Cribbins, ale Hendry nie dał mi odpowiedzi.

- Wcale. Skontaktujesz się ze mną, a ja przekażę wiadomość - wyjaśnił. Chciał chyba zachować swojego kapusia dla siebie, co akurat było zrozumiałe. Szczerze mówiąc, myśl o dalszych kontaktach z Cribbinsem nie była zbytnio pociągająca.

Dopiliśmy drinki i wyszliśmy, Hendry z nami, Cribbins został w środku ze swoim sokiem pomarańczowym.

- Jeszcze raz przepraszam - dodałem. - Za Bonda.

- Daj spokój. Był trochę wkurzony, że cię popchnąłem w jego stronę. Ale wszystkiego się wyparłem. Zresztą Webb był płotką. Cokolwiek robił dla wydziału specjalnego, nie sądzę, żeby to miało związek z tym, dlaczego zginął.

- Mam nadzieję, że nie spierdoliłem ci szansy na, no wiesz... - dodałem.

- Na awans. Nieee, zagram parę rundek golfa, wylizę parę tyłków i wszystko pójdzie w niepamięć.

- Przyjemnie widzieć, że uczciwa, ciężka praca popłaca - powiedziałem, starając się nie myśleć o własnych, wędnących szan-sach na awans.

W samochodzie spytałem Caroline, czy wszystko w porządku.

- Wszystko gra - odparła przez zaciśnięte zęby.

- Co jest?

- Pieprzony „amator małaolatów” - warknęła. - Mam syna, wiesz?

Spojrzała na mnie prosząco w nadziei, że podzielę jej oburzenie.

- Wisielczy humor - podsunąłem. - Jim jest w porządku.

Nasza rozmowa na tym jednak się skończyła, bo tuż za granicą zadzwoniła moja komórka. To był Dempsey.

- Mamy problem. Jest z tobą Williams? Już Williams, nie Caroline.

- Tak, jest - powiedziałem. - Co się stało?

- Chodzi o Declana O'Kane'a.

Dojazd do Decka zajął nam pół godziny. Jechaliśmy z otwartymi oknami, żeby się ochłodzić; mimo to w samochodzie było duszno i śmierdziało dieslowskimi spalinami; kiedy dotarliśmy na miejsce, bolała mnie głowa. Dom Decka wyglądał tak samo, jak ostatnio, nie licząc stojących pod nim radiowozów i karetki.

Mundurowy z Letterkenny od razu wpuścił nas do środka i skierował na tył domu. Tam spotkaliśmy Dempseya i jego sierżantów stojących nad brzegiem basenu, w którym unosiło się ciało Declana O'Kane'a.

Pływał twarzą w dół, z rękami rozpostartymi bezwładnie na boki. Kula, która go zabiła, wychodząc, wyrwała czerwoną dziurę na plecach koszuli. Woda spłukała krew, ukazując ziejącą ranę.

Kilku *gardai* wychyliło się ze skrajów basenu, przyciągając zwłoki siatkami.

- Znalazła się broń? - spytałem.

- Nie.

- Jakies ślady włamania?

Znów pokręcił głową.

- Znał tego, kto go zabił - oznajmił Dempsey.

Wokół kręcili się technicy, zdejmując odciski palców i przeszkubując trawnik w poszukiwaniu broni albo łusek.

Nieznany mi policyjny lekarz zajął się ciałem, kiedy już je wyłowiono. Po obejrzeniu skóry i rany postrzałowej nacisnął pierś Decka; z ust trupa połała się woda i piana.

- Panowie detektywi - odezwał się lekarz. - Spójrzcie na to. Nacisnął jeszcze raz.

- O czym to świadczy? - spytał Dempsey.

- Patolog ustali to na pewno, ale wygląda na to, że ofiara przed śmiercią połknęła sporo wody. Piana, którą tu widać, to potwierdza.

- Spojrzał na nas, mrużąc oczy, i dłoń w rękawiczkę poprawił okulary. - Nie jestem ekspertem od balistyki - ciągnął - ale wydaje mi się, że taki postrzał zabija człowieka od razu.

- Czyli nałykał się wody, zanim go zastrzelono?

- Tak, tak mi się wydaje. - Przekrzywił lekko głowę Decka i wskazał fioletowe ślady tuż pod linią włosów na karku. Były okrągłe i rozłożone równomiernie na obwodzie szyi.

- Ślady palców? - spytałem.

Kiwnął głową.

- Tak sądzę. Powiedziałbym, że przed śmiercią ktoś przytrzymał głowę pana O'Kane'a pod wodą. Rana wlotowa jest jednak z przodu, więc ten, kto go trzymał pod wodą, potem go wyciągnął, odwrócił twarzą do siebie i postrzelił.

- Jeśli próbowali go utopić i chcieli przyspieszyć jego śmierć, strzeliliby mu po prostu w plecy, prawda? - dodał Dempsey.

- Tak sądzę, tak.
- Może był torturowany, zadawali mu pytania i trzymali go pod wodą, aż był gotowy odpowiedzieć? - zasugerowałem.

Lekarz popatrzył na mnie zza okularów wzrokiem bez wyrazu.

- Tak, na to wygląda.

Promienie wieczornego słońca, przefiltrowane przez liście drzew na skraju trawnika, migotały na powierzchni wody w basenie. Nawet teraz, na świeżym powietrzu, głowa ciążyła mi jak ołów i nie mogłem zebrać myśli.

- Co o tym sądzisz? - spytałem Dempseya.

- Myślę, że po aresztowaniu Decka ktoś spanikował, zwłaszcza że wyszedł tak szybko. Może uznali, że podał jakieś nazwiska. Przyjechali tu dowiedzieć się, co powiedział.

- W napadzie w Castlederg oprócz Kerra brały udział trzy osoby. Peter Webb go zwerbował. Rysopis, który Kerr podał Bardwellowi, wskazuje, że jednym z pozostałych był Decko.

Dempsey kiwnął głową.

- A to, co się tu stało, właściwie to potwierdza. Po co go zabijać, gdyby nie miał nic do powiedzenia?

- Czyli mamy wciąż mordercę na wolności, który załatwił pozostałych członków gangu.

Staliśmy z Dempseyem w milczeniu, ramię w ramię, i patrzyliśmy na rozległy trawnik, który Decko O'Kane kupił za zyski ze swoich przestępstw.

- Nie sposób nie zadać sobie pytania, czy warto w ogóle im przeszkadzać - powiedział Dempsey. - Dać im zrobić swoje, a potem tylko posprzątać.

Caroline pracowała z pozostałymi sierżantami i pomagała technikom na trawniku. Teraz do nas podeszła.

- Łupie mi w głowie - poskarżyła się, kręcąc nią i szeroko otwierając oczy, jakby była zmęczona.

- Mnie też - odparłem.

- Balowaliście gdzieś czy co? - spytał Dempsey, ruchem głowy wskazując Caroline. - Laska jest wystrojona jak na bal.

Caroline szybko ukryła zakłopotanie.

- Jezu, zamknęlibyście się może, co?

Jeden z sierżantów z NBCI zawołał nas spod bocznej bramy, gdzie kuczał technik nanoszący proszek daktyloskopijny na zasuwkę.

- Chyba coś tu mamy.

Technik wskazał pędzelkiem niewyraźną plamkę tuż nad zasuwką.

- Ktoś to wytarł do czysta, ale został fragment odcisku, jakby ten, kto ścierał ślady, przesunął tu palcem. Nie wiem, na ile to będzie wyraźne, zrobimy, co się da. Może w ogóle się do niczego nie przydać.

- Tak czy inaczej, dobra robota - pochwalił Dempsey, klepiąc mężczyznę po ramieniu. Technik rozpromienił się dumnie, a ja zacząłem zmieniać zdanie na temat inspektora.

Kiedy jednak ja i Williams zebraliśmy się do powrotu jakiś czas później, zawołał nas.

- Oczywiście, jeśli O'Kane mówił prawdę, to ten, który podrzucił mu tę ulotkę do samochodu, właściwie skazał go na śmierć.

Kiwnął głową, jakby do siebie, założył ręce za plecy, odwrócił się i odszedł wypieszczonym trawnikiem.

Przejechałem nieco ponad kilometr, zanim atak paniki wywołany słowami Dempseya stał się tak ciężki, że musiałem się zatrzymać. Bez wyłączania silnika otworzyłem drzwi i spróbowałem zwymiotować na trawę przy drodze.

Znów poczułem dłonie Williams, masujące mi plecy, usłyszałem jej kojący głos. Potem wzięła mnie za rękę i mówiąc do mnie cicho i powoli, pomogła mi się wyprostować.

- Oddychaj - powtórzyła kilka razy. - Oddychaj głęboko. Wszystko w porządku.

Po kilku chwilach doszedłem do siebie na tyle, by wysiąść z samochodu. Wszystkie szyby były otwarte, żeby wypuścić gorąco, ale mimo to powietrze było ciężkie od smrodu spalin.

- Ja poprowadzę - zaproponowała Caroline, masując mi plecy.

Kiedy tak staliśmy, temperatura spadła niemal w jednej chwili, a niebo pociemniało.

- Znów burza - powiedziała Williams.

I faktycznie, zaraz potem pierwsze ciężkie krople deszczu zaębniły w dach samochodu i zakurzoną drogę. Obiegnęłam auto i wsiałem na fotel pasażera.

Caroline ruszyła; z deszczu zrobiło się oberwanie chmury i mimo duchoty musieliśmy pozamykać okna.

Kiedy dotarliśmy pod mój dom, Caroline powiedziała, że pojedzie do siebie taksówką, ale ja się nie zgodziłem. O wiele lepiej będzie, przekonywałem ją, jeśli weźmie mój samochód i rano po mnie przyjedzie. Było mi niedobrze; głowa mi ciążyła, a mózg pulsował boleśnie w czaszce.

- Dzięki, Caroline - udało mi się powiedzieć i popatrzyliśmy na siebie niezręcznie. Nachyliłem się do niej i lekko ją objąłem, ona zrobiła to samo.

- Uważaj na siebie - zawołała, odjeżdżając. - I zdrowiej.

Była dziewiąta czterdzieści; wszedłem do domu i poczułem się lepiej - znajome otoczenie pomogło mi się uspokoić. Napiałem się herbaty i wziąłem dwa proszki przeciwbólowe. Próbowałem zapalić papierosa w tylnych drzwiach, ale tylko zrobiło mi się słabiej.

Około dziesiątej dwadzieścia dostaliśmy wiadomość, że w rowie znaleziono samochód, który wpał tam jakby po wypadku. Garda, który się na niego natknął, wiedział, że należy do mnie. Gdy zobaczył w środku nieprzytomną kobietę, zwisającą w pasach, w pierwszej chwili pomyślał, że to Debbie. Dopiero kiedy przyjrzał się bliżej, rozpoznał Caroline Williams.

20.

Środa, 16 czerwca

Caroline przewieziono do szpitala głównego w Letterkenny tuż po północy. Oddychała, chociaż powoli. Badający ją lekarz stwierdził pęknięcie kości ręki i obojczyka oraz drobne pęknięcie czaszki. Saturacja krwi również była podejrzanie niska. Poza tym Caroline miała ciężko stłuczony brzuch, podejrzenie połamanych żeber i kilka skaleczeń na twarzy i szyi. O ile lekarze byli w stanie stwierdzić, nie doznała obrażeń wewnętrznych, ale tylko czas mógł to potwierdzić. Na razie trzeba było czekać, aż się obudzi.

Adam Ferguson, policjant, który znalazł Caroline, wciąż był w szpitalu. Chciał wiedzieć, czy nic jej nie będzie. Wyszliśmy na dwór zapalić i opowiedział mi, co dokładnie widział. O ile mógł stwierdzić, w wypadku nie brał udziału inny samochód. Wyglądało na to, że nieco ponad kilometr od mojego domu Caroline nie zmieściła się na zakręcie, przebiła się przez zabezpieczający murek i przekoziółkowała do rowu. Kiedy zjawił się tam Ferguson, wciąż wisiała głową w dół, przyduszona pasem bezpieczeństwa przepasującym pierś.

Zanim przyjechałem do szpitala, wysłałem kogoś, żeby zabrał jej syna, Petera, i zawiózł go do nas, do Debbie i dzieci; nie chciałem go sprowadzać do matki, dopóki nie było wiadomo, jak poważnych doznała obrażeń.

Costello siedział obok mnie w poczekalni i wzdychał tak, że cały aż chodził.

- Okropność - powiedział. - Okropność. Biedna dziewczynka.
- Popatrzył na mnie zaczerwienionymi oczami. - Jezu, Benedykcie - powtarzał. - Jezu.

Obaj siedzieliśmy tak do świtu, aż w końcu dostaliśmy wiadomość, że Caroline się obudziła i chce z nami rozmawiać.

Twarz miała posiniaczoną i spuchniętą, pod oczami czarne sińce od zderzenia. Mówiąc, co chwila zwilżała wargi koniuszkiem języka. Stanęliśmy przy jej łóżku; trzymałem ją za rękę i przypominałem sobie, jak robiła to samo dla mnie zaledwie poprzedniego wieczoru.

- Co się stało, Caroline? - spytał Costello.

- Gdzie Peter? - zapytała, w panice szeroko otwierając oczy.

- U nas - powiedziałem. - Pilnuje go Debbie. Nic mu nie jest. Jak się czujesz?

- Wszystko mnie boli - odparła, usiłując się uśmiechnąć. - Nie pamiętam, co się stało. Byłam... byłam taka zmęczona, taka otępiła. Czułam ten smród i...

Ucichła.

- Był tam ktoś jeszcze? - spytał Costello, ale pokręciła przecząco głową.

- Byłam taka zmęczona. Taka zmęczona - powtórzyła z oczami mokrymi od łez.

- Cieszę się, że się obudziłaś, Caroline. - Nachyliłem się i pocałowałem ją w czoło. Lekko ścisnęła moją dłoń.

Zanim wyszliśmy, zajrzeliśmy do lekarza, żeby spytać o jej stan. Lekarz wydawał się raczej zadowolony, chociaż miał pewne zastrzeżenia co do poziomu tlenu we krwi Caroline.

- Czy miała skłonności samobójcze? - spytał ni z tego, ni z owego.

- Boże, nie - odparłem. - Dlaczego?

- Taki poziom tlenu we krwi występuje tylko u ludzi, którzy próbowali udusić się spalinami w garażu - wyjaśnił. - I niech pan to sobie interpretuje, jak pan chce.

Costello zadzwonił na posterunek i wysłał ludzi do zbadania wraku samochodu. Kiedy przyjechaliśmy na miejsce, zebrało się tam już czterech policjantów.

Mój samochód leżał na dachu w rowie, jakieś trzy metry poniżej poziomu drogi. Podwozie lśniło po wczorajszym deszczu. Maskę zwinęła się w harmonijkę przed przednią szybą, sflaczała poduszka powietrzna zwisała smętnie z kolumny kierownicy. Płyty CD, drobniaki i paczka papierosów ze schowka wały się na suficie, kiedyś białym, teraz poplamionym deszczówką i krwią Caroline.

- Znaleźliście coś? - zawołał Costello stojący na drodze; pochyłość była za stroma dla kogoś o jego ograniczonej sprawności ruchowej.

Jeden z policjantów podniósł w górę poczerńiałą szmatę.

- Bardzo proste, proszę pana. Ktoś wepchnął to w rurę wydechową - odkrzyknął. - Przy zamkniętych oknach spaliny musiały ją uśpić.

Kiedy potem o tym myślałem, wszystko miało sens. Obojgu nam było niedobrze, oboje skarżyliśmy się na bóle głowy, brak tlenu z pewnością wzmógł mój atak paniki. Szmata tłumaczyła nawet smród w samochodzie. Po drodze do Decka i z powrotem okna były otwarte, dając nam przynajmniej trochę świeżego powietrza. Kiedy jednak Caroline odjeżdżała spod mojego domu, zamknęła szyby przed deszczem. Wyjaśniało to także niski poziom tlenu w jej krwi.

Oczywiście było także jasne, że do wypadku doprowadzono umyślnie i że Caroline nie była celem: to był w końcu mój samochód. W głowie rozbrzmiały mi ponownie słowa Debbie o robieniu męczenników ze swojej rodziny. To przeze mnie Caroline trafiła do szpitala, a jej syn siedział przerażony i samotny w obcym domu. Narażanie własnego życia to jedno; narażanie cudzego - zupełnie inna sprawa. Zacząłem się zastanawiać, jak mogę to Caroline

wynagrodzić. Przynajmniej na krótką metę jedyne, co mogłem zrobić, to znaleźć tego, kto za tym stał. Costello właśnie o to mnie zapytał.

- To mogło mieć jakiś związek z Deckiem - powiedziałem. - Może ostatni członek gangu? Albo coś dotyczącego sprawy Dohererty. Albo ktoś mnie nie lubi. Peter McDermott? - Po krótkiej pauzie dodałem: - Albo Patterson i Colhoun.

- Harry i Hugh by czegoś takiego nie zrobili, człowieku. Wiem, że Harry się łatwo burzy, ale to już jakaś makabra.

- Ktokolwiek to był, moim zdaniem to następny krok po kartce z kulką i cegle w moim oknie. Chyba traktują to poważnie.

- To nie mógł być żaden z chłopaków, Benedykcie, nieważne, co mówiłby Harry.

Mimo jego zapewnień nie miałem tej pewności co do Pattersona i Colhouna i zamierzałem im coś powiedzieć, zwłaszcza Pattersonowi, przy pierwszej okazji.

Kiedy jechaliśmy z powrotem na posterunek, opuściłem szybę i zapaliłem papierosa. Costello spytał, co mi chodzi po głowie. Nie mogłem mu oczywiście powiedzieć, że zastanawiam się nad tym, czy moje działania w tej sprawie nie doprowadziły do śmierci Decka O'Kane'a i, o mały włos, mojej partnerki. W dodatku parę dni temu wspomniałem Costellowi o swoich zastrzeżeniach co do autentyczności znalezionej broni, co doprowadziło do aresztowania Petera Webba, który niedługo potem zginął. Każdy mój krok w tej sprawie wystawiał kogoś na linię strzału. Zamiast rozwiązywać kryminalne zagadki, ja je mnożyłem. Może pora dać sobie spokój, pomyślałem.

Mojego zdenerwowania nie uspokoiła bynajmniej wiadomość, którą usłyszeliśmy na posterunku, że nadeszły wyniki badań DNA Decka. Skóra, którą znaleźliśmy pod paznokciami Jamesa Kerra, nie należała do Declana O'Kane'a.

Tuż po obiedzie dostałem nieoczekiwany telefon.

- Słyszałam o pana partnerce, Williams - powiedział głos. - Gówniana sprawa, ona ma dziecko, prawda?

Dopiero po kilku sekundach dopasowałem do tego głosu twarz.

- Helen?

- Aha. Co u niej?

- W porządku.

- Mam dla pana coś nowego. W sprawie tych kradzionych leków - powiedziała Helen podnieconym głosem.

To przykuło moją uwagę.

- Cynk od uczestnika lokalnego turnieju kick-boxingu. Inny uczestnik został zdyskwalifikowany po wygraniu finałowej walki. Był na sterydach. Okazuje się, że brał ten lek na raka piersi. Ten, którego pobił, złożył skargę.

Ten, pomyślałem.

- Masz nazwisko? - spytałem.

- Darren Kehoe, to...

- Bramkarz z Letterkenny. Znam go.

- Chce pan z nim porozmawiać? - spytała. - Przydałaby mi się pomoc, jeśli jest duży.

Przypomniałem sobie mężczyznę wciśniętego w kanapę w biurze jego szefa i nagranie, na którym wyrzucał Karen Doherty na ulicę wieczorem, kiedy ją zamordowano.

- Będę u ciebie za dwadzieścia minut - powiedziałem.

Podpisałem odbiór radiowozu i pojechałem do Letterkenny. Helen czekała na mnie na tamtejszym posterunku; razem pojechaliśmy drogą obok fabryki słodczy Oldfield do domu Kehoe. Mieszkał w ostatnim szeregowcu w rzędzie. Furtka zwisała na jednym zawiasie, trawnik przed drzwiami porósł chwastami. Drzwi próchniały, farba obłaziła z nich płatami.

Musieliśmy dobijać się przez kilka minut, zanim Kehoe otworzył. Miał na sobie spodnie od dresu i koszulkę. Widać było, że

dopiero wstał. Odruchowo spojrzałem na jego ręce, grube, umięśnione i żylaste, ale całkowicie pozbawione tatuaży.

- Długi wieczór? - spytałem.

Popatrzył na mnie bez wyrazu.

- Wcześniej rano - burknął, a potem odwrócił się i zniknął w głębi domu, zostawiając otwarte drzwi jako zaproszenie, żebyśmy podążyli za nim.

Poszliśmy do kuchni. Kiedy mówiliśmy, zalał sobie mlekiem płatki w misce i spróbował znaleźć w zlewie czystą łyżkę. W końcu wybrał najmniej brudną, odwrócił się do nas i zaczął łapczywie jeść. Kiedy się odzywał, miał pełne usta.

- Chodzi o tę dziewczynę? - spytał.

- A powinno?

Wzruszył ramionami.

- Może, jak chcecie. Ja nic nie wiem.

- Nie - powiedziałem. - Chodzi o coś innego.

- Niedawno brał pan udział w zawodach kick-boxingu, prawda? - spytała Gorman.

Natychmiast przestał jeść i pytająco uniośł brew.

- A co?

- Podobno został pan zdyskwalifikowany.

Odstawił miskę na blat i oparł się o niego, rozplaszczając swoje wielkie dłonie na krawędzi.

- No i co z tego?

- Dlaczego został pan zdyskwalifikowany? - spytała Helen.

- Skoro pani pyta, to pewnie pani wie. Ale to nie jest sprawa dla policji.

- To niezupełnie prawda, panie Kehoe - powiedziałem. - Branie sterydów to jedno, branie kradzionych leków na raka to coś zupełnie innego.

- Co?

- Nolvadex, tak to się chyba nazywa. Lek na raka piersi, który również u pana wykryto. Skąd pan go wziął?

- Aco?
- Tydzień czy dwa temu ukradziono pewną jego ilość z apteki w Lifford. Ponieważ jest pan pierwszą osobą w okolicy, u której go znaleziono, podejrzewamy, że musi pan coś wiedzieć o kradzieży.

Kehoe zbladł. Wodził wzrokiem od Gorman do mnie i z powrotem, z tępą miną.

- Nie ukradłem ich, dostałem je, przysięgam na Boga.
- Kto je panu dał?
- Nie wiem.
- Jak to się dobrze składa - zakpiłem. - To nie pan, nic pan nie wie. Kto by pomyślał, jeszcze jeden niewinny człowiek, niesłusznie oskarżony.

- Nie, przysięgam - powtórzył z takim przekonaniem, że zacząłem się zastanawiać, czy nie mówi prawdy. Nie przypisywałem mu dość sprytu, by potrafił tak przekonująco kłamać. - Jeden gość dał mi to na zawodach.

- Kto? - spytałem.
- Nie wiem.
- Pieprzenie, Darren. Nazwisko albo pana aresztujemy, w tych zasranych spodniach od dresu, jak będzie trzeba.

Kehoe spanikował, oczy miał okrągłe i przerażone.

- Proszę, nie. Thompson mnie wyleje, jak mnie aresztujecie. Tu chodzi o moją kontrolę złości.

- Co? - spytałem z niedowierzaniem, a Kehoe wyjaśnił.

Kehoe zaczął trenować kick-boxing w szkole. Szło mu całkiem nieźle w lokalnych zawodach, aż skończył dziewiętnaście lat. Wtedy przestał robić postępy. Nieważne, jak ciężko trenował, jak skrupulatnie układał dietę, nie rozwijał się dalej, nie miał tego czegoś, co mieli jego rywale.

Wtedy, któregoś wieczoru, po kolejnych przegranych zawodach w Newry, ktoś mu poradził, że powinien spróbować sterydów. Bez nich nic więcej nie osiągnie, powiedziano mu. Po tygodniu wahania

Kehoe kupił w Internecie porcję sterydów dla kulturystów. Efekty były zadziwiające. Czuł się lepiej niż kiedykolwiek, jego siła wydawała się wykraczać poza możliwości jego mięśni, znów zaczął się pojawiać na listach zwycięzców. Jednak jednym z efektów ubocznych było to, że Darren coraz częściej tracił panowanie nad sobą i stawał się coraz brutalniejszy. Nazywał to „sterydowym szałem”. Miarka się przebrała, kiedy pobił nastolatka rozrabiającego w klubie, w którym pracował - chłopak poleżał miesiąc na intensywnej terapii. Zgadając się na zajęcia na temat kontroli złości, Kehoe uzyskał wyrok w zawieszeniu i nadzór kuratora zamiast odsiadki. Nie tykał sterydów przez cały okres zawieszenia, który skończył się pół roku temu.

Oczywiście chciał znów startować w zawodach, więc wrócił do sterydów, choć w mniejszych dawkach, żeby nie dopuszczać do poprzednich napadów szału. Tym razem jednak dotknęły go inne efekty uboczne: moobsy. To na tę dolegliwość inny zawodnik dał mu tamoxifen podczas niedawnego turnieju.

Kehoe mówił, a kolejne fragmenty układanki odnajdywały swoje miejsce. Powinienem był to dostrzec wcześniej. Zapytałem go o sterydowy szał.

- To ma jakiś związek z hormonami - wyjaśnił. - Łatwo przez nie stracić panowanie nad sobą. Trochę jak niewiarygodny Hulk. Człowiek się nie kontroluje. Po prostu ma się ochotę... tłuc - dokończył.

- Na tyle, żeby zabić?

Spojrzał na mnie szczerze, bez cwaniactwa w oczach.

- Tak - powiedział. - Na tyle, żeby zabić.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Darren wypełnił tę ciszę.

- Sterydy były moje - powiedział. - Przyznaję się. To było głupie, ale wyszedłem z wprawy. Myślałem, że mnie szybko podciągną. Ale ten gość jakby wiedział, że je biorę. Zauważył, co mam na kłacie, mówił, że to „sucze cyce”. - Zerknął na Gorman i zawstydzony pochylił głowę. - Powiedział, że może mi sprzedać coś,

co mi pomoże nad nimi zapanować. Kupiłem tylko jedno opakowanie, przysięgam. Mam je na górze.

Wybiegł z kuchni. Ruszyłem za nim, na wypadek gdyby próbował uciekać, ale skręcił na schody i usłyszeliśmy nad sobą łomot jego kroków. Wrócił z na wpół opróżnionym opakowaniem.

- Sprawdź u Christine Cashell, czy to było z tej samej partii - powiedziałem do Gorman i podałem jej pudełko. W końcu to była jej sprawa.

- Kim był ten człowiek? - spytała.

- Przysięgam, nie wiem. Ludzie od zawodów będą mogli wam powiedzieć, chyba startował.

- Trochę to naciągane, że kupił pan leki od kogoś, kogo nigdy wcześniej nie widział - powiedziała Gorman. - Mógł panu wcisnąć cokolwiek.

- Znam go z widzenia - zaprotestował Kehoe. - Widywałem go w klubie. Wielki, łysy facet. Z tatuażem na ręku.

- Jakim tatuażem? - spytałem, prostując się.

- Tym z poczty głównej, Cuchulainem, zdaje się, na drzewie, z krukiem na głowie.

Helen Gorman pojechała prosto na posterunek w Letterkenny, żeby skontaktować się z człowiekiem, który według Kehoeego organizował zawody w Derry. W najlepszym razie podałyby nam nazwisko; w najgorszym listę uczestników, dzięki której moglibyśmy zidentyfikować naszego podejrzanego. Tak czy inaczej rozwiązanie sprawy kradzieży narkotyków, morderstwa Karen Doherty i ataku na Rebeccę Purdy zależało od tego, czy uda nam się szybko ustalić to nazwisko. Kiedy Gorman się tym zajmowała, mnie przyszły do głowy dwa możliwe źródła informacji.

Doktor John Mulrooney pił właśnie swoją popołudniową herbatę, kiedy wpadłem. Wytłumaczyłem mu, o co chodzi i co powiedział nam Kehoe. Słuchając mnie, kiwał głową.

- Sterydowy szal to jak najbardziej znane zjawisko - powiedział. - Generalnie dochodzi do niego w przypadku skrajnego uzależnienia od sterydów. Podczas gdy ty czy ja moglibyśmy po prostu trochę się zezłościć, ale nad sobą panować, ci ludzie wybuchają. I, oczywiście, ponieważ są na sterydach, za tym szalem stoją potężne mięśnie. Dlaczego cię to interesuje?

- Uważam, że człowiek, który zabił tę Doherty, był na sterydach. Rysopis, który dała nam Rebecca Purdy pasuje do tego, jak Kehoe opisał swojego sprzedawcę.

- Oczywiście, jednym z fizycznych efektów ubocznych sterydów są moobsy, Ben - wyjaśnił Mulrooney. - Sterydy sprawiają, że ołbrzymie ilości męskiego hormonu płciowego, testosteronu, wpływają na maskulinizację ciała. Można oczekiwać powiększenia zarostu twarzy, obniżenia głosu, zwiększonego libido.

- Tu może być problem. Nasz facet nie daje sobie rady, według Rebecki Purdy. Próbował, ale nie mógł... no wiesz.

Mulrooney wstał i oparł się o krawędź biurka; z ekscytacji zaczął mówić coraz głośniej. Mówiąc, kiwał palcem, żeby podkreślić swoje słowa.

- Cóż, widzisz, to też by się zgadzało. Za dużo testosteronu i ciało zaczyna przekształcać go w estrogen. Który prowadzi do feminizacji.

- Moobsy - wtrąciłem, kiwając głową na znak, że nadążam za jego rozumowaniem.

- Otóż to. A także impotencja - dodał z uśmiechem. - Jeśli ten gość kradnie tamoksifen, żeby zmniejszyć sobie moobsy, istnieje spore prawdopodobieństwo, że cierpi też na impotencję.

- Więc podrywa dziewczynę. Zabierają w jakieś ciche miejsce, ale nic więcej mu nie wychodzi. - Dokończyłem prawdopodobny scenariusz. - To by tłumaczyło nieużyta prezerwatywę, którą znaleźliśmy przy zwłokach Karen Doherty.

- Traci panowanie nad sobą, wybuch, tłucze ją na miazgę - podjął Mulrooney. - A jeśli jest bokserem, czy w tym wypadku

kick-boxerem, na sterydach, to z pewnością wyjaśnia obrażenia, jakie jej zadał.

- Dzięki, John - powiedziałem, wstając.
- Ben - zawołał Mulrooney, kiedy doszedłem do drzwi. - Jeśli staniesz z nim twarzą w twarz, zastrzel go, zanim podejdziesz za blisko. Rozedrze cię na strzępy i nawet nie będzie o tym wiedział.

Potwierdziwszy przed sobą prawdopodobny scenariusz napaści na Karen Doherty i Rebeckę Purdy, musiałem przełknąć dumę i porozmawiać z jedyną osobą, która mogła mi pomóc.

Peter McDermott tynkował jeden z domów na osiedlu Hannonia, kiedy przyjechałem. Słońce stało wysoko, rzadkie, poszarpane chmurki nie ograniczały w żaden sposób lejącego się z nieba żaru. Zdjąłem marynarkę i krawat, ale wciąż czułem się za grubo ubrany.

McDermott był nagi od pasa w górę, skórę miał śliską od potu, na jego plecach przeżyły się mięśnie. Kiedy podszedłem, obejrzał się na mnie przez ramię, ale nie przerwał pracy.

- Panie McDermott, zastanawiałem się, czy moglibyśmy zamienić parę słów.

- Nie mam absolutnie nic do powiedzenia - odparł, wciąż na mnie nie patrząc. - Nie wiem nic o żadnych kradzionych lekach, pobitych dziewczynach ani niczym innym, w co chcielibyście mnie wrobić.

- Właściwie chciałem poprosić pana o pomoc - powiedziałem. To go zaciekawiło.
- A ja miałbym panu pomóc, bo...?
- Ktoś, kto brał udział w waszych zawodach kick-boxingu, zabił Karen Doherty. Wielki facet, łysy, z tatuażem Cuchulaina na ręku. Coś to panu mówi?

Jeśli mówiło, McDermott nie dał tego po sobie poznać. Popatrzył na mnie, mrużąc oczy od słońca.

- A dlaczego miałbym panu pomóc?
- Otumanił, próbował zgwałcić i pobił piętnastoletnią dziewczynkę, panie McDermott. Wiem, że to nie był pan, ale musi pan zrozumieć, nie mogę pozwolić, żeby to się powtórzyło, i czekać. Muszę znaleźć winnego, zanim znów to zrobi.

- Umie pan tynkować, panie inspektorze?
- Nie - odparłem, trochę zaskoczony.
- Czyli nie jest pan tynkarzem.
- Nie - zgodziłem się.
- A ja nie jestem gliną. Niech się pan więc odpieprzy i zajmij swoją robotą sam. Ja nic o tym nie wiem.

Przez chwilę patrzyłem na niego tępo ogłuszony takim brakiem podstawowych ludzkich odruchów. W końcu zebrałem myśli.

- Jak panu poszło? - spytałem.
Moje pytanie go zaskoczyło.
- Odpadłem w finale. Wygrałem przez dyskwalifikację.
- Pobił pana Darren Kehoe? - spytałem.
- Tylko dlatego, że był na prochach - splunął McDermott. - A skoro już tacy z nas kumple, słyszałem, że pana przyjaciółka miała wypadek?

Po jego tonie nie potrafiłem ocenić szczerości tego pytania.
- Zgadza się - powiedziałem.
- To nie byłem ja, zanim o to też mnie pan oskarży.
- Pomoże mi pan? - spytałem, nie chcąc już więcej się przymi-
lać.
- Chciałbym. Ale swoje już zrobiłem.
- Ale musi pan znać kogoś, kto może mi pomóc. Ktoś z pana znajomych na pewno kojarzy tego faceta.

Ale McDermott skończył już rozmowę i wiedziałem, że cokolwiek jeszcze powiem, jego to nie wzruszy.

Kiedy wróciłem na posterunek, Gorman już tam była z listą uczestników. Było na niej czternastu kick-boxerów, spisanych

alfabetycznie według nazwisk. Co najważniejsze jednak, ich imiona były skrócone do pierwszych liter, poza tym nie było tam żadnych dodatkowych informacji oprócz numerów telefonów.

- Spytałam organizatora, czy rozpoznaje go z opisu. Powiedział, że on tylko brał pieniądze i wręczał nagrody. Obiecał, że popyta - wyjaśniła Gorman przepraszającym tonem.

Przebiegłem wzrokiem listę, jakby nazwisko podejrzanego mogło się w jakiś sposób samo uwidocznic; byli tam Kehoe i McDermott. Poza nimi jednak nikt się nie wyróżniał: Atkins, Doran, Gedeon, Johnston, Kerlin, McCready, McLaughlin, Mullan, Montgomery, O'Neill, Wilson.

- W takim razie to któryś z tych dwunastu - stwierdziła Gorman, jakby czytając mi w myślach. - Kehoe i McDermott odpadają.

- Nie możemy do nich zadzwonić - powiedziałem. - Winny raczej się nie przyzna, że ma na rękę tatuaż z Cuchulainem po tym, jak prawie go złapaliśmy w zeszłym tygodniu w Manhattanie.

- A gdybyśmy poprosili ich, żeby przyjechali na posterunek, na rozmowę? Ten, który będzie miał coś do ukrycia, nie przyjedzie.

- Za długo by to trwało. Możemy wyeliminować nietutejsze numery telefonów. Kehoe mówił, że kojarzy tego faceta z siłowni, to by sugerowało, że tamten mieszka w okolicach Strabane, Derry, Donegalu. Wszystkich mieszkających dalej na razie zostaw. Potem siądziemy do książek telefonicznych z Północy - zaproponowałem. - Wyszukamy nazwiska i numery, żeby ustalić adresy. I odwiedziemy ich jednego po drugim.

Jak się okazało, nie doszło nawet do tego. Piętnaście minut później zadzwonił Jim Hendry. Cribbins chciał pogadać.

Spotkaliśmy się w tym samym barze co ostatnio. Cribbins zmierzył Gorman spojrzeniem od stóp do głów, kilka razy, potem odwrócił się do mnie.

- Inna niż ostatnio.

- Zgadza się - powiedziałem. - Podobno masz coś dla nas.
- To będzie kosztowało więcej, niż myślałem. Musiałem zadać sobie sporo trudu, żeby dotrzeć do nazwiska, które wam dam - oznajmił Cribbins.

Byłem na to przygotowany, Hendry mówił, że to jego stała zagrywka.

- Rozumiem - odparłem, starając się nie zdradzić głosem zniecierpliwienia. Położyłem na stole złożoną dwudziestkę, tuż poza jego zasięgiem. Wyciągnął rękę, bez skutku, potem przewrócił oczami i podniósł szklankę soku. Pijąc przez słomkę, wodził wzrokiem od Gorman do mnie i z powrotem, żeby mieć pewność, że patrzymy na jego popisy.

- Nazwisko - zażądałem.

- Z inspektorem Hendrym robi się interesy o wiele przyjemniej - stwierdził Cribbins, przybierając zbolaną minę i puszczając oko do Jima, który odwrócił wzrok, jakby poczuł się niezręcznie.

Miałem dość tych gier. Nachyliłem się do Cribbinsa i przycisnąłem ręką jego dłoń do blatu. Usłyszałem, że oddech uwiązł mu w gardle.

- Ja mam dzieci, Cribbins - szepnąłem mu do ucha. - Od przebywania w tym samym pomieszczeniu co ty robi mi się niedobrze. Więc skończ te gadki i daj mi to pierdolone nazwisko, zanim stracę cierpliwość.

Zobaczyłem, że blednie, niepewny, czy blefuję, czy jestem gotów spełnić swoją groźbę.

- Daniel McLaughlin - powiedział pospiesznie. - To kulturysta i tak dalej. Metr siedemdziesiąt pięć, łysy, tatuaż Cuchulaina na lewym ręku. Chodzą pogłoski, że handluje jakimiś niegroźnymi prochami, głównie sportowymi.

- Kto to jest? - spytałem. Nazwisko nic mi nie mówiło.

- To mechanik, pracuje w salonie w Letterkenny.

Nagle wszystko zrozumiałem. Przypomniałem sobie, co widziałem, wychodząc z salonu Decka - jego młodego asystenta rozmawiającego z mężczyzną o grubym karku w kombinezonie.

- Wiem, kto to - powiedziałem. - I chyba wiem, gdzie go znaleźć.
- Nigdy o nim nie słyszałem - stwierdził Hendry. - Po naszej stronie nie wypłynął.
- Ani po naszej, aż do teraz.
- Przeprowadził się tutaj jakiś czas temu. Niedawno umarł jego szwagier - dodał Cribbins, popijając sok przez słomkę i patrząc na naszą trójkę spod grzywki.
- Kto? - spytałem; serce już mi przyspieszyło.
- Ten wykładowca, co się powiesił, Weaver, Webber. Coś takiego - odparł wyniośle, lekceważąco odrzucając głowę w tył.

21.

Środa, 16 czerwca

Tego samego wieczoru cztery radiowozy Garda zatrzymały się na podjeździe domu Sinead Webb. Cała fasada w wieczornym świetle wyglądała jeszcze bardziej kiczowato, podkreślona pomarańczowymi reflektorami rozstawionymi na skraju trawnika. Ekipa z NB-CI przyjechała własnym samochodem. Razem z nimi było nas ośmioro policjantów; troje przeszło za dom, na wypadek gdyby McLaughlin próbował uciekać. Przed garażem stało zaparkowane zielone bmw, z osobistą, jak mi się wydawało, tablicą rejestracyjną „BMW 6”. Potem jednak dotarło do mnie, że to nie były osobiste numery, tylko tablica z salonu. McLaughlin pożyczał samochody z salonu Decka i brał je sobie na wieczory. To by tłumaczyło, dlaczego każdy świadek widział go w innym wozie.

Zapukałem do drzwi kilka razy, zanim Sinead Webb otworzyła. Miała na sobie dzinsy i pasiastą koszulkę; włosy zaczesła do tyłu,

twarz miała wychudzoną i pokrytą plamami.

- Panie inspektorze, co się stało?

- Chciałbym porozmawiać z pani bratem, pani Webb. Danielem McLaughlinem. Jest tutaj?

Odwróciła wzrok, zauważywszy liczbę policjantów pod domem. Nie odsunęła się jednak od drzwi.

- W związku z czym?

- Z wieloma rzeczami, pani Webb. Byłoby naprawdę łatwiej dla wszystkich zainteresowanych, gdyby pani współpracowała. Mamy powody sądzić, że on tu w tej chwili jest. Zgadza się?

- Nie, nie ma go - odparła. - Nie widziałam się z nim od dość dawna.

Pokiwałem głową niezaskoczony jej odpowiedzią.

- Rozumie pani, że musimy przeszukać dom, pani Webb. Mam tu nakaz, jeśli chce pani go zobaczyć.

Kiedy mówiłem, pozostali wyminęli nas i weszli do środka. Dempsey podzielił swoich ludzi, wysyłając ich w różne części domu.

Sinead Webb wzięła kartkę, którą jej podałem, narzekając trochę na takie naruszenie prywatności i rodzinnej żałoby, choć bez przekonania.

Stałem z nią w korytarzu, a między pokojami biegali ludzie. Na górze słyszałem odgłosy przesuwanych po podłodze mebli i trzaskanie drzwi. Plan zakładał najpierw szybkie sprawdzenie pomieszczeń, na wypadek gdyby McLaughlin tam był. Gdyby to nic nie dało, zamierzaliśmy przeprowadzić dokładniejsze przeszukanie i rozejrzeć się za czymś, co mogłoby łączyć McLaughlina z Karen Doherty albo Rebecką Purdy.

Ktoś zawołał z góry; pobiegłem tam, przeskakując po dwa stopnie naraz. Sinead Webb została, więc domyśliłem się, że jej brata raczej nie ma na piętrze. Nie próbowała go ostrzec, zatrzymać

mnie, jak to często robią krewni w daremnej próbie kupienia swoim ukochanym choć kilku sekund przewagi.

Sierżant Deegan znalazł pokój McLaughlina, choć jego samego tam nie było. W rogu, obok szafy, leżał zestaw hantli. Szafa była pustawa: kilka par dżinsów, spodnie, koszule, buty. Obok łóżka leżał stos magazynów kulturystycznych, pod nimi kilka pism pornograficznych. Przy oknie stała komoda, na niej butelki płynu po goleniu, dezodoranty i tym podobne. Między nimi znaleźliśmy kilka opakowań tabletek: w jednym rozpoznałem tamoksifen, taki sam, jak ten, który dał nam Kehoe. Pozostałych nie znałem, ale McLaughlin najwyraźniej przyjmował najróżniejsze środki, żeby nabrać masy i jednocześnie powstrzymać efekty uboczne.

- Zapakujcie wszystko - powiedziałem. - Zwłaszcza wszystkie adidas. Dajcie je Helen Gorman. - Potem dodałem: - Musi tu być tego więcej. - Machnąłem opakowaniem tamoksifenu. - Chcę tu mieć techników, najszybciej jak się da.

Przyszło mi do głowy, że najlepiej będzie aresztować także Sinead Webb. Trudno było mi uwierzyć, że jej brat napadł dwie kobiety, prawdopodobnie miał ich krew na ubraniu, a ona tego nie zauważyła.

Kiedy zszedłem na dół, Dempsey z nią rozmawiał i próbował przekonać, że w najlepszym interesie jej brata leży, żebyśmy zabrali go już dzisiaj, bez awantur. Słuchając go, jeszcze raz odtworzyłem w pamięci wszystko, co było w pokoju McLaughlina. Czegoś tam brakowało. Wyobraziłem go sobie znów w salonie Decka, łusą głowę, gruby kark wystający z brudnego kombinezonu. Kombinezon! W jego pokoju nie było kombinezonów. Ale dlaczego miałyby być? Takie coś zostawia się przecież w garażu.

Postukałem Dempseya w ramię.

- Chodź - powiedziałem. - Mam pomysł, gdzie on może być. Sinead Webb ruszyła za nami.

- Proszę tu zostać, pani Webb - dodałem, wskazując jednej z policjantek, żeby z nią została.

Za domem wciąż stało trzech mundurowych mających dopilnować, żeby McLaughlin nie uciekł przez pola przylegające do działki Webba - te same, na których Patterson i Colhoun znaleźli swoje fanty. Zacząłem się zastanawiać, czy faktycznie nie widzieli wtedy kogoś kryjącego się w zaroślach; czy może moje podejrzenia nie były błędne.

- Jest coś? - szepnąłem do mundurowego najbliżej nas, kiedy wyszliśmy tylnymi drzwiami.

Pokręcił głową. Gestem kazałem mu iść za nami.

Boczne wejście do garażu było otwarte; sam garaż był pogrążony w ciemnościach. Samochód Sinead Webb, stara Vectra, którą widziałem podczas swojej pierwszej tu wizyty, stał na hydraulicznym podnośniku, z podniesioną maską. Dookoła leżały porozrzucane narzędzia. Przykucnąłem i zajrzałem pod podwozie.

Dempsey obszedł wóz z drugiej strony, z pistoletem w uniesionej ręce. Po jego lewej, wzdłuż tylnej ściany, stał długi stół warsztatowy, zavalony częściami silnika i szmatami. Przypomniała mi się znów szmata wyciągnięta z rury wydechowej mojego wozu i nieprzytomna Caroline. Obok warsztatu, na wprost Dempseya, stało kilka dużych metalowych szafek. Dempsey podszedł do pierwszej, której drzwi były lekko uchylone. Otworzył je czubkiem buta. Nic.

Kiedy ruszył dalej, zauważyłem leżące na skraju stołu papierosy i mosiężną zapalniczkę zippo. Pomachałem do Dempseya i pokazałem mu je. Zerknął na nie, potem odwrócił się do mnie i pokiwał głową na znak, że rozumie. Sięgał właśnie do drzwi drugiej szafki, kiedy te otworzyły się z trzaskiem. Wytrącony z równowagi przez skaczącego na niego Daniela McLaughlina Dempsey padł na ziemię, upuszczając pistolet, który wypalił w sufit. Uchyliłem się odruchowo. McLaughlin tymczasem dopadł drzwi, z wielkim

kluczem francuskim w rękę, i stanął twarzą w twarz z mundurowym, któremu kazałem iść z nami - o ile pamiętałem, nazywał się McGuigan. Policjant nie wiedział, jak zareagować, uniósł ręce, żeby osłonić głowę. Kiedy sięgałem po broń, McLaughlin zamachnął się kluczem. McGuigan runął na ziemię, a Daniel wypadł na zewnątrz.

Podbiegłem do policjanta i usłyszałem krzyki na zewnątrz; dwaj czekający tam strażnicy zaalarmowali innych o obecności McLaughlina. Usłyszałem, jak ten głośno ryczy, a potem dobiegł mnie mdlący odgłos metalu wbijającego się w ciało. Zaraz później rozległo się trzaśnięcie drzwi samochodu i ryk odpalanego silnika bmw. McLaughlin wrzucił bieg i wcisnął gaz do dechy; samochód skoczył do przodu, strzelając spod kół żwirem, który załomotał o drzwi garażu. Pobiegłem za nim; tylne światła zniknęły za zakrętem podjazdu. Po lewej jeden z policjantów leżał na ziemi i krwawił z rozcięcia na boku szyi, gdzie trafił go McLaughlin. Jego kolega kuczał obok i przyciskał ręce do rany, usiłując zatamować krwawienie.

Pobiegłem do swojego samochodu i wskoczyłem do środka. Zanim uruchomiłem silnik, Dempsey siedział już w fotelu pasażera i zapinał pasy; na czole rosła mu już opuchlizna wielkości męskiej dłoni.

- Zajebię drania - warknął.

Na końcu podjazdu zahamowałem, nie wiedząc, w którą stronę jechać. Po lewej ulica ciągnęła się do Lifford; biegła prosto i nie widać było na niej żadnych samochodów. McLaughlin miał nad nami przewagę i możliwe, że zdążył już nam zniknąć z oczu. Pomyslałem jednak, że pojechałby raczej w prawo, bo droga w tym kierunku zakręcała już kilkaset metrów od wjazdu na posesję Webba. Tam więc pojechaliśmy. Dempsey skontaktował się przez radio z posterunkiem, wzywając wsparcie, wysłał też kogoś, żeby zablokował most w Lifford, na wypadek gdyby McLaughlin próbował przekroczyć granicę.

Ja jednak zacząłem podejrzewać, że wiem, gdzie on jedzie. Jedna z bocznych dróg niedaleko Clady zaprowadziłaby go na Północ szybko i bez ryzyka, że utknie w korku albo wpadnie na policję. Mógł podejrzewać, że jeśli go szukamy, kažemy zablokować główne drogi. Szkoda, że sami na to nie wpadliśmy, pomyślałem.

Całym ciężarem ciała nadepnałem na pedał gazu; wskazówka prędkościomierza drżała tuż pod stu pięćdziesięcioma kilometrami na godzinę. Dempsey chwycił się deski rozdzielczej, mrużąc oczy i wypatrując w oddali McLaughlina. W końcu na długiej prostej chyba go zobaczyliśmy; jego tylne światła skakały z jednego pasa na drugi, a droga na szczęście o tej porze była pusta.

Tak jak się spodziewałem, zobaczyłem błysk świateł stopu i bmw ostro skręciło w lewo, w drogę prowadzącą przez Clady na Północ. McLaughlin musiał jednak źle ocenić zakręt i wypadł z niego, wpadając w poślizg na trawie. Przez kilka chwil przez chmurę kurzu nie było widać, czy się rozbił. Potem pył opadł i zobaczyliśmy, że cofa się, żeby skręcić jeszcze raz. Ten manewr kosztował go jakieś pół minuty; wystarczająco dużo, żebyśmy zblżyli się na tyle, by zidentyfikować jego samochód. Oczywiście sam musiałem zahamować, żeby nie wypaść z drogi tak samo jak on, co pozwoliło mu odzyskać trochę przewagi.

Droga, którą wybrał, przekraczała rzekę Finn wąskim, ceglanym mostem z zatokami do mijania. Modliłem się, żeby tam utknął. I moje modlitwy zostały wysłuchane. Kiedy skręciliśmy na skrzyżowaniu, zobaczyliśmy korek. Zielone bmw stało porzucone na końcu kolejki, z wciąż pracującym silnikiem i szeroko otwartymi drzwiami po stronie kierowcy. McLaughlin próbował przekroczyć granicę pieszo.

Z piskiem opon zahamowaliśmy za jego samochodem. Kierowca auta stojącego przed bmw wysiadł i przechylał się przez barierkę mostu. Kiedy podszedłem, pytająco uniosłem rękę.

- Tam jest - powiedział bezgłośnie i przesadnie wyraźnie wskazał pod most.

McLaughlin szybciej przebiegłby górą, ale kiedy popatrzyłem przed siebie, zrozumiałem, dlaczego musiał iść dołem: most był zablokowany przez punkt kontrolny PSNI.

Do rzeki prowadziły dwie ścieżki, po jednej z każdej strony drogi. Dempsey pobiegł już na lewo, gdzie wskazał kierowca. Ja wziąłem prawą; obie spotykały się pod mostem.

Ścieżka była zarośnięta chwastami i malinami; owoce były małe, twarde i zielone. Przedzierałem się przez nie, najszybciej jak umiałem. Było dla mnie jasne, że McLaughlin tędy nie przechodził, ale skoro dotarłem tak daleko, nie chciałem się cofać.

Powietrze pod mostem było chłodne, wilgotne i cuchnęło gnijącymi liśćmi. Powierzchnię wody ledwie marszczył sła biutki powiew. Hałasem spłoszyłem czaplę, która wzbiła się w powietrze. Zacząłem już podejrzewać, że poszliśmy w złą stronę, kiedy usłyszałem plusk i krzyk Dempseya. Spojrzałem w prawo i zobaczyłem McLaughlina, w dzinsach i białej koszulce, który wybiegł pomiędzy drzew i brodził w wodzie. Przechodząc pod mostem, wyszedłby prosto na PSNI. Przeciwległy brzeg na kilkaset metrów w obie strony był zagrodzony drucianą siatką. McLaughlin najwyraźniej zamierzał przejść w górę nurtu do końca ogrodzenia.

Ruszyłem za nim. Wetknąłem pistolet za spodnie i wskoczyłem do wody. Musiałem zмагаć się z dość mocnym przydennym prądem, stopy ślizgały mi się na śliskich kamykach. Trzymałem się jak najbliższej brzegu. McLaughlin był pośrodku rzeki, żeby wyminąć płot, musiał brnąć pod prąd. Stawiał długie, ale powolne kroki, pod ciasną koszulką widać było pracujące mięśnie pleców, potężne i groźne.

Odwrócił się, słysząc plusk wody. Dempsey gdzieś za mną krzyknął, żeby się zatrzymał, ale McLaughlin tylko przyspieszył.

Przesunąłem się bliżej środka koryta. Nogi mnie bolały, serce tłukło się w piersi. Pot szczypał w oczy, w ustach czułem smak soli.

- Jezu, tylko nie panikuj - powtarzałem sobie raz za razem.

McLaughlin dotarł na drugi brzeg i rozpaczliwie szukał dziury w siatce, zamiast iść dalej do końca płotu. Szarpał go, bez przerwy oglądając się przez ramię, usiłował ocenić jego wysokość - według mnie jakies pięć metrów. Był silny, ale też ciężki. Mimo to kilka razy podskoczył i chwycił siatkę, tylko po to, by pod własnym ciężarem osunąć się w dół.

Odwróciłem się i zobaczyłem Dempseya niedaleko za sobą, a za nim kilku policjantów PSNI brodzących w wodzie. W końcu któryś z nas musiał dogonić McLaughlina, a on to wiedział. Zaczął podskakiwać coraz bardziej gorączkowo i prychać. Jego strach był namacalny. Zbliżyłem się do niego i sięgnąłem za plecy po pistolet. Kiedy to zrobiłem, McLaughlin zanurzył swoje wielkie łapska w wodę i wyciągnął ociekającą mułem kłodę. Przerzucił ją z ręki do ręki, jakby nic nie ważyła, a potem rzucił się na mnie.

Nie trafił, ale musiałem szybko odskoczyć. Straciłem równowagę na kamieniach i upadłem. Świat zawirował, wszystkie odgłosy straciły ostrość i nabrały echa. Woda smakowała mułem i czymś jeszcze. Usiłowałem złapać oddech, ale wciągnąłem tylko wodę. Kiedy spróbowałem wstać, poczułem uderzenie w plecy; miałem wrażenie, że pękł mi kręgosłup. Pole widzenia rozpadło się na kawałki i znów scaliło, w głowie mi załomotało, nogi się ugięły. Znów spróbowałem wstać; tym razem kłoda trafiła mnie w żebra. Usłyszałem trzask, wzmocniony przez wodę, ale nie wiedziałem, czy to któreś z moich żeber, czy drewno. Krew w ustach smakowała jak stare monety. Żołądek mi się skurczył i zwymiotowałem do wody, na siebie. Podniosłem wzrok i zobaczyłem McLaughlina unoszącego kłodę nad głowę. Jego grube bicepsy były napięte, mięśnie klatki piersiowej naciągały materiał koszulki tak mocno, że byłem pewny, że trzaśnie. W jego twarzy nie było nic ludzkiego, a mimo to oczy znieruchomiały mu i nabrały narkotycznego wyrazu, jakby ze swojego okrucieństwa czerpał jakąś seksualną przyjemność. Przeraziła mnie ta twarz i nie mogłem myśleć. Uderzyłem go

nisko, pod żebra; rozległo się tylko głuchoe stuknięcie. Jeśli McLaughlin lekko się zgiął, to była jego cała reakcja, chociaż pięść zapulsowała mi bólem. W oczach rozbłysła mu furia, otworzył usta do wrzasku, szykując się do opuszczenia kłody z całej siły na moją głowę.

Wtedy usłyszałem stłumione krzyki, a potem pojedynczy, głucho trzask.

McLaughlin znieruchomiał i spojrzał na swoją pierś, gdzie pod prawym barkiem rozkwitły czerwone pąki krwi. Patrzył zdumiony na powiększającą się plamę, upuścił kłodę do wody. Grubą dłonią chwycił się za ranę, a potem oczy uciekły mu pod czaszkę i runął na plecy, nie próbując nawet złagodzić upadku.

Plując żółcią i wodą, odwróciłem się i zobaczyłem Dempseya, wciąż stojącego w pozycji strzeleckiej, z pistoletem wymierzonym w nieruchome już ciało McLaughlina, z twarzą ściągniętą i bladą. Za nim pod prąd brnęli policjanci, z bronią trzymaną wysoko nad głowami. Otwierali i zamykali usta i wiedziałem, że coś mówią, ale słyszałem tylko szum rzeki i łopot skrzydeł czapli, bijących majestatycznie błękit nieba do rytmu bicia mojego serca.

22.

Czwartek, 17 czerwca

O świcie spadł deszcz; seria lekkich, letnich mżawek, które spowiły wszystko mgłą, a potem równie szybko minęły. Wysychające ulice przez krótki czas parowały.

McLaughlin leżał na intensywnej terapii w szpitalu w Letterkenny. Kula Dempseya ominęła serce, miał jednak strzaskaną łopatkę i uszkodzone jedno płuco. Chirurdzy operowali go całą noc,

usuwając z płuca odłamki. Miał przeżyć, ale nieprędko moglibyśmy z nim porozmawiać, czy raczej nieprędko mógłby odpowiedzieć na nasze pytania.

Jakiś zabiegany stażysta obejrzał mnie szybko i wysłał do domu tuż po północy. Przedtem zajrzałem do Caroline zobaczyć, co u niej i opowiedzieć jej o ostatnich wydarzeniach. Nie spała, oglądała talk-show w telewizji. Wcześniej rozmawiała ze swoim synem Peterem; Debbie przywiozła go do niej taksówką. Podziękowała mi, a zwłaszcza mojej żonie, za opiekę nad małym. Nie była zainteresowana rozmową o pracy, spytała tylko, czy ustaliliśmy, kto wepchnął szmatę do rury mojego samochodu. Powiedziałem jej, że podejrzewamy o to McLaughlina, a ona popatrzyła na mnie przeciągle, jakby się nad czymś zastanawiała. Potem spojrzała nad moim ramieniem na stojący w kącie telewizor.

- Przepraszam, Caroline - powiedziałem. - To powinienem był być ja. Przykro mi, że tak wyszło.

- Wiem - odparła. Chciała jeszcze coś powiedzieć, potem się rozmyśliła i zamknęła usta.

- O co chodzi? - spytałem, siadając obok niej na łóżku.

- O nic.

- Przestań, Caroline. Co się dzieje?

- Tak sobie myślałam. Gdybym zginęła, co by było z Peterem?

- Peter miałby opiekę, Caroline - zapewniłem. - Poza tym nie zginęłaś. Nie możesz myśleć w ten sposób.

- Ale muszę. Tylko mnie ma. Ja... nie uświadamiałam sobie do tej pory, jaki to z mojej strony egoizm, że się tym zajmuję.

- To nie egoizm, Caroline. To twoja praca. Nie możesz być policjantką, jeśli tak myślisz.

- Nie wiem, czy chcę - oznajmiła. - To znaczy, czy chcę być dalej w policji.

- Wystraszyłaś się, Caroline, to wszystko - stwierdziła, ale podejrzewałem, że to nie takie proste.

Pokręciła głową gwałtownie, krzywiąc się z wysiłku.

- Nie mogę się pozbyć tej uwagi Hendry'ego, wiesz? Tej o amatorze małolatów.

- On nie chciał... - zacząłem, ale mi przerwała.

- Wiem, że on nie chciał. O to właśnie chodzi. Zrozumiałam, że ja powiedziałabym tak samo albo nawet gorzej. Jakby to był jakiś żart. Sama nie wiem. Po prostu nie chcę dać się tak znieczulić, żeby zapomnieć, że to nie w porządku.

- Tak nie będzie, Caroline. Nie jesteś taka. To znaczy, Jezu, popatrz na mnie. - Zaśmiałem się.

- Właśnie na ciebie patrzę. Ile razy dasz się pobić? Co będzie z Debbie? Albo z Penny i Shane'em?

Jej uwaga trafiła w czuły punkt, ale starałem się nie dać tego po sobie poznać.

- Po prostu o tym nie myślę, Caroline - skłamałem.

- I to mówi ktoś, kto bierze leki na ataki paniki. Jak myślisz, skąd one się biorą?

Popatrzyłem na nią i otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć, ale nie przychodziła mi do głowy żadna riposta.

- Nie zrozum tego źle, ale patrzę na ciebie i nie chcę już być taka jak ty. Nie chcę umierać dla ludzi, którzy mają mnie w dupie. Peter za dużo dla mnie znaczy.

Zaczęła płakać, łzy bezgłośnie popłynęły po jej policzkach. Przysunąłem się bliżej i objąłem ją; rozsłochała się na dobre, wyrzucając z siebie wszystko, co się jej przydarzyło. Jej łkania wstrząsały całym mną. I sam poczułem smutek, i znów przypomniałem sobie ostrzeżenie Debbie, że bym nie robił męczenników z własnej rodziny tylko po to, żeby zakończyć sprawę.

Za pierwszym razem, kiedy myślałem, że zginę, naprawdę umrę, płakałem, myśląc o swojej rodzinie: o twarzy syna, o śmiechu córki, o swojej żonie. Teraz, kiedy siedziałem zawstydzony, uświadomiłem sobie, że tego wieczoru, gdy znów stawiłem czoło śmierci, nawet się nie wzdrygnąłem.

Tej nocy źle spałem. Kilka razy we śnie widziałem twarz McLaughlina jakby z góry, tłukącego kłodą wodę wokół siebie, aż zrobiła się czerwona i wypłynęło na jej powierzchnię pozbawione twarzy ciało.

Rano zadzwoniłem na posterunek i powiedziałem, że się spóźniłem. Zjadłem śniadanie z Debbie i dziećmi i pojechaliśmy odwiedzić moich rodziców. Potem zebrałem wszystkie notatki i papiery dotyczące sprawy, które miałem w swoim gabinecie w domu, i zapakowałem je do bagażnika radiowozu, który wzięłem z posterunku. Sprzątałem, aż usunąłem z domu wszelkie ślady policyjnej pracy.

Po południu pojechałem do szpitala w Letterkenny, zabierając ze sobą Petera. Poszedł do mamy, a ja zajrzałem do pokoju Daniela McLaughlina, gdzie zebrali się Dempsey, Deegan i Meaney.

- Co tu robisz? - spytał Dempsey. - Twój szef mówił, że raczej weźmiesz wolne, poprosił, żebyśmy zajęli się przesłuchaniem. - Spojrzał na cielsko na łóżku. - Chociaż rozmowa się zbyttno nie klei.

McLaughlin jeszcze się nie wybudził. Leżał podłączony do kilku maszyn popiskujących miarowo, z rurkami w nosie i kablami podczepionymi do palców. Jego pierś unosiła się powoli i opadała. Był niski, ale nadrabiał to masą. Jego mięśnie ramion wyglądały jak spuchnięte i naprężone, mimo że spał. Ręce miał grube i umięśnione, na lewej duży tatuaż z umierającym Cuchulainem, opierającym się o uschłe drzewo, z krukiem na ramieniu, czekającym.

- I co? - spytałem, orientując się, że szepczę.
- Posłałem po wyniki toksykologii. Pobraliśmy też próbkę DNA. Zobaczymy, czy pasuje do innych przestępstw seksualnych. Trudno uwierzyć, że zaczął dopiero niedawno, pewnie wysledzimy całkiem sporo rzeczy.

- Co z toksykologią?

- Wychodzi na to, że sterydy. I ten lek na raka piersi, którego szukaliście. I sporo innych rzeczy, w tym viagra. Po prostu chodziła apteka. Badanie wykazało też obecność narkotyku gwałtu: GBL. Używa się go w przemysłowych rozpuszczalnikach i tak dalej.

Kiwnąłem głową.

- Wiem.

- Zawierają go również środki do czyszczenia alufelg. Cały jego garaż tym ociekał. Będzie mógł twierdzić, że ma go z pracy, ale to i tak kolejna rzecz, która wiąże go z tymi dziewczynami. Do tego jego odciski palców pasują do tych z prezerwatywy znalezionej przy Doherty. Mamy pod dostatkiem dowodów, żeby go zamknąć. O ile ten bydlak w ogóle się obudzi.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę o Sinead Webb, która została wypuszczona, potem o tym, jak zespół z NBCI czuje się w Donegalu („dobrze”), o zmianach w naszych stosunkach z PSNI („obiecujące”) i jakości śniadań w pensjonacie, gdzie mieszkali („okropne”).

W końcu powiedziałem im, że wracam na posterunek. Poprosiłem Dempseya, żeby dał mi znać, jeśli czegoś się dowie, sam obiecałem, że zrobię to samo. Pod drzwiami pokoju McLaughlina do chwili jego obudzenia miał stać mundurowy policjant.

Dempsey poszedł ze mną do Caroline zajrzeć do niej przed wyjściem.

- Myślałem, że ty i ona, no wiesz, coś was łączy - powiedział.

- Ależ nie - odparłem. - Jestem żonaty.

- Wiem - uśmiechnął się. - Może to tylko takie wrażenie. To urocza dziewczyna.

- Tak - zgodziłem się. - Rzeczywiście.

Szliśmy razem przez chwilę w milczeniu. Żaden z nas nie poruszał tematu, który nas najbardziej łączył.

- Przy okazji, dzięki. Za wczoraj. Chyba uratowałeś mi skórę - dodałem.

- Daj spokój - odparł Dempsey, maskując zakłopotanie. - Od tego właśnie jesteśmy, my z NBCI, przyjeżdżamy i ratujemy maluczkich w opresji!

- Mój bohaterze - zażartowałem.
- Żebyś wiedział. - Puścił do mnie oko.

W drodze do domu wpadłem na posterunek, żeby pozbyć się teczek z dokumentami z domu. Wszystko było po staremu: Burgess wciąż garbił się za biurkiem, paru mundurowych robiło sobie kawę i rozmawiało przy tylnym wyjściu, gdzie zbierali się palacze. Nie wiedziałem, czego się spodziewałem podczas swojej nieobecności. Cokolwiek to było, nie wydarzyło się.

Wychodząc ze swojego pokoju, prawie zderzyłem się z Harrym Pattersonem. Był ubrany w cywilne ciuchy, widać przyszedł zobaczyć się z Costellem albo coś zostawić.

Obaj próbowaliśmy wyminąć się bez słowa, ale w wyniku tego pojedynku dobrych manier obaj przesuwali się w tę samą stronę.

- Co z Caroline? - spytał w końcu Patterson, zarzucając próby minięcia mnie bez słowa.

Wytrzeszczyłem na niego oczy, nie wiedząc, czy to przyznanie się do winy, czy zwykłe zainteresowanie.

- Jest ciągle w szpitalu - wyjaśniłem.

Kiwnął głową.

- Słyszałem.

Wyminąłem go.

- Z tym twoim nosem. - Wskazał mnie lekkim ruchem głowy.
- Przepraszam.

Znów przystanąłem, chociaż nie potrafiłem się do niego odwrócić. Usłyszałem, że podchodzi.

- Bardzo przepraszam. Costello mi powiedział, że nic nie mówiłeś. Ja po prostu... po prostu ogólnie zachowałeś się trochę jak fiut.

Jego buńczuczność gdzieś zniknęła. Nie poznawałem go, ale nie mogłem też uwierzyć, że to szczere przeprosiny.

- Dziwne tylko, że tego samego dnia ktoś sabotował mój samochód, Harry. Zabawny zbieg okoliczności.

Patterson podszedł bliżej; na chwilę na powierzchnię wypłynęła znów jego zwykła osobowość.

- Posłuchaj, Devlin - powiedział. - Nie przeginaj. Przykro mi z powodu tego, co się stało Caroline, ale ja nie miałem z tym nic wspólnego, więc nie próbuj teraz rozpuszczać takich plotek.

Przez chwilę patrzyłem mu w oczy, a potem się odwróciłem i odszedłem. Nie potrafiłem znaleźć słów, które dostatecznie oddałyby kłębiące się we mnie myśli i uczucia.

Później tego wieczoru siedziałem w ogrodzie i paliłem papierosa, patrząc, jak słońce znika za wielką wiśnią rosnącą na końcu trawnika. Było tuż po dwudziestej drugiej; nie spodziewałem się, że zapadnie prawdziwy mrok. Niebo miało pozostać ciemnoszare aż do rana. Niedługo dni będą coraz krótsze, pomyślałem, w powietrzu pojawi się ostry zapach jesieni. Na razie jednak mieliśmy przed sobą jeszcze sporo lata.

Z moich rozmyślań wyrwał mnie dzwonek komórki. Nie rozpoznałem numeru, nie skojarzyłem też od razu głosu.

- Mówi Seamus Purdy, panie inspektorze.
- Pan Purdy. Wszystko w porządku?
- Słyszałem w radiu, że kogoś aresztowaliście. Za to, co się stało z Rebeccą. I tą drugą dziewczyną.
- Karen Doherty.
- Tak. Podobno kogoś aresztowaliście. Myślałem, że pan do mnie zadzwoni.

Nie było to oskarżenie, raczej zwykłe stwierdzenie faktu.

- Przepraszam pana - powiedziałem. - Powinienem był zadzwonić. Mamy kogoś na obserwacji w szpitalu. Mamy wszelkie powody uważać, że to napastnik Rebecki. Ale nie wiemy tego na

pewno. Został postrzelony podczas aresztowania i jeszcze się nie obudził. Zadzwoiłem do pana, kiedy mielibyśmy już pewność, że to ten człowiek, którego szukamy - dodałem. - Czy Rebecca będzie mogła go ewentualnie zidentyfikować?

- Kto to? - zapytał Purdy.

- Nie mogę tego panu jeszcze powiedzieć. Ludzie z zespołu pomocy ofiarom poinformują państwa o wszystkim, kiedy tylko będą mogli.

- Powiedział pan, że go postrzeliliście? - powiedział Purdy, raczej pytając, niż stwierdzając.

- Tak, zgadza się.

- Czy on umrze? - Po raz pierwszy okazał żywe zainteresowanie.

- Nie - odparłem. - Nie sędzę, żeby umarł.

- Och. - Był wyraźnie zawiedziony. Potem połączenie zostało przerwane.

Wiedziałem, że nie powiedziałem mu tego, co chciał usłyszeć, ale miałem nadzieję, że świadomość, że winny zostanie ukarany za napaść na jego córkę, przyniesie mu choćby małą ulgę w gniewie. I, jak podejrzewałem, w poczuciu winy, że nie było go przy jego dziecku, kiedy był potrzebny.

Mimo to jego telefon przypomniał mi, że powinienem zadzwonić do Agnes Doherty i powiedzieć jej, że morderca jej siostry nie był już, jak miałem nadzieję, dla nikogo zagrożeniem. Jak się okazało, ona też słyszała o aresztowaniu w radiu.

- Słyszałam, że ktoś został ranny. To pan? - spytała.

- Lekko - odparłem. - Nic, co bym musiał odleżeć w łóżku - dodałem i zaśmiałem się krótko. Moje obrażenia były niczym w porównaniu z tym, jak ucierpiała ona i jej rodzina.

- Przykro mi, że coś się panu stało - powiedziała. - Żona musiała się o pana bardzo martwić.

- Naprawdę, panno Doherty, to nic takiego.

- Dla mnie to ważne - stwierdziła po prostu.
- Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.
- Ja tylko... pomyślałem, że powinna pani wiedzieć, że...
 - Dziękuję za złapanie mordercy mojej siostry, panie inspektorze - powiedziała Agnes Doherty.

Siedziałem potem w ciemności i rozmyślałem nad tym, co powiedziały mi Williams i ona. Wspomniałem wszystko, co się wydarzyło przez ostatnich kilka tygodni, wszystkich, którzy zginęli. Siedziałem sam jeszcze przez parę minut, a potem poszedłem do domu, do swojej rodziny.

23.

Piątek, 18 czerwca

Daniel McLaughlin odzyskał przytomność o piątej trzydzieści rano. O ósmej, po kontroli lekarskiej i rozmowie z prawnikiem, wszechobecnym Gerardem Brownem, był gotów na przesłuchanie w swoim szpitalnym pokoju. Byli tam Dempsey i jego dwóch sierżantów, oprócz mnie, Costella i Helen Gorman, którą zaprosiłem, na wypadek gdybyśmy dowiedzieli się czegoś o kradzieży leków.

Zanim zaczęliśmy, zajrzałem do Caroline. Siedziała w łóżku i jadła śniadanie. Miała nadzieję, że zostanie wypisana przed weekendem. Poprzedniego wieczoru Peter narysował dla niej razem z Debbie kartkę z życzeniami powrotu do zdrowia. Narysował kobietę i dziecko z kresek, a na górze napisał po prostu „Kocham Cię, Mamusiu”.

McLaughlin siedział oparty o poduszki. Szpitalna piżama ledwie obejmowała go w ramionach; plecy miał nagie, a mięśnie napięte. Ręce trzymał na kolanach, splótł palce dłoni. Tatuaż Cuchulaina na jego przedramieniu był wyraźny, kolory żywe. Ale największe wrażenie zrobiła na mnie jego twarz. Była okrutna. Oczy miał zmrużone, o opadających powiekach, jak gad; nos szeroki i płaski, lekko przekrzywiony po jakimś dawnym złamaniu. Jego usta były wąskie, a zęby krzywe. Kiedy nie mówił, drgały mu mięśnie na policzkach.

Jak tylko usiadłem, Dempsey włączył dyktafon i przedstawił wszystkich obecnych w pokoju. Potem wyjaśniłem McLaughlinowi, że jest przesłuchiwany w związku z licznymi poważnymi przestępstwami w okolicy. Nie odpowiedział, poruszał tylko prawie niedostrzegalnie głową, jakby potakiwał.

- Po pierwsze, panie McLaughlin, chcielibyśmy zapytać pana o Karen Doherty.

Przez chwilę patrzył na mnie ze zdumieniem, potem zerknął na prawnika siedzącego obok jego łóżka, potem znów na mnie. Zmarszczył brwi i wydał usta.

- Nigdy o niej nie słyszałem.

Położyłem na łóżku przed nim zdjęcie. Zostało zrobione kilka miesięcy wcześniej, Agnes dała je policjantowi z zespołu pomocy ofiarom.

- Nie znam jej - powtórzył i wzruszył ramionami. Rozluźnił się lekko, a jego mowa zaczęła przekazywać coś, czego nie umiałem wyjaśnić.

- Jest pan pewny? - spytałem, podsuwając zdjęcie bliżej.

- Mój klient odpowiedział już na pytanie, panie inspektorze - zauważył Brown.

- Nie poderwał pan tej kobiety w Letterkenny w poniedziałek, trzydziestego pierwszego maja? - ciągnąłem.

- Wydaje mi się, że już ustaliliśmy, że mój klient nie zna tej osoby, panie inspektorze.

- Ta kobieta, Karen Doherty, została znaleziona martwa na budowie w Raphoe we wtorek pierwszego czerwca - powiedziałem. - Myślę, że słyszał pan o tym w wiadomościach. I sądzę, że pan także ją znał, panie McLaughlin.

- Niech pan sobie sądzi, co pan chce - burknął. - Nigdy jej nie widziałem. - Pociągnął nosem. - Nie jest w moim typie.

- Ktoś dodał do jej drinka rozpuszczalnik do farby w klubie Manhattan w Letterkenny. Taki, jak ten, który znaleźliśmy w pana garażu. - Machnąłem ręką, zanim zdążył zaprotestować. - Wiemy, że był pan w tym klubie. Ochrona zidentyfikowała pana jako stałego bywalca. Myślę też, że omal się tam nie spotkaliśmy tydzień czy dwa temu. Wciąż mam na dowód siniaki.

- Tak, bywam tam. To nie znaczy, że znam tę, jak jej tam.

- Mamy nagranie z kamer ochrony, na którym wsiada do sportowego samochodu. Mamy wyraźne ujęcie ręki kierowcy, z identycznym tatuażem jak pański.

- Mały jest ten świat, co? - zadrwił.

Prawnik położył mu dłoń na przedramieniu; McLaughlin ją strząsnął.

- Jeśli to wszystko, co macie, panie inspektorze, nie widzę powodu, by dłużej mojego klienta zatrzymywać - oświadczył Brown. - To chory człowiek, postrzelony przez *gardai* na podstawie zdjęcia jakiegoś tatuażu. To chyba jakieś żarty.

- Mamy także pana odciski palców z miejsca przestępstwa, panie McLaughlin. Rozpakował pan prezerwatywę, żeby użyć jej podczas gwałtu na tej kobiecie; zostawił ją pan w tym samym pomieszczeniu co zwłoki. Ze swoimi odciskami palców. Poza tym, oczywiście, zostawił pan swoje podpisy na całym ciele Karen Doherty, prawda? - spytałem, kładąc na łóżku przed nim zdjęcia z miejsca przestępstwa.

McLaughlin obejrzał je jedno po drugim, ale jeśli cokolwiek poczuł, nie okazał tego. W końcu obejrzał się na Browna, ale nic nie powiedział.

- Lekarz, który stwierdził jej zgon, uznał, że została pobita z siłą zbliżoną do zderzenia z rozpędzonym samochodem. Takie obrażenia może zadać tylko ktoś o wielkiej sile, panie McLaughlin. I bardzo rozwścieczony.

- Z tego, co zrozumiałem, ta Doherty nie była seksualnie napa-stowana - powiedział Brown. - Zgadza się?

Żaden z nas nie odpowiedział, co było odpowiedzią samą w so-bie.

- Po co mój klient miałby rozpakowywać prezerwatywę, której nie zamierzał użyć? Może leżała tam porzucona innego dnia. Nie macie pewności, że została tam zostawiona w chwili zabicia tej kobiety, prawda?

- Poza tym, oczywiście, zostawił pan w miejscu drugiego prze-stępstwa coś jeszcze: świadka. Rozmawialiśmy z drugą ofiarą, któ-rą próbował pan napastować, panie McLaughlin. Piętnastoletnią dziewczynką, którą również pan pobił. Piętnastoletnią. Powiedziała, że był pan fizycznie niezdolny dokonać zamierzonego gwałtu. To prawda, panie McLaughlin?

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi - odparł szorstko McL-
aughlin.

- Dlaczego bierze pan viagrę, panie McLaughlin? - spytała
Gorman.

- Co? - warknął z taką wściekłością, że nawet Brown drgnął.

- Viagrę. Znaleźliśmy jej ślady w pana krwi. Razem ze stery-
dami. Och, i lekarstwem na raka piersi - ciągnęła. - Jakież wythłu-
maczenie?

- Branie viagry to nie przestępstwo - burknął Brown. -
Przejdźmy może dalej.

- Przestępstwem była kradzież tamoksifenu - odparowała
Gorman. - Porównaliśmy pana adidasy, panie McLaughlin, ze śla-
dem znalezionym na drzwiach apteki w Lifford po tym, jak się do
niej włamano i ukradziono partię leku na raka piersi. Leku, który
znaleźliśmy w pana sypialni i w pana krwiobiegu. Leku, który

sprzedał pan jednemu z uczestników lokalnych zawodów kick-boxingu.

Brown wydawał się całkowicie nieprzygotowany na taki zwrot akcji; ciekaw byłem, o czym tak naprawdę rozmawiał ze swoim klientem przed przesłuchaniem.

- Mam panu opowiedzieć, jak to się wszystko według mnie odbyło, panie McLaughlin? - spytałem. - Moim zdaniem nadużywał pan sterydów, żeby poprawić swoją formę fizyczną. W rezultacie jednak doświadczył pan czegoś, co pospolicie nazywa się moobsami. Na szczęście dowiedział się pan gdzieś, że tamoksifen je zmniejsza; na pewno to właśnie powiedział pan Darrenowi Kehoemu, sprzedając mu lek w zeszłym tygodniu, o czym pan Kehoe zaświadczy. Oczywiście dwoma innymi znanymi ubocznymi skutkami nadużywania sterydów są impotencja i napady szału. Uważam, że tamtego wieczoru poszedł pan szukać kobiety uzbrojony w butelkę rozpuszczalnika. Wypatrzywszy Karen Doherty w Letterkenny, doprawił pan jej drinka i zaczekał, aż oddzieli się od koleżanek. Zabrał ją pan spod klubu i zawiózł na budowę pod Raphoe. Tam próbował pan ją zgwałcić, ale nie był pan w stanie. W szale wściekłości pobił ją pan wystarczająco dotkliwie, żeby ją zabić. Potem spokojnie posprzątał pan po sobie i wyszedł. Powtórzył pan to samo z Rebeccą Purdy. I znów nie był pan w stanie dokończyć zaplanowanej napaści, więc też pan ją pobił, choć na szczęście przeżyła. Później zidentyfikowała pana w klubie Manhattan, tego samego wieczoru, kiedy goniłem pana w zaułku. Prawie przejechał mnie pan srebrnym bmw, którym pan jeździł w dzień aresztowania.

- Czy ta dziewczyna wskazała mojego klienta? - spytał Brown, wysłuchawszy wszystkiego, co mam do powiedzenia i nie dając McLaughlinowi szansy się odezwać.

- Zrobi to, jak tylko pana klient wydobrzeje na tyle, żeby się stawić na posterunku.

Brown kiwnął głową.

- Chciałbym porozmawiać z moim klientem.

Wyłączyliśmy wszystkie dyktafony i wyszliśmy na zewnątrz, zmuszeni dać mu czas, którego zażądał. Gorman, Dempsey i ja zeszliśmy do szpitalnego bufetu na kawę, potem na dwór zapalić.

Gorman była podniecona rychłym zakończeniem jej sprawy; taki przełom dobrze by wyglądał w aplikacji na detektywa. Bez przerwy mówiła, zaciągając się nerwowo papierosem. Zanim ja zgasiłem swojego, ona była w połowie drugiego.

Zadzzwoniła komórka Dempseya. Spojrzał na numer dzwoniącego, po czym odsunął się od nas i zakrył lewe ucho dłonią, żeby lepiej słyszeć. Mamrotał coś w tle, a Gorman dyskutowała o polityce na posterunku i pytała mnie o rozmowę kwalifikacyjną na nadinspektora. Nagle usłyszeliśmy, że Dempsey z ożywieniem przeklina.

Kiedy wrócił do nas, był bardziej podniecony niż poprzednio Gorman.

- No, nie trzymaj nas tak w niepewności - zażartowałem.

- Nie uwierzycie. Dopasowaliśmy próbkę DNA McLaughlina. Ale nie do sprawy seksualnej. Jego cholerne DNA pasuje do tego, które znaleźliśmy pod paznokciami Jamesa Kerra.

Kiedy wróciliśmy do pokoju McLaughlina, panował w nim zupełnie inny nastrój. Zmienił się on jeszcze raz, gdy Dempsey przejął przesłuchanie i powiedział o próbkach DNA. Zrelaksowana poza McLaughlina zniknęła; podejrzewałem, że od początku spodziewał się, że będziemy go o to pytali. Kiedy spytaliśmy o Karen Doherty, wyraźnie się uspokoił. Teraz znów się spiął i chociaż był ranny, zastanawiałem się, jakich zniszczeń mógłby tu dokonać, gdyby znów stracił panowanie nad sobą.

- To chyba zmienia trochę obraz rzeczy - powiedział Dempsey. - Nie sądzi pan, panie McLaughlin?

- To niczego nie dowodzi - zaprotestował prawnik wyraźnie zaniepokojony obrotem spraw.

- Dowodzi mnóstwa rzeczy. Jak inaczej może pan wytłumaczyć, że zabity miał pod paznokciami pana DNA? Przyjaźniliście się?

McLaughlin popatrzył na Dempseya spode łba; bicepsy mimowolnie mu zapulsowały.

- Spokojnie, synu - powiedział Dempsey. - Pamiętaj, co się stało ostatnim razem, jak cię poniosło - dodał, mrugając do niego i klepiąc się w prawe ramię.

- Uważam... - zaczął Brown, ale Dempsey nie dał mu dokończyć.

- Nic pan nie uważa - przerwał i odwrócił się do McLaughlina. - Mamy dowód, że byłeś w miejscu ukrzyżowania, synu. W cholerym Donegalu. I że biłeś młode dziewczyny, i napadałeś na apteki. Będziesz za to wisiał. Do tego mamy jeszcze byłego męża twojej siostry i Declana O'Kane'a, twojego byłego szefa. Coś mi mówi, że jeśli pokopiemy wystarczająco głęboko, powiążemy cię też z tymi sprawami.

- Nie zapominając o napadzie z bronią w rękę w Castlederg, za który Jamie Kerr poszedł siedzieć - dodałem.

McLaughlin na mnie spojrzał.

- Może od razu oskarżcie go o zatopienie „Titanica” - zadrwił Brown.

- Masę ma wystarczającą - odparował Dempsey. - Cóż, panie McLaughlin. Zacznijmy od początku, dobrze? Które przestępstwo chce pan omówić pierwsze?

Brown wyglądał na coraz bardziej spanikowanego.

- Po konsultacji z klientem uważam, że potrzebna nam psychiatryczna ocena jego zdolności do udzielania odpowiedzi na pytania w sprawie tych zarzutów. Zanim przejdziemy dalej, chciałbym, żeby z kimś porozmawiał.

- Dobrze - zgodził się Dempsey, wyłączając dyktafon.

- Skurwiel będzie twierdził, że jest wariatem - warknął, kiedy wyszliśmy.

- Ograniczona odpowiedzialność z powodu narkotyków, być może - powiedziałem. - Dostanie ją?

- To będzie zależało od prokuratora - odparł Dempsey. - Może ją dostać w sprawie morderstwa tej dziewczyny, przynajmniej nie-umyślne spowodowanie śmierci. Ale zabójstwo Kerra to inna sprawa. Ukrzyżowanie nie podpada raczej pod zbrodnię w afekcie.

- Powinniśmy porównać odciski palców McLaughlina z tym częściowym zdjętym z bramy Decka - zaproponowałem. - Dołożylibyśmy mu jeszcze bardziej, gdyby udało się nam udowodnić, że tam był. - Wyjąłem papierosa i poczęstowałem też Dempseya. Helen Gorman pojechała z powrotem na posterunek rozczarowana, że jej wielki przełom się nie zmaterializował.

- Zajmę się tym, jak wrócę - zgodził się.

- Oczywiście, w końcu załatwiliśmy jedno.

- Co?

- Poczcie w Castlederg. Kerr mówił, że w gangu było trzech innych: to Webb, O'Kane, a teraz McLaughlin.

Przed wyjściem ze szpitala zabrałem Caroline i jej rzeczy i zawiozłem ją do nas, gdzie czekał na nią jej syn. Debbie zrobiła dla wszystkich obiad. Caroline nie pytała o postępy w sprawie, nie była także zainteresowana żadnymi plotkami z posterunku. Wiedziałem, że dystansuje się w ten sposób od An Garda i nie byłem zaskoczony, kiedy podczas deseru powiedziała, że postanowiła jakiś czas odpocząć. Omówiła to z Costellem, kiedy był u niej w szpitalu. Dał jej płatny urlop na trzy miesiące.

- Może zmienisz zdanie - powiedziałem - kiedy zaczniesz się nudzić w domu.

Uśmiechnęła się trochę smutno.

- Nie, nie sądzę, Ben. Podjęłam już decyzję. Te trzy miesiące pozwolą mi znaleźć sobie coś innego. Mały jest zbyt ważny, żeby

znów ryzykować coś takiego - powiedziała, mierzwiąc czule włosy Petera. Uśmiechnął się do niej szeroko; była jedynym pewnikiem w jego życiu i rozumiałem jej decyzję.

- Przykro będzie mi cię stracić - dodałem. - Ale zostaniesz w okolicy, prawda?

Kiwnęła głową, ale nic nie powiedziała. Spojrzałem na Debbie, która bardzo delikatnie pokręciła głową, jakby chciała powiedzieć, że bym nie drażył tego tematu. Zresztą i tak nie miałem szansy, bo zadzwonił mój telefon. To był wielobny Charles Bardwell.

- Słyszałem, jak pana kolega w radiu mówił, że zrobiliście znaczące postępy w sprawie Jamiego, inspektorze - zaczął. Wyglądało na to, że Dempsey bardzo zaprzyjaźnił się z lokalnymi mediami.

- Tak, DNA pasuje do podejrzanego, którego aresztowaliśmy za coś innego.

- To ktoś, kogo znam? - spytał.

Wiedziałem, że nie powinienem mu mówić, ale podejrzewałem, że na tym etapie to już raczej nie zaszkodzi.

- Szwagier Petera Webba. Aresztowaliśmy go za zabójstwo dziewczyny ze Strabane. Okazuje się, że jego DNA pasowało do tego, które pobraliśmy spod paznokci Jamiego.

- To fantastyczna wiadomość, panie inspektorze. Dobra robota.

- Cóż, sprawa nie jest jeszcze oficjalnie zakończona - wyjaśniłem - więc niech pan to zachowa dla siebie; on wciąż jest w szpitalu w Letterkenny. Czekamy na opinię psychiatry.

Bardwell zapewnił mnie, że nikomu nie powie, i podziękował mi jeszcze raz.

- Bóg z panem, inspektorze - pożegnał się i rozłączył. Przypomniał mi tym Jamiego Kerra, zgarbionego nad jedzeniem i unoszącego w pozdrowieniu łyżkę od zupy. Miał przynajmniej poczucie, że sprawiedliwości stało się zadość.

Odwiozłem Caroline i Petera do domu tuż po dwudziestej drugiej. Kiedy wróciłem, na naszym podjeździe stał niebieski ford mondeo. Byłem trochę zaskoczony, kiedy wszedłem do domu i zobaczyłem Dempseya siedzącego przy stole w kuchni i rozmawiającego z Debbie. Na mój widok wstał.

- Mam nadzieję, że wybaczysz to najście - przeprosił. - Mam kilka dobrych wiadomości i kilka złych na temat McLaughlina.

Postukał palcem w segregator leżący na stole, jak się domyślałem, zawierający kopie akt McLaughlina.

- Jakie są dobre?

- Dopasowaliśmy jego odciski palców do tego od Decka, więc mamy dowód, że tam był.

- A złe?

Dempsey pokręcił głową.

- To może nic nie znaczyć - wyjaśnił. Okazało się, że ocena psychiatryczna nie poszła dokładnie tak, jak byśmy chcieli. Psychiatra, który ją przeprowadził, uznał, że McLaughlin działał pod wpływem sterydów. Te wprowadziły go w stan sterydowego szału, który, choć nie zwalniał go całkowicie od odpowiedzialności, z pewnością kwestionował jego władze umysłowe.

Z Dempseyem skontaktował się już przedstawiciel prokuratury.

- Mówią, że dostanie najwyżej dziesięć lat przy ograniczonej poczytalności.

- Dziesięć lat - powtórzyłem. - Żartujesz, kurwa.

- Najwyżej dziesięć. Pewnie wyjdzie za pięć, jak będzie dobrze się sprawował.

- Nie pozwolisz na to, prawda?

Wzruszył ramionami, jakby to już nie od niego zależało.

- Teraz sprawa jest w rękach prokuratora - powiedział.

- Pięć lat - powtórzyłem z niedowierzaniem.

Dempsey pokiwał głową.

Kiedy wyszedł, ja i Debbie posprzątałyśmy i położyliśmy się do łóżka. Ale nie mogłem zasnąć. Coś nie dawało mi spokoju, coś związanego z McLaughlinem.

Zszedłem z powrotem na dół i usiadłem w tylnych drzwiach z papierosem. Frank przyglądał się mi i cicho skamlał z obrzydzeniem.

Kiedy tam stałem, zauważyłem, że Dempsey zapomniał akt McLaughlina. Wziąłem je i zacząłem przeglądać.

Nazwisko, adres, data urodzenia. Czytając notatki, zorientowałem się, co nie dawało mi spokoju: najbardziej oczywisty detal, data urodzenia szóstego lutego 1984 roku. W chwili napadu na pocztę w Castlederg McLaughlin miał jedenaście lat. Nie był czwartym członkiem gangu, czyli nie miał powodu zabijać Jamiego Kerra ani Decka, chyba że ktoś mu kazał. Jego siostra, być może - ale Jamie Kerr rozpoznałby z pewnością kobietę jako jedną z członkiń gangu. Czyli polecenie wydał mu ktoś inny: prawdopodobnie ten sam człowiek, który pozwalał, żeby Danny McLaughlin wziął na siebie winę za wszystkie morderstwa związane ze sprawą Kerra. Chłopak i tak miał odsiedzieć swoje za napady na kobiety, co miał do stracenia?

Wchodząc do pokoju, obudziłem McLaughlina. Usiadł niezdarnie na łóżku, wziął komórkę z szafki i mrużąc oczy, spojrzął na wyświetlacz, sprawdzając godzinę. Wyglądał na nieco nieprzytomnego.

- Nie wolno wam - zbuntował się. - Gdzie mój prawnik?
 - Żadnych prawników, Daniel - odparłem. - Tylko krótka rozmowa.
 - Co, kurwa? Hej! Jest tam kto? - krzyknął, przypuszczalnie do mundurowego, który powinien stać pod jego drzwiami.
 - Nikogo tam nie ma, Danny - powiedziałem. - Kazałem im iść na herbatę. Powiedziałem, że dotrzymam ci towarzystwa.
- Spojrzął na mnie z ukosa.

- Czego chcesz? Mój psychiatra mówi, że nie można mi robić problemów.

- Myślałem, że już je masz.

- Co? - spytał, doszukując się obelgi w moich słowach.

- Jesteś za młody na Castleberg, Danny. Miałeś wtedy jedenaście lat. Nie tak?

Wytrzeszczył na mnie oczy i rozdziawił usta.

- Nigdy nie mówiłem, że to ja.

- Nie, to prawda - zgodziłem się. - Ale z drugiej strony, dlaczego miałbyś zabijać Jamiego Kerra? Nie był dla ciebie zagrożeniem, chciał wybaczyć pozostałym członkom gangu. Dostrzegasz, do czego zmierzam?

- Nie mam ci nic do powiedzenia - oznajmił McLaughlin. - Wynoś się z mojego pokoju.

- Spokojnie, wielkoludzie. - Wyczułem, że zaczyna się złościć.

- Nie próbuję cię podejść. Martwię się o ciebie.

- Martwisz się o mnie - prychnął. - Dlaczego?

- Moim zdaniem w gangu z Castleberg były cztery osoby, wliczając Jamiego Kerra. Kerr wiedział, że twój szwagier jest jedną z nich. Poszedł do niego, a potem znaleziono go powieszono. Jamie zauważył Decka w domu twojej siostry i poznał jego dziobatą twarz. Umówił się na spotkanie z Deckiem i ostatnim członkiem gangu. Kerra ukrzyżowałaś ty. - Machnąłem ręką, nie pozwalając mu zaprotestować. - A potem Decko został zastrzelony na własnym podwórku po tym, jak go przesłuchaliśmy. Zostajesz ty, Danny, ale ty jesteś za młody. Ktoś wykorzystywał cię do brudnej roboty. Zgadza się?

- Spierdalaj - warknął.

- Rozumiem, że to „tak” - kontynuowałem. - Sęć w tym, Danny, że ten ktoś bardzo dokładnie po sobie sprząta. Nikt, kto był z nim związany czy mógł go zidentyfikować, nie przeżył. Oprócz ciebie. - Zrobiłem krótką pauzę, żeby to do niego dotarło. - Na razie.

McLaughlin poruszył się w łóżku i podejrzliwie zmrużył oczy.

- Naprawdę uważasz, że ktokolwiek to jest, pozwoli ci tak siedzieć tutaj albo w więzieniu ze świadomością, że możesz go wyspać? Żyjesz na kredyt, Danny - powiedziałem. - Nie łudź się, że jest inaczej.

McLaughlin podparł się w łóżku jedną ręką.

- To tyle? - parsknął. - Spieprzaj.

- Warto było spróbować, Danny - powiedziałem. - Tylko pamiętaj: za każdym razem, kiedy te drzwi się otwierają, to może być twój przyjaciel wpadający z wizytą. Nie bądź frajerem.

- A ty nie bądź fiutem - odparował, a potem położył się na łóżku i zapatrzył w sufit.

Wyszedłem z pokoju, nie oglądając się na niego. Nie wierzyłem, że McLaughlin się przyzna. Ale dokręcając śrubę, miałem nadzieję, że przynajmniej straci trochę zaufania dla swojego zleceniodawcy.

Na korytarzu rozejrzałem się za mundurowym, którego wysłałem do stołówki na przerwę. Nagle poczułem się bardzo zmęczony i podejrzewając, że policjant niedługo wróci, poszedłem do radiowozu i pojechałem do domu.

24.

Sobota, 19 czerwca

Następnego ranka, około wpół do siódmej, obudziło mnie łomotanie do drzwi domu. Zbiegłem na dół, żeby hałas nie budził dzieci, i zanim otworzyłem, wyjrzałem przez okno. Przed wejściem stał Dempsey i patrzył w okna sypialni.

- Ubieraj się - warknął, kiedy otworzyłem.
- Co? - Nie rozumiałem, co się dzieje.
- Masz szczęście, że cię nie aresztuję - powiedział. - Ubieraj się.
- Nie aresztujesz za co? - spytałem, przypominając sobie swoje działania przy samochodzie Decka. Na pewno nie to.
- W nocy ktoś zamordował Danny'ego McLaughlina - oznajmił Dempsey. - A ty byłeś ostatni w jego pokoju.
- Co? - zachłysnąłem się.
- Ktoś poderżnął mu gardło. A teraz ubieraj się, sam będziesz mógł mi opowiedzieć, co tam robiłeś wczoraj wieczorem.

W drodze do Letterkenny wyjaśniłem mu wszystko: moje domysły związane z wiekiem McLaughlina, że nie należał do gangu z Castlederg, i podejrzenia, że ktoś robi z niego kozła ofiarnego. Opowiedziałem, jak przycisnąłem McLaughlina, sugerując, że jego pracodawca może spróbować go usunąć z gry. I że Danny w ogóle się tym nie przejął.

- Kiedy wychodziłeś, czy pod drzwiami był policjant? - spytał Dempsey.

Zrobiło mi się nielecho wstyd.

- Nie, poszedł na herbatę, myślałem, że szybko wróci.
- Zasnął na stołówce. Sprzątacze obudził go o czwartej rano. McLaughlin już wtedy nie żył. Pielęgniarka z nocnej zmiany znalazła go, zanim twój mundurowy wrócił.
- Przepraszam - wyjąkałem.
- Tym razem przepraszam może nie wystarczyć.

Kiedy przyjechaliśmy do szpitala, w holu czekał Deegan, bardzo poruszony.

- Właśnie kogoś złapaliśmy - powiedział do Dempseya, kiedy tylko stanęliśmy w drzwiach. - Na terenie szpitala, miał jeszcze nóż w kieszeni. Zatrzymaliśmy go tutaj.

Poszliśmy za nim do pokoju portiera. W środku grupa policjantów otaczała mężczyznę, leżącego twarzą w dół na ziemi. Meaney klęczał mu na plecach i zakuwał mu ręce w kajdanki. Nieopodal leżał nóż do chleba. Kiedy mężczyznę podniesiono, z przerażeniem zobaczyłem, że to ojciec Rebecki Purdy.

Nasze spojrzenia się spotkały; patrzył mi w oczy przez krótką chwilę, potem opuścił wzrok ze wstydem.

- Przepraszam - powiedział.

Spojrzał na mnie jeszcze raz, błagalnie, kiedy go wyprowadzali do radiowozu, żeby go zawieźć na posterunek w Letterkenny, obok tłumy gapiów zebranych w szpitalnym holu. Pobiegłem za nimi.

- Panie Purdy?

- A co pan by zrobił? - zawołał, kiedy wypychano go za drzwi.

- Co to kurwa miało znaczyć? - spytał Dempsey, trochę rozczłony.

Opowiedziałem mu, kim był. Nie musiałem wyjaśniać, dlaczego zrobił to, co zrobił, nie umiałem też wytłumaczyć, czemu kręcił się niedaleko miejsca zbrodni przez cztery godziny. Chyba że, oczywiście, chciał, żeby go złapano.

Dempsey i ja poszliśmy na górę do pokoju McLaughlina. Ciało już zabrano, policyjni technicy też zrobili swoje. Pod łóżkiem rozlewała się galaretowata kałuża ciemnej krwi, pościel była już sztywna i brązowa od plam. Na szafce obok stał dzbanek z wodą, do połowy opróżniony kubek i telefon McLaughlina. Jego ubrania leżały na krześle w kącie. Poza tym nie było tu żadnych jego rzeczy osobistych: żadnych kartek z życzeniami ani kwiatów, butelek z oranżadą ani koszów z owocami. Odejście Danny'ego McLaughlina z tego świata było anonimowe i samotne.

Mimo jego zbrodni opłakiwałem jego śmierć, sposób, w jaki do niej doszło, i człowieka, który był za nią odpowiedzialny.

Z zamyślenia wyrwał mnie dzwonek telefonu McLaughlina. Kiedy go otworzyłem, na wyświetlaczu był napis „Słaba bateria”. Jednak kiedy wiadomość zniknęła, zobaczyłem kolejną: „Jedno nieodebrane połączenie” o godzinie drugiej dwadzieścia w nocy.

- Czy to należy do materiału dowodowego? - spytałem Dempseya.

- Raczej nie - odparł. - A co?

- Ktoś próbował się do niego dodzwonić o drugiej dwadzieścia w nocy. McLaughlin nie odebrał.

- Może spał.

- Może - zgodziłem się. - A może dzięki temu możemy określić czas śmierci.

Dempsey kiwnął głową.

- Faktycznie. Kto to był?

- Nie zapisało się. Tylko że o drugiej dwadzieścia, dzisiaj w nocy. Niedługo po tym, jak od niego wyszedłem - powiedziałem. - Może do kogoś dzwonił.

- Pokaż. - Dempsey wziął ode mnie telefon. Nacisnął kilka guzików, aż wyświetlił się numer, który odczytał na głos. Komórka McLaughlina znów ostrzegawczo zapiszczała.

- Bateria zaraz siądzie - rzucił. - Zapisz.

Przeczytał numer po raz drugi. Nie miałem ze sobą notesu ani nic podobnego pod ręką, więc zapisałem podany numer na własnym telefonie. Cyfry wyglądały znajomo, ale nie umiałem ich z niczym skojarzyć.

Komórka McLaughlina zapiszczała po raz ostatni i wyłączyła się. Dempsey odłożył ją na stolik i popatrzył na cyfry na wyświetlaczu mojej, jakby mogły mu coś powiedzieć.

- Może to jego siostra - powiedziałem. - Albo jego prawnik.

- Można to sprawdzić tylko w jeden sposób- stwierdził Dempsey, nachylił się nad moim ramieniem i wcisnął zielony przycisk na moim telefonie. Zanim jednak zdążyłem zaprotestować, numer

zmienił się w nazwisko dzwoniącego, bo miałem go już w pamięci telefonu. I zupełnie nie rozumiałem, co łączyło Paddy'ego Hannona z Dannym McLaughlinem, i po co ten drugi dzwonił do pierwszego w środku nocy.

Zanim pojechaliśmy na posterunek, Dempsey wpadł do kostnicy po wstępną diagnozę w sprawie morderstwa McLaughlina. Przeczytałem ją po drodze. Według ustaleń patologa McLaughlin został zabity po drugiej w nocy, niedługo po tym, jak od niego wyszedłem. Jego gardło zostało poderżnięte długim, ostrym nożem o gładkim ostrzu, co w najlepszym razie kwestionowało winę Seamusa Purdy'ego, którego złapano z ząbkowanym nożem do chleba. Choć być może chciał zabić McLaughlina, dowody, już na tak wczesnym etapie dochodzenia, wskazywały, że raczej tego nie zrobił.

Na posterunku dowiedzieliśmy się jednak, że już podpisał zeznanie. Deegan nie mógł się doczekać, aż powie o tym swojemu szefowi, i był wyraźnie rozczarowany, kiedy Dempsey kazał mu przekazać przyznanie do winy mnie i dać mi parę minut z Purdym na osobności. Oni z kolei pojechali szukać Paddy'ego Hannona.

Kiedy wszedłem do pokoju przesłuchań, Purdy wyglądał na wyczerpanego. Oddech miał nieświeży, włosy zmierzwione, na brodzie siwą szczecinę. Źle zapiął parkę, dolny guzik trafił w drugą dziurkę. Kiedy rozmawialiśmy, jedno oko nieustannie mu łzawiło i wycierał je rękawem.

- Czytałem pana zeznania - powiedziałem, siadając. - Dlaczego pan to zrobił?

Odpowiedzi miał gotowe.

- A co innego mogłem zrobić dla swojej dziewczynki? - spytał; dolna warga mu drżała tym wyraźniej, im bardziej starał się nad nią zapanować. - Jak mógłbym spojrzeć jej w oczy ze świadomością, że nie zrobiłem nic? - Ostatnie słowo wypłynął z wściekłością. - Nic - powtórzył.

- Nie wolałaby mieć ojca w domu, panie Purdy? Żeby pomógł jej poradzić sobie z tym, co się stało? Zamiast w więzieniu? Nie tak powinien zachować się ojciec?

Popatrzył na mnie wyzywająco, potem odwrócił wzrok.

- Pytał mnie pan, co ja bym zrobił. Mam córkę, panie Purdy. Gdyby to się przytrafiło jej, przytuliłbym ją i obiecał, że wszystko będzie dobrze. Zrobiłbym, co w mojej mocy, żeby wiedziała, że to nie była jej wina i że nieważne, co się stanie, zawsze będę ją kochał z całego serca. I nigdy nie zostawiłbym jej bez swojego wsparcia i miłości.

W końcu się załamał i zaczął bulgotać zaślinionymi ustami, których nie próbował nawet wytrzeć. Cały dygotał przy każdym szlochu; ukrył twarz w ramionach na stole i dał ujście całej frustracji, wściekłości i poczuciu winy, które czuł od dnia ataku na jego córkę. A ja zrobiłem tylko jedną rzecz, którą mogłem zrobić jako ojciec. Przysunąłem się do niego razem z krzesłem, objąłem jego ramiona i poczekałem, aż mu przejdzie.

- Wiem, że pan tego nie zrobił - oznajmiłem. - Nieważne, co pan chciał zrobić, czy mógł zrobić. Wiem, że pan tego nie zrobił. Mam rację?

W końcu zobaczyłem, że wciąż szlochając, kiwa głową. Wziąłem jego zeznanie, przedarłem je na pół, położyłem na stole między nami i zaczekałem, aż Purdy przestanie płakać.

Kiedy się uspokoił, wstałem, poklepałem go po ramieniu i odwróciłem się do wyjścia.

- Jest pan wolny, panie Purdy.

Otworzyłem drzwi, ale zawołał mnie. Odwróciłem się na progu. Wykręcił się na krzesło w moją stronę, z twarzą mokrą od łez.

- Byłem w jego pokoju, wie pan? Niewiele brakowało, a bym to zrobił - rzucił szybko.

- To nieważne, panie Purdy, czy by pan to zrobił, czy nie. Nie zrobił pan.

- Widziałem, jak pan wychodzi - dodał. - I jak ktoś inny wchodzi.

Włosy zjeżyły mi się na głowie. Z powrotem zamknąłem drzwi.

- Kto?

- Nie znam go. Ksiądz.

- Na pewno? - zapytałem, już zaczynając podejrzewać, jak to się skończy. - Na pewno ksiądz?

Pokiwał głową, wycierając oczy nasadą dłoni.

- Miał koloratkę, był w średnim wieku. Czarne włosy.

- Jak długo tam był?

- Minutę, może dwie. Spłoszył mnie; bałem się wejść, bo mógł przyjść ktoś jeszcze. Ale nie mogłem też wrócić do domu; nie bez... wie pan.

Pokiwałem głową.

- Bardzo nam pan pomógł, panie Purdy.

Wróciłem do szpitala sprawdzić, czy miejscowi wikariusze albo księży mieli w nocy obchody, ale dyżurna pielęgniarka była przekonana, że nikt nie przychodził, może z wyjątkiem kogoś wezwanego do ostatniej posługi na intensywną terapię. Domyślałem się jednak, że to nie był on. Kiedy wychodziłem, coś zauważyłem. Na stoliku w holu, między broszurami o zdrowiu seksualnym i szkoldliwości alkoholu, leżał stos ulotek, wciąż spiętych grubą gumką. W oczy rzucał się tytuł „Odwróćcie się od grzechu i zaufajcie Mi”, wydrukowany wytłuszczonymi, wielkimi literami.

Pół godziny później zabrałem Jima Hendry'ego i pojechaliśmy do Coleraine. Bardwell mieszkał na Północy; tam musiał być aresztowany, a później wydany Republice, by mógł odpowiedzieć na zarzuty, jeśli faktycznie, jak podejrzewałem, zabił Danny'ego McLoughlina z zemsty za śmierć Jamiego Kerra.

W Coleraine byliśmy o jedenastej, ale znalezienie kościoła Bardwella zajęło nam trochę czasu. W końcu znaleźliśmy ulicę - wąski deptak wybrukowany kocimi łbami, na których samochód cały dygotał.

Spodziewałem się, że Bardwell prowadził tradycyjny kościół. Okazało się jednak, że to pierwsze piętro budynku, w którym mieściły się także restauracja i biuro księgowo. Drzwi frontowe były otwarte, prowadziły na stare, drewniane schody wyłożone wyblakłym popękany linoleum. Na górze Hendry wyciągnął pistolet i dał znak, że będzie mnie osłaniał. Otworzyliśmy szklane drzwi z wypisanym nazwiskiem „Wielebny Charles Bardwell”. Znaleźliśmy się w korytarzu z szóstką drzwi.

- Pastorze! - zawołałem i pchnąłem pierwsze, prowadzące do toalety. Za drugimi była kuchnia, za trzecimi - gabinet. Stąpaliśmy ostrożnie po wykładzinie na korytarzu, sprawdzając wszystkie drzwi po kolei. Na piątych była tabliczka: „Sala modlitw”.

- Pastorze Bardwell - powtórzyłem, otwierając je. Hendry stanął po mojej prawej, przyciśnięty do futryny z pistoletem w rękę. Ale nie było to potrzebne. Bardwell siedział sam na jednym z dwunastu krzeseł ustawionych w okręgu. Na ścianach dookoła wisiały stare plakaty wychwalające przebaczenie i odrodzenie w wierze, wśród nich powiększona wersja ulotki, którą Jamie Kerr rozdawał w Lifford.

Bardwell siedział zgarbiony, z rękami na kolanach i dłońmi zwiśniętymi między nogami. Wciąż miał na sobie kurtkę - nawet z tej odległości widziałem na niej plamy krwi. Na krześle obok leżał nóż. Pastor spojrział na mnie. Na twarz zwiślały mu kosmyki czarnych włosów, policzki miał wychudłe i nieogolone. Jego skóra miała niezdrowy odcień bladości, spojrzenie było otepiałe. Garbił się.

- Mogę wejść, pastorze? - spytałem. Nie sądziłem, żeby był dla mnie zagrożeniem, ale mimo wszystko na krześle obok niego leżał piętnastocentymetrowy nóż.

Nie zareagował, wszedłem więc ostrożnie do pomieszczenia. Rozsunąłem krzesła, żeby usiąść bliżej niego, w odległości czterech miejsc. Dobrze, że Jim Hendry został przy drzwiach, być może wyczuwał, że mam większe szanse namówić Bardwella, żeby się dobrowolnie poddał. Dobrze też, że miał w rękę pistolet.

- Byłem ciekaw, ile to potrwa - powiedział w końcu Bardwell, chociaż nie podniósł wzroku i wciąż wpatrywał się w punkt między stopami. - Cieszę się, że to pan.

- Chciałbym móc powiedzieć to samo, pastorze - odparłem. - Ale jest wręcz przeciwnie.

Kiwnął głową. Włosy spadły mu na oczy.

- To z powodu Jamiego? - spytałem, przysuwając się jedno krzesło bliżej.

Znów przytaknął.

- Już go mieliśmy, pastorze, i być może też człowieka, który to zlecił. Wszystkich; wszystkich, którzy wrobili Jamiego. Mielibyśmy ich wszystkich.

- I co z tego? - spytał Bardwell, patrząc na mnie po raz pierwszy. Na jego twarzy błysnął gniew. - Żeby zasłonił się „ograniczoną poczytalnością” czy jak to się nazywa?

- Mogliby tego nie uznać - zaprotestowałem bez przekonania.

- Oczywiście, że by uznali. - Pastor splunął. - Nikogo to nie obchodzi. Wszyscy mają w dupie.

- To nieprawda. - Przysunąłem się jeszcze bliżej, choć wciąż poza jego zasięgiem, gdyby chwycił nóż.

- Poszedłem tam wczoraj w nocy i poderżnąłem mu gardło. I słuchałem. Wróciłem tu i siedziałem całą noc. „A Bóg wciąż nie rzekł ni dwóch słów”.

Prychnął z pogardą.

- Może powiedział słowo, pastorze - dodałem cicho. - Może po prostu Go pan nie usłyszał.

Bardwell popatrzył na mnie bez wyrazu, jakby pomyślał o tym w tej samej chwili.

- Jamie słyshał Jego głos, panie inspektorze, i widzi pan, co z nim zrobili. Widzi pan, co Bóg pozwolił tamtemu zrobić.

- To my pozwoliliśmy mu to zrobić, pastorze, nie Bóg. To ludzie robią takie rzeczy. Do nas pozostałych należy dopilnować, żeby to się nie powtórzyło.

- Wierzy pan w Boga, panie inspektorze? - spytał Bardwell.

- Muszę, pastorze. Muszę wierzyć, że to, co robię, w jakiś sposób sprawia, że świat jest lepszy.

- Walczy pan po stronie aniołów. - Zaśmiał się bez humoru. Przesiadłem się jeszcze bliżej i wyciągnąłem rękę.

- Niech pan idzie z nami, pastorze. Zajmiemy się panem.

Oparł dłoń na rękojęści leżącego obok noża. Zesztywniałem i jednocześnie zobaczyłem kątem oka, że Jim Hendry podnosi pistolet.

Bardwell popatrzył na swoją rękę, splamioną krwią, opartą na krześle, jakby dopiero dotarło do niego, w jakiej znalazł się sytuacji.

- Ironia losu, prawda? - spytał. - Policjant pouczający duchownego o wierze i sprawiedliwości. Wybacza pan swoim winowajcom, Ben?

- Szczerze? - odparłem. - Staram się. Ale jestem tylko człowiekiem. Wszyscy jesteśmy tylko ludźmi. Staranie się to być może wszystko, na co nas stać.

Podniósł nóż za ostrze i podał mi rękojęść.

- Chyba będzie panu potrzebny jako dowód - powiedział.

Wziąłem nóż ostrożnie, samym kciukiem i palcem wskazującym, żeby jak najmniej zatrzeć odciski palców, choć podejrzewałem, że nie będziemy potrzebowali takich dowodów. Bardwell nie zamierzał wypierać się zabicia Daniela McLaughlina, nie miałem co do tego wątpliwości.

Hendry podszedł i założył mu plastikowe kajdanki. Starannie je zacisnął, wystarczająco mocno, żeby nie puściły, ale nie za ciasno.

Bardwell nie protestował, wyciągnął tylko ręce w geście kapitulacji. Hendry sprawdził kajdanki i się wycofał.

Potem zeszedliśmy na dół, na ulicę. Ludzie przystawali, żeby popatrzeć na nasz dziwny pochód - ja po cywilnemu, z zakrwawionym nożem, Bardwell w swoim stroju pastora i skrzepowany, z tyłu Hendry w kamizelce kuloodpornej i z pistoletem przy pasku. Kiedy wyszliśmy, pomiędzy chmur wyjrzało słońce. Bardwell osłonił oczy spętanymi rękami, jak ktoś nieprzywykły do światła.

25.

Niedziela, 19 czerwca

Kiedy wróciłem ze Strabane, po odczekaniu, aż Bardwell zostanie spisany i aresztowany, Paddy Hannon był już na posterunku w Lifford od kilku godzin. Jak powiedział mu Dempsey, „pomagał w dochodzeniu”.

Gdy przyjechałem, wciąż siedział w pokoju przesłuchań. Przypomniałem sobie Petera Webba w tym samym pomieszczeniu, zre-laksowanego, trochę zdziwionego, przekonanego o własnej niewinności. Przypomnił mi się także Seamus Purdy, rozczochrany, znę-kany, trawiony poczuciem winy po czymś, do czego nie przyłożył ręki. Paddy Hannon nie wyglądał jak żaden z nich. Z każdego jego ruchu emanowała arogancja. Włosy miał idealnie zaczesane do tyłu, twarz zaczerwienioną, ale wciąż pachnącą mocno wodą po goleniu. Marynarkę garnituru zawiesił na oparciu krzesła, a rękawy koszuli podwinął jak robotnik. Na stole przed nim leżała paczka papierosów. Zauważyłem, że ktoś przyniósł mu popielniczkę,

żeby mógł zapalić. Obok niego siedział jego prawnik; nie byłem bynajmniej zaskoczony, widząc po raz kolejny Gerarda Browna.

- Chyba zaczniemy naliczać panu czynsz - zadrwiłem, wchodząc.

Uśmiechnął się nieszczerze.

- Ben! - zawołał Hannon, unosząc się z krzesła. - Co tu się, do diabła, dzieje? Ci pajace z Dublina wypytyują mnie o jakieś bzdury.

- To rutynowa procedura, Paddy - odparłem.

- No, już im powiedziałem, że nie mam nic do powiedzenia.

- Tak, słyszałem. Może powiesz mi to jeszcze raz.

Wziął papierosa i włożył go sobie do ust. Zanim zaczął mówić, otworzył zapalniczkę, ale papierosa nie przypalił.

- W środku nocy zadzwonił mój telefon. Myślałem, że to może znów jakiś napad na budowie, wiesz. Sprawdziłem numer, nie znałem go, oddzwoniłem, nikt nie odebrał.

- Nie masz pojęcia, dlaczego Daniel McLaughlin miałby dzwonić akurat do ciebie o drugiej w nocy?

Paddy, zanim odpowiedział, przypalił papierosa.

- Żadnego - oświadczył, zamykając zapalniczkę.

- Znałeś go?

- Nie. Pracował chyba dla Declana O'Kane'a.

- Skąd wiesz?

- Kupuję od Decka samochody. Pracowników też się jakoś poznaje, sam wiesz.

Pospiesznie wydmuchnął dym i postukał papierosem o krawędź popielniczki.

- Posłuchaj - powiedział. - Naprawdę nie wiem, co tu nadal robię.

- Znałeś Petera Webba? - spytałem.

- Ze słyszenia. Mogliśmy się przypadkiem spotkać raz czy dwa, nic poza tym.

- A Jamiego Kerra?
- To ten facet, którego znaleźli na drzewie, tak? Okropna sprawa. - Hannon zgasił papierosa wypalonego do połowy.

- Czyli nie znałeś żadnego z tych ludzi ani nie wiesz, co się z nimi stało?

- Nie. Chciałbym ci pomóc, Ben, ale...

Wzruszył ramionami w sposób, który odebrałem jako uderzająco nieszczerzy.

- Nie wierzę ci, Paddy, przykro mi. - Wyjąłem własne papierosy. - Trudno mi uwierzyć, że w ostatnich chwilach przed śmiercią, być może bojąc się o własne życie, Danny McLaughlin zadzwonił pod zły numer, który przypadkiem okazał się twój. Jeszcze mniej wierzę, że oddzwoniłbyś do niego w środku nocy.

- Być może, panie inspektorze - oznajmił Brown - ale nie macie niczego poza podejrzeniami i zbiegami okoliczności, więc bezpodstawnie przetrzymujecie mojego klienta. Albo go o coś oskarżcie, albo wypuście.

- Porozmawiam z nadinspektorem i zobaczę, co powie - powiedziałem, wstając.

- A przy okazji, Ben - dodał Hannon - spytaj, czy ustalili już coś z tymi narkotykami i bronią. Wiesz, tymi, co je znaleźliście dwa razy.

Paddy Hannon został zwolniony bez stawiania zarzutów dwadzieścia minut później. Ucisnął mi rękę i powiedział, że rozumie, że wykonuję po prostu swoją pracę. Dempsey był tym rezultatem zniesmaczony jeszcze bardziej niż ja; w poniedziałek miał wrócić do Dublina bez choćby jednego aresztowania czy postawienia zarzutów, mimo że w ciągu ostatnich tygodni popełniono tu tyle przestępstw.

Kiedy Hannon się zabrał, poszliśmy na drinka. Potem pojechaliśmy do domu. Usiadłem z Debs, Penny i Shane'em i próbowałem

zapomnieć o wszystkim, co się wydarzyło. Ale film, który oglądaliśmy, nie wciągał mnie i więcej czasu spędziłem w kuchni na papierosie niż z rodziną przed telewizorem.

W końcu Debbie, zmęczona moimi fochami, przyszła do mnie.

- Co się stało? - spytała, nie karcąc mnie nawet za palenie w domu.

- Nic - odparłem. Zanim się odwróciła, dodałem: - Jestem wkurzony na tę całą cholerną sprawę.

- Zauważyłam.

- Nic się nie wyjaśniło. Wiem, że Paddy Hannon stoi za tymi morderstwami, i nie mogę mu nic udowodnić.

- Czasami tak bywa, Ben - stwierdziła Debbie, podchodząc i masując mi kark. - Czasami sprawy nie kończą się tak, jak by się chciało.

- Ty go nie widziałaś, Debs. Był taki cholernie pewny siebie.

Pokiwała głową, ale nic nie powiedziała. Staliśmy tak i masowała mi kark, aż Shane zawołał:

- Mamo!

- Wszystko się ułoży, Ben - pocieszyła mnie. - Zobaczysz.

26.

Niedziela, 20 czerwca

Słowa Debbie potwierdziły się szybciej, niż ktokolwiek z nas się spodziewał. Następnego ranka, po mszy, wpadł do nas do domu Costello. Siedziałem pod kuchennymi drzwiami i czytałem gazetę. Costello spróbował usiąść obok mnie na schodkach, ale nie dał rady, zamiast tego oparł się więc o framugę i udawał, że ogląda ogród.

- Pięknie tu macie - pochwalił. - Ładny ogród.
 - To zasługa Debbie - odparłem.
- Pokiwał ze zrozumieniem głową.
- Emily była taka sama. Wszystko jej pięknie rośło.
- Pozwolił, żeby zapadła cisza.
- Rano był u mnie Harry Patterson.
 - Tak? Przytaknął.
 - Hugh Colhoun mu się zwierzył.
 - Z czego? - wykrzyknąłem, przewracając kubek z kawą.
 - Ze wszystkiego - powiedział Costello. - Podrzucenia broni, kartki z kulą, ataku na dom. - Przerwał, po czym dodał z poważną miną: - I tej afery z samochodem. Szmaty.
 - Hugh Colhoun - powtórzyłem z niedowierzaniem. - Jest pan pewny?
- Costello posępnie pokiwał głową.
- Miał ogromne wyrzuty sumienia po tym, co stało się z Caroline. Nie chciał, żeby do tego doszło. Chyba myślał, że Harry go zrozumie.
 - Dlaczego Patterson to panu powiedział?
 - Żeby ratować własny tyłek, oczywiście. Harry wciąż uważa, że ma szansę na awans. I nie zamierza brać na siebie cudzych win.
 - Prawdziwy zespołowy gracz - zakpiłem.
 - Cóż, czasami trzeba pomyśleć o sobie - odparł Costello i zaśmiał się krótko. - Pomyślałem, że dam ci znać.
 - I co teraz będzie?
 - Harry wrócił do pracy. Hugh został aresztowany dzisiaj rano. Zostaną mu postawione zarzuty, jeśli ty albo Caroline złożycie skargę. Tak czy inaczej, siedzi w gównie po uszy.
 - Rozmawiał pan już z Caroline? Co powiedziała?
- Znów pauza.
- Zastanawia się.

Cały dzień spędziłem z rodziną. Kilka razy próbowałem dozwonić się do Caroline, zapytać, co myśli o przyznaniu się Hugh Colhouna, ale albo nie było jej w domu, albo nie odbierała.

Wieczorem zgodziłem się pójść na pożegnalnego drinka z ekipą z NBCI. Dempsey postawił nam wszystkim kolację, a potem pojechaliśmy do Strabane, na kilka drinków w tamtejszym klubie. Deegan i Meaney spędzili wieczór, słuchając koncertu miejscowego zespołu, a Dempsey i ja siedzieliśmy przy stoliku i rozmawialiśmy o sprawie oraz jej zakończeniu. Dempsey wydawał się tym wszystkim przybity jeszcze bardziej niż ja.

- Czyli nigdy się nie dowiemy, kto zabił Webba, Kerra i Decka - powiedział. - Oprócz McLaughlina.

- Stał za tym Paddy Hannon - odparłem. - Założę się o każde pieniądze.

- Tylko nie możesz tego udowodnić. - Napił się drinka i popatrzył na mnie przebiegle. - Chyba że w jego samochodzie pojawi się niespodziewanie jakiś materiał dowodowy - dodał konspiracyjnym szeptem, a potem się zaśmiał.

W głowie mi się zakręciło i poczułem stare znajome trzepotanie w żołądku. Musiałem się chwycić krawędzi stołu.

- Tak między nami, to byłeś ty, prawda? Chłopcy z NBCI dopiero przyjechali, a ty ich od razu nabrałeś, co?

Zaśmiał się, kręcąc głowę z kpiącym niedowierzaniem.

Z trudem zbierałem myśli. Wyobraziłem sobie znów siebie pod domem Decka, podchodzącego do samochodu, wkładającego ulotkę Kerra i oglądającego to wszystko jeszcze raz na nagraniu.

- Jezu, nagranie! - wykrzyknąłem.

Dempsey podskoczył na swoim miejscu i zakrzusił się piwem.

- Co?

- Nagranie wideo. Decko miał na froncie domu ukryte kamery przemysłowe. Sami oglądaliśmy to cholerne nagranie, kiedy go zwinęliśmy.

Dempsey znieruchomiał.

- Cholera. Ale z nas beznadziejni durnie. Jest jeszcze na posterunku?

- Taśma tak. Ale na pewno włożył nową. Która wciąż jest w magnetowidzie, w domu Decka.

Zerwaliśmy się na równe nogi i wpadliśmy na parkiet, porywając ze sobą Deegana i Meaneya. Zanim wzięli swoje marynarki, ja czekałem już przed wejściem w samochodzie z włączonym silnikiem.

Kiedy przyjechaliśmy, dom Decka był pogrążony w ciemności. Brama była zamknięta, pręty owinięte niebiesko-białą policyjną taśmą. Sam budynek robił wrażenie - masywny i czarny na tle ciemniejszego nieba. Okna były pozamykane; nie słychać było dźwięków głośnej imprezy, jak za pierwszym razem, kiedy tu byłem. W ogóle żadnych znaków życia. Decko nikomu nie zostawił swojej fortuny, bo nie miał jej komu zostawić.

Zatrzymaliśmy się przed domem. Wziąłem z bagażnika latarkę i oświetliłem nią front budynku, szukając kamer, ale żadnej nie zobaczyliśmy. Poszedłem tam, gdzie stał samochód Decka tamtej nocy, gdy podrzucałem do niego ulotkę. Starłem się stanąć dokładnie w tym samym miejscu, a potem, przypominając sobie kąta ujęcia na nagraniu, poświeciłem latarką tam, gdzie powinna być kamera. Przesuwałem płamę światła centymetr po centymetrze po ścianie, aż nagle, tuż po lewej stronie jednego z okien, coś zabłyszczało.

- Tam! - zawołał Deegan, wskazując to miejsce. Podałem mu latarkę.

- Trzymaj nieruchomo.

Dempsey był już przy drzwiach, otwierał wytrychem zamek. Popatrzyłem na niego ze zdziwieniem.

- O nic nie pytaj, to nie będę kłamał - powiedział, puszczając

oko. Kilka sekund później coś pstryknęło, zamek puścił i weszliśmy do środka. Policyjni technicy nie potrafili włączyć alarmu przeciwwłamaniowego, kiedy zamykali dom po przesłuchaniu.

Wbiegliśmy sprintem na schody, próbując ocenić, przy którym oknie była kamera. W końcu ją znaleźliśmy, w nieużywanej sypialni z tyłu domu.

W pokoju były cztery okna, dwa na bocznej ścianie i dwa na tylnej. Światło latarki trzymanej przez Deegana padało na sufit nad bocznym oknem. Po krótkiej chwili znaleźliśmy małe białe pudełko na zewnętrznym parapecie. Równie szybko po kablu trafiliśmy do szafki stojącej w kącie obok mahoniowej komody.

Była zamknięta na klucz, ale szybko uległa wobec umiejętności Dempseya. Faktycznie, w środku znaleźliśmy dwa małe monitory i magnetowid. Urządzenie przestało nagrywać, na ekranach nie było obrazu, ale świecące czerwone diody wskazywały, że sprzęt działa.

- Jeszcze jeden kabel - powiedział Dempsey, wskazując nad moim ramieniem; na szyi czułem jego ciepły oddech.

Ten przewód biegł do jednego z tylnych okien, gdzie znaleźliśmy kolejną kamerę wciśniętą w róg framugi.

Kaseta w magnetowidzie była przewinięta do początku, co wskazywało, że dobiegła do końca. Zaczęliśmy kombinować z monitorem, aż ekrany ożyły, a potem wsadziliśmy kasetę i wcisnęliśmy „play”. Na monitorze pojawił się podzielony na dwie części obraz. Wciskając kolejnych kilka guzików, odkryliśmy, że możemy oglądać nagranie tyłu domu, frontu domu lub jednego i drugiego.

Data i godzina nagrania pokazywały, że zaczęło się ono o dwudziestej trzydziestej siedem dwunastego czerwca. Przewinęliśmy do przodu, mając nadzieję, że nie skończyło się przed zabójstwem Decka. Na ekranie pojawiały się i znikwały postacie. Co jakiś czas zatrzymywaliśmy przewijanie, żeby spróbować kogoś zidentyfikować. Raz zobaczyliśmy Decka, stojącego przy basenie i rozmawiającego przez telefon. Przez całą noc i większość dnia trzynastego

czzerwca niewiele było widać.

W końcu, około wpół do siódmej wieczorem, na podjeździe zatrzymał się samochód Hannona. Danny'ego McLaughlina nie dało się pomylić z nikim innym: mimo ziarnistego obrazu jego łysa głowa i gabaryty były oczywiste. Paddy Hannon z kolei nie dawał się tak łatwo zidentyfikować, ale nie mieliśmy wątpliwości, że to on. Podeszli do frontu domu i zniknęli z widoku.

Kilka chwil później w ogrodzie z tyłu nagle pojawił się Decko, leżący na plecach, jakby ktoś go pchnął. W następnym ujęciu za kark trzymał go Danny McLaughlin. Potem byli już nad basenem. Obrazy przeskakiwały jeden po drugim, a my siedzieliśmy w milczeniu, oszołomieni i obrzydzeni tym zapisem tortur Decka. W niektórych ujęciach McLaughlin trzymał jego głowę pod wodą, w innych nad nią. Potem Decko leżał sam na krawędzi basenu, a Danny zniknął poza kadrem. W następnym ujęciu O'Kane pływał w basenie, a wokół niego rozszerzał się ciemny krąg.

Kilka klatek później zobaczyliśmy dwie postaci idące przy domu do samochodu. McLaughlin otworzył drzwi Paddy'emu Hannonowi, który ściągał z dłoni rękawiczki. Potem samochód wycofał się i kadr opustoszał.

Ekran migotał do końca nagrania, a my wyprostowaliśmy się i popatrzyliśmy po sobie.

- To wystarczy? - spytałem. Dempsey uśmiechnął się pośpiesznie.

- Chyba tak.

Epilog

Środa, 23 czerwca

W następnych dniach Paddy Hannon przeszedł od zapewniania o swojej niewinności, przez obwinianie innych, do zgody na szczegółowe zeznanie w zamian za zmniejszony wyrok. Jego wersja wydarzeń brzmiała następująco:

Powrót Jamiego Kerra do Lifford żadnego z nich nie zmartwił. Nawet kiedy Kerr spotkał się z Peterem Webbem, nikt się nie przejął. Webb był starym wyjadaczem, można było na nim polegać. Potem, kiedy na jego ziemi znaleziono broń, zjawił się u niego jakiś Anglik. Jego żona dodała dwa do dwóch i w końcu zorientowała się, że jej mąż był informatorem na początku konfliktu. Razem ze swoim młodszym bratem zapytali go o to. Doszło do awantury i Danny w szale udusił Webba. Spanikowali i skontaktowali się z Deckiem O'Kane'em, który pomógł upozorować samobójstwo Petera.

Jamie Kerr był świadkiem przyjazdu Decka do domu i jego wyjazdu z trupem Webba. Kiedy ciało zostało znalezione, bez trudu domyślił się prawdy. Rzeczywiście szantażował Sinead Webb, ale nie dla pieniędzy. Groził, że pójdzie na policję, jeśli Webb nie zorganizuje mu spotkania z Deckiem i ostatnim członkiem gangu z Castlederg. To podczas tego spotkania Kerr został zabity i przybity do drzewa. Cały dowcip polegał na tym, że Jamie chciał im przebaczyć, powiedział Hannon. Ale, jak podkreślił, on sam nie chciał go krzyżować, zrobili to Decko i Danny.

Potem, oczywiście, Decko został aresztowany i podejrzanie szybko zwolniony. Zaczynało robić się nerwowo. Decko sypiał z żoną Webba. Gdyby powiązano go z Webbem i Kerrem i aresztowano, nie było gwarancji, że nie wsypie Hannona w zamian za ulgowe traktowanie. Dlatego się go pozbyli, co widzieliśmy na nagraniu. Hannon szantażem zmusił McLaughlina do wykonywania brudnej roboty, nawet zabicia kochanka jego siostry, bo Decko mu powiedział, że McLaughlin pożyczał na noc samochody z salonu i oddawał je z plamami krwi na siedzeniach. Nie trzeba było geniusza, żeby porównać daty z atakami na kobiety i jedno z drugim powiązać.

Resztę wiedzieliśmy. Hannon pomniejszał swój udział we wszystkich kwestiach. Nie chciał mieć z tym nic wspólnego, zapewniał, od samego początku.

Mimo to jednak księgowy NBCI o sokolim wzroku znalazł w finansach Hannona papierowy trop prowadzący do pieniędzy zdobytych w napadzie na Castledeerg. Biuro windykacji majątkowej planuje zajęcie całego majątku Hannona i budowy w Raphoe, gdzie Karen Doherty straciła życie, w najbliższej przyszłości nie zostanie ukończona.

Sinead Webb została aresztowana po zeznaniach Hannona. Będą jej postawione liczne poważne zarzuty, w tym współudział w zamordowaniu męża oraz pomoc bratu w napadach na Karen Doherty i Rebecę Purdy.

Hugh Colhoun wciąż nie wie, co go czeka. Williams postanowiła nie wnosić skargi, ja też nie. Został wydalony z Gardai. Nie wytłumaczył swojego postępowania, chociaż twierdził, że nigdy nie chciał nikogo skrzywdzić. Rozmawiałem z nim przez chwilę podczas przesłuchania. Gorąco przeproszał i zapewniał, że zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby nam to wynagrodzić. Nie miałem mu nic do powiedzenia.

W poniedziałek rano na tablicy ogłoszeń naszego posterunku przypięto wreszcie listę awansów. Nie byłem zaskoczony, widząc, że wśród dwadzieściora pięciorga awansowanych nie ma mojego nazwiska. Patterson za to był piąty.

Godzinę czy dwie później na posterunek przyjechała Miriam Powell porozmawiać z Costellem. Wychodząc, podeszła do mojego biurka.

- Dzień dobry, Miriam - przywitałem ją.
- Pomyślałam, że powinienes się dowiedzieć pierwszy - odparła, całując powietrze obok mnie. - Harry Patterson otrzymał stanowisko tutejszego nadinspektora. Wstawiłam się za nim i przekonałam ich, że powinien tu zostać. Zaczyna z końcem miesiąca. Właśnie potwierdziłam to u twojego szefa.

Zaczekała na moją reakcję, nie doczekała się żadnej.

- Bardzo się cieszę - odparłem. I nie żartowałem. Jeśli Jamie Kerr potrafił wybaczyć tym, którzy go postrzelili i pozwolili mu gnąć w więzieniu, i to mimo kpin i gróźb, byłoby dziecinne z mojej strony, gdybym żywił urazę do Harry'ego Pattersona.

- Przykro mi - powiedziała Miriam, siłąc się na szczerość. - Naprawdę zaimponował komisji tym, jak sobie poradził z tym fiaskiem z Colhounem.

- Z fiaskiem - powtórzyłem. - Ładnie to ująłeś.
- Z pewnością będzie przedkładał potrzeby posterunku nad własne sprawy prywatne. Jak z tą znalezioną bronią. Naprawdę nie powinienes być mówić komisji, że to było w porządku, Ben. Wiedzieliśmy już wtedy, że coś tam nie gra.

- Wszyscy popełniamy błędy, Miriam - stwierdziłem, znużony tą rozmową i jej oczekiwaniem na jakąś moją emocjonalną reakcję.
- Dzięki za wiadomość. Przekaż moje gratulacje Harry'emu.

Po południu odwiedziła nas w domu Caroline. Widziałem ją po raz pierwszy od wielu dni. Przyjechali jej rodzice, miała zamieszkać na jakiś czas u nich. Peter siedział przypięty pasami do fotela

obok jej ojca, tył samochodu był pełen bagaży.

- Jedziecie na urlop? - spytałem, wskazując ruchem głowy walizki.

- Chyba na trochę dłużej - odparła. Jej rany zaczęły się już goić, ale wciąż miała gips na rękę i kołnierz ortopedyczny.

- Co z pracą?

- Złożyłam wymówienie. Costello powiedział, że będzie trzymał dla mnie etat, ale to już chyba nie zależy od niego.

Kiwnąłem głową.

- A ty? - spytała. - Myślałeś, żeby odejść?

Zaprzeczyłem.

- Zostajesz, żeby walczyć o dobro. - Siliła się na wesołość. Oboje zaśmialiśmy się bez przekonania.

- Kiedy wracasz? - zapytałem, przełykając gulę, która zaczęła mi puchnąć w gardle.

Uśmiechnęła się smutno.

- Nie wiem.

- Ale wrócisz, prawda?

Tym razem nie powiedziała nic. Przestrzeń między nami była ciężka od niewypowiedzianych słów.

- Co z domem? - Nawiązałem do spraw praktycznych, żeby podtrzymać rozmowę. - Chcesz, żebym miał na niego oko?

- Załatwiłam już u pośrednika wynajem na rok, potem zobaczymy.

- Na rok?

- Na razie.

Staliśmy i patrzyliśmy na siebie, rozpaczliwie szukając jakichś bezpiecznych słów.

- A co? Będiesz za mną tęsknił? - spytała.

Popatrzyłem na nią, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Chyba się do ciebie przyzwyczailem - powiedziałem. Caroline uśmiechnęła się smutno i widziałem, że z trudem powstrzymuje łzy. Wyciągnęła do mnie dłoń, ja ją uściśniełem.

- Muszę jechać, szefie.
- Ben - poprosiłem ją.
- Ben - powtórzyła.

Odwróciła się do samochodu, a potem z powrotem do mnie i objęliśmy się, z początku niezgrabnie. Po chwili przytuliłem ją mocniej, żeby nie zobaczyła moich łez.

- Uwważaj na siebie, Caroline.

Odpowiedziała trochę niewyraźnie, bo była we mnie wtulona. Potem odwróciła się i wsiadła do samochodu. Jej rodzice i Peter pomachali, odjeżdżając, jakby ruszali na spotkanie wielkiej przygody. Ale Caroline się nie obejrzała.

Patrzyłem za ich samochodem, aż zniknął na końcu drogi, z ręką głupio uniesioną w geście pożegnania.

Żeby zapomnieć o smutku, cały wieczór sprzątałem na strychu, układając stare książki i worki z dziewczęcymi ubrankami za maty już dla obojga.

Podczas sortowania starych zabawek usłyszałem jakiś hałas przez elektroniczną niankę. Przypuszczałem, że Shane chce sięgnąć po swoją butelkę, a więc poszedłem do jego pokoju. Stał już w kojcu, ściskając pionowe pręty, jak nieletni więzień. Kiedy mnie zobaczył, podniósł ręce, żeby go podnieść i poleciał do tyłu, lądując miękko na pupie. Zachichotał z radości i powiedział:

- Tata.

Zaskoczył chyba sam siebie; powtórzył to jeszcze raz, głośno i wyraźnie, rozpromieniony z dumy.

Wziąłem go na ręce i szedłem na dół po butelkę. Wiedziałem, że Debbie będzie już czekać.

- Tata - powtórzył Shane, stukając mnie w policzek swoją miękką piąstką, wczepiony w moją koszulę.

Pocałowałem go lekko w czoło i poczułem, że się uśmiecham.

Na takich właśnie małych zwycięstwach trzeba budować przyszłość.

Podziękowania

Dziękuję wielu ludziom, którzy pomogli mi stworzyć Gallows Lane. Moim przyjaciołom i kolegom z St Columb's College, zwłaszcza o. Eamonowi Martinowi, Nuali McGonigle, Tomowi Costiganowi, Johnowi i Diane Johnstonom, Marion Lübbecke, Eoghan Barr i członkom wydziału anglistyki. Szczególnie dziękuję Bobowi McKimmowi.

Wiele bardzo cennych rad dotyczących różnych aspektów tej książki otrzymałem od Billy'ego Pattona, Colina Deehana i Biura Prasowego An Garda. Za wszelkie nieścisłości odpowiadam ja sam.

Dziękuję Dave'owi i Danielowi z Goldsboro Books, Dave'owi Torransowi z No Alibis oraz Billy'emu i Philippie z Ad Lib Bookshop za ich wsparcie. Podziękowania należą się także Johnowi Connolly'emu, Declanowi Hughesowi oraz Declanowi Burke'owi za ich uprzejme zachęty.

Specjalne podziękowania dla Evy-Marie von Hippel i Alice Jakubeit z Dumont, Petera Strausa i Jenny Hewson z RCW oraz wszystkich związanych z MNW- Marii Rejt, Davida Adamsona, Cormaca Kinsella, Caitriony Row, Sophie Portas, a zwłaszcza Willa Atkinsa.

Jak zwykle dziękuję moim rodzicom, Laurence'owi i Katrinie, oraz mojej rodzinie: Carmel, Michaelowi, Joemu, Susan, Dermotowi, Lyndzie i dziewczynom: Catherine, darze, Ellen, Annie i Elenie.

Na koniec dedykuję tę książkę mojej żonie Tanyi oraz naszym synom Benowi i Tomowi, z wyrazami miłości.